

WYDANIE NA MAJÓWKĘ **Z PIĘKNYM PREZENTEM:**

REPRODUKCJĄ ARCYDZIEŁA JANA MATEJKI
„KONSTYTUCJA 3 MAJA”

DODATEK: SUKCESY II RP
„SZTUKA I LITERATURA”

SIECI

SIECI

NAJW
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 16-17 (334-335) 2019
23 kwietnia-5 maja

CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

JEDWABNE NIEBEZPIECZNY TEMAT

WRACA KWESTIA EKSHUMACJI

CZY WYWOŁA KONFLIKT
Z IZRAELEM I USA?

CZY WYJAŚNI,
KTO STAŁ ZA ZBRODNIĄ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269908

16

KONKURS

AŻ
338

WYJĄTKOWYCH
NAGRÓD

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

Konkurs plastyczny
dla dzieci w wieku:

● 5-9 lat ● 10-16 lat ●

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna”. Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci” (oba mogą pochodzić z tego samego wydania). Obok drukujemy pierwszy kupon, kolejne ukażą się 6, 13 i 20 maja 2019 r. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.

3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny” na adres redakcji:
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa.
Termin dostarczenia prac: 24 maja 2019 r.
4. Sprawdź, co wygrasz! **Listę nagrodzonych opublikujemy 3 czerwca 2019 r.** w tygodniku „Sieci” i na www.wsieciprawdy.pl.

SŁODKI
PARTNER:



PARTNER
INSTYTUCJONALNY:



PARTNERZY:



Prószyński i S-ka



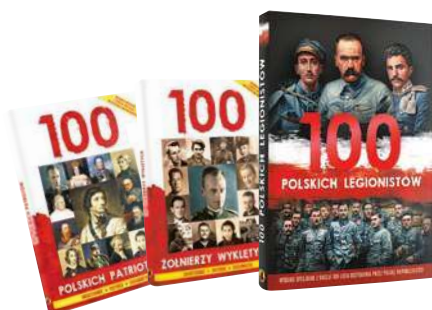
WYGRAJ JEDNĄ Z 338 NIESAMOWITYCH NAGRÓD:

2 wakacyjne obozy o wartości 2200 zł każdy od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS



2 weekendowe pobyty rodzinne w KAISERHOF – Cesarski Dwór w Krynicy Morskiej o wartości 1500 zł każdy

4 vouchery o wartości 400 zł każdy na zakupy odzieży, butów i dodatków



15 zestawów książek patriotycznych o wartości 250 zł każdy od Wydawnictwa Świętego Filipa Apostoła

40 zestawów gier dla całej rodziny o wartości 140-195 zł każdy od Granny



25 zestawów książek o przygodach Zuzi o wartości 72 zł od wydawnictwa Skrzat



40 książek „Chłopiec i pies” o wartości 25 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka



40 książek „Kiedys na pewno” o wartości 32 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka



150 słodkich zestawów dla młodego patrioty: komiks o Misiu Wojtku o wartości 16 zł od Fundacji Niepodległości i cukierki od Pszczółki o wartości 16 zł



20 zestawów książek podróżniczych o wartości 110 zł każdy od wydawnictwa Skrzat

SIECI KUPON KONKURSOWY NR 1

imię i nazwisko rodzica/opiekuna

imię i nazwisko dziecka

data urodzenia i wiek dziecka

dokładny adres zamieszkania

e-mail rodzica/opiekuna

telefon rodzica/opiekuna

Akceptuję regulamin konkursu.

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych oraz umieszczenie ich w informatycznej bazie danych Fratria Sp. z o.o. w rozumieniu ustawy z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach prowadzenia konkursu, wyłaniania zwycięzców i przyznawania, wydawania, odbioru i rozliczania nagród.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie konkursowym do przeprowadzenia konkursu pod nazwą „Polska, moja ojczyzna” przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni ul. Legionów 126-128. Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie konkursu „Polska, moja ojczyzna”, dostępnego na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie Administratora.

* pole do akceptacji

data podpis rodzica lub opiekuna

SIECI

spis treści



32

**Co gryzie
polskiego belfra**
Dorota Łosiewicz



65-
-91

**Na majówkę
dodatek specjalny**



53-
-64

**Sukcesy XX-lecia
międzywojennego**
dodatek historyczny

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 STRAJK CELEBRYTÓW**
Krzysztof Feusette
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 BRAWO, PAN PROKSA!**
Jan Pietrzak
- 13 BERNARDYNI I JEZUICI**
Bronisław Wildstein
- 14 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 15 ABY POLSKA BYŁA PIĘKNA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20 CZY WARTO ODKRYĆ PRAWDĘ
O JEDWABNEM?**
Marek Pyza

PO POŻARZE W PARYŻU

- 26 TRZY KRZYSY I NOTRE DAME**
Jan Rokita
- 30 PŁONĄCE SERCE EUROPY**
Marzena Nykiel

KRAJ

- 32 CO GRYZIE POLSKIEGO BELFRA**
Dorota Łosiewicz
- 36 STRAJK W STYLU POP**
Aleksander Nalaskowski
- 40 FERALNA PIĄTKA**
Stanisław Janecki
- 44 Z JADWIGĄ EMILEWICZ**
rozmawia Marcin Fijołek
- 48 TAKA NAPRAWDĘ JEST POLSKA**
Jacek Karnowski
- 50 UPADEK KOKAINOWEGO
KUMPLA CELEBRYTÓW**
Maja Narbutt

NA MAJÓWKĘ

- 65 NOCLEG W BASZCIE NA WULKANIE**
Anna Monicka
- 70 MIASTO JAK SZLACHETNA
SZKATUŁKA**
Przemysław Barszcz

- 72 POŻEGNANIE Z... EUROPA**
Tadeusz Brzozowski
- 76 WHO ARE YOU, MISTER ZELENSKI?**
Grzegorz Górny
- 80 ZAWROTNE PRĘDKOŚCI, OLBZYMIE
PIENIĄDZE, WIELKIE TRAGEDIE**
Cezary Kowalski
- 82 CO POTRAFI AKTOR**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 88 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 90 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 92 BENEDYKT XVI PRZERYWA MILCZENIE**
Grzegorz Górny
- 96 ALFABET TYGODNIA**
Hanna Karp

KUCHNIA

- 102 MOJE SMAKI: KATARZYNA DOWBOR**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 103 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 104 BIAŁO-CZERWONI W SWOIM
KOROWODZIE**
Maciej Pawlicki
- 106 PO NOTRE DAME**
Wojciech Reszczyński
- 107 ETOS PRACY, ETOS PIENIĄDZA**
Lech Makowiecki
- 108 TRZY PIERWSZE LEKCJE**
Aleksander Nalaskowski
- 109 JĘZYKI OGNI**
Wiktor Świetlik
- 110 DZIEŃ FLAGI**
Jan Pospieszalski
- 111 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 112 LEKCJA ŚPIEWU**
Ryszard Makowski
- 113 NA SEN WIEKUSTY BULLTERIERKĘ
GRANDY ODPROWADZAJĄC...**
Leszek Długosz
- 114 HOŁOWNIA, TWAROŻEK I PLANETA**
Katarzyna Zybortowicz

W sprawie nauczycieli III RP batoży samą siebie

Plyta zdarta i puszczana do znudzenia znowu gra. „Autorytety” i celebryci, medialni bonzowie i internetowi obrońcy III RP, wszyscy są dziś „z nauczycielami”. Rusza zbiórka pieniędzy, organizuje się koncerty poparcia, szykowane są świeczki. Do akcji próbuje się wciągać młodzież, a nawet maluchy.

Kim ci wszyscy ludzie już nie byli? Aborcjonistkami, sędziami, młodymi lekarzami, osobami niepełnosprawnymi, pracownikami Trybunału Konstytucyjnego, miłośnikami barbarzyńskiej „Kłatwy”, kornikami w puszczy, dzikami z ASF, obrońcami Jurka Owsiaka itp.

Za sterami zawsze ci sami kierownicy – turboliberalowie. Ludzie o kamiennych sercach, całe pokolenia skazujący na konkurowanie wyłącznie kosztami pracy, a jednocześnie ludzie, którzy udają, że nie widzieli, jak mafie VAT-owskie doprowadzają im 300 mld pod nosem, mafie reprivatyzacyjne zaś – kamienice warte w sumie miliardy.

Gdzie wtedy był TVN? Dziś płacze nad losem nauczycieli, nadaje ich protest songi. Przepraszam, ile lat już działa ta stacja? Kiedy sobie przypomniła o tej grupie zawodowej? Jednak TVN przy tygodniku „Polityka” to osesek. I teraz pismo to wybija na okładce lament nauczyciela z filmu „Dzień świra”, o tym, jak podle mu płacą. To znowu zapytam: film z roku 2002, wcześniej redakcja go nie widziała? O zakłamaniu gazety Michnika nie wspomnę – latami atakowali wszystkich którzy śmieli wspomnieć o konieczności wsparcia dla kogo-

kolwiek ze strony państwa. Teraz napuszczają kolejne grupy społeczne na najbardziej prospołeczny po 1989 r. rząd.

Jeśli kondycja zawodu nauczycielskiego jest tak zła, frustracja tak wielka, to czyj to dorobek? Trzech lat rządów Prawa i Sprawiedliwości?! Najbardziej prospołecznego rządu w historii? Wolne żarty.

Jakkolwiek by spojrzeć – w tej sprawie III RP batoży samą siebie.

W odpowiedzi na tę kampanię trzeba mówić prawdę – że, owszem, nauczyciele za mało zarabiają, ale ten rząd już spore podwyżki dał, na dodatek położył na stole solidną, wielomiliardową ofertę; że dzięki rządowi Zjednoczonej Prawicy do budżetu wracają setki miliardów złotych (np. z czterech kluczowych podatków w budżecie na 2019 r. jest 100 mld więcej, niż było w tym na rok 2015). Trzeba mówić o 40 mld zł więcej na programy pro-dzinne w każdym z ostatnich lat i kolejnych kilkudziesięciu zaplanowanych na ten oraz przyszły rok. To też trafiło do rodzin nauczycielskich – choć oczywiście to tematu nie zamyka.

I najważniejsze – trzeba mówić, że stają dziś do rzekomej walki o dobrobyt nauczycieli środowiska, które w praktyce rządzenia losem takich grup się nie przejmowały. I się nie przejmą. Jedyne, co ze swoich obietnic spełnia, to likwidacja urzędów wojewódzkich, CBA, IPN, TVP, spółek z udziałem skarbu państwa. Kamień na kamieniu nie zostanie. Ale turboliberalowie znowu chcą nabrać Polaków na swoją „wrażliwość”. I do Polaków należy wybór, czy nabrać się dadzą.

Michał Karnowski



Sygnalista nadaje

🔊 Spłonęła katedra Notre Dame. Lewica szydzi z ludzi, którzy widzą w tym wypadku być może ostatnie ostrzeżenie dla umierającej cywilizacji europejskiej. Sprawa rzeczywiście łatwa do wyśmiania, ale warto przypomnieć mało znany w Polsce pożar Crystal Palace w Londynie. Wielki gmach, cały zbudowany ze szkła, zdobił brytyjską stolicę od czasu Wielkiej Wystawy w 1851 r. Gdy pod wpływem ognia zawalił się w 1936 r., dla wielu Anglików był to złowieszczy sygnał. Mieli rację: choć Wielka Brytania wygrała wojnę, po imperium zostały okruczki.

🔊 Czy strajk nauczycieli zaszkodzi politycznie nie rządowi, ale opozycji? Nie można tego wykluczyć, skoro niektóre sondaże wskazują na największą od tygodni przewagę Zjednoczonej Prawicy nad Koalicją Europejską (nie tylko CBOS, lecz także Kantar Public, według którego na PiS chce głosować 35 proc., a na Koalicję Europejską 23 proc.) Potwierdza się złota zasada ostatnich trzech lat: czego opozycja tyka, natychmiast usycha.

🔊 Rząd wytrzymał psychicznie i to może się opłacić. **Sławomir Broniarz** zapomniał, że łatwo ogłosić strajk bezterminowy, ale trudno go zakończyć. Tym bardziej że szantaż w sprawie egzaminów nie wypalił. W tej ostatniej sprawie podziękowania należą się zwłaszcza ludziom dobrej woli ze środowiska nauczycielskiego, którzy podpowiedzieli ministrowi, jak należy rzecz przeprowadzić. Nie tylko opozycja ma swoje podziemie.

🔊 Faktem jest, że wielu nauczycieli bierze udział w strajku z obawy przed ostracyzmem. Strajkują nawet osoby od dawna związane z prawicą. Z drugiej strony wielu nauczycieli ma już dość protestu

także dlatego, że w tym czasie nie zarabiają. A zbiórka publiczna nie wyrówna tych strat. Może warto zaproponować tym, którzy powrócą do pracy, wypłatę całej pensji za czas protestu? To byłby zresztą najlepszy scenariusz: ciche wygaszenie, bez spektakularnych aktów upokorzenia którejs ze stron, z wyjątkiem przywódcy ZNP.

🔊 Na marginesie zbiórki na rzecz nauczycieli (ponoć już prawie 10 mln) – czy ktoś jeszcze pamięta o kuriozalnej zbiórce pieniędzy na nowe seicento dla Sebastiana K., oskarżonego w sprawie wypadku z premier Szydło? Okazuje się, że po zebranej sumie – 150 tys. zł – nie ma śladu. Do prokuratury trafiło już zawiadomienie w tej sprawie. Wcześniej Kijowski i kasa KOD, teraz to. W sumie celne podsumowanie problemów III RP: są tam duże pieniądze, ale trafiają nie do tych, co trzeba.

🔊 Wygaszenie strajku bez przełomu mogłoby się okazać także cenną lekcją dla turboliberalnej opozycji, która zaczyna bić wszelkie rekordy populizmu. Ci sami ludzie w redakcji na Czerskiej, którzy jeszcze kilka tygodni temu uznali 16-proc. podwyżki dla nauczycieli za „rozdawnictwo”, dziś zalewają się łzami nad losem pedagogów. Ale desperacja zrozumiała: skoro nauczyciele nie złamią rządu, to nie złamie już nikt.

🔊 Coraz głośniej słychać, że Sławomir Broniarz na jesieni ma startować do Sejmu z listy opozycji. Ma prawo, ale czy dążąc do celu, musi brać miliony zakładników? Generalnie popieramy takie decyzje: im więcej jasności w polskim życiu publicznym, tym lepiej.

🔊 Redaktor **Tomasz Lis** znów w formie. „PiS uważa polską inteligencję

🔊
Ciekawe doniesienia z Wiertniczej: ponoć inspekcja z USA gwałtownie przerwała stan ogromnego samozadowolenia. Bo wyszło, że choć stacja zarabia, to produkuje bardzo drogo, a kolejne propozycje nie przynoszą spodziewanych zysków, coraz rzadziej stając się hitami. To widać także w wynikach, TVP coraz częściej wygrywa poszczególne dni i tygodnie. Cóż, wszystko, nawet wielkie potęgi, płacą za grzech pychy.

za swojego wroga ze względu na jej przeszłość, poglądy i naturę. Inteligencja stała się elitą w czasach, gdy PiS nie sprawowało jeszcze władzy, a więc w epoce, kiedy Polska nie była jeszcze Polską, a elita była PRL-owska” – twierdzi, dodając, że „rozwalenie polskiej edukacji wcale nie wynika z jakiegoś sentymentu pana Kaczyńskiego do ośmioletniej podstawówki. Wynikało z potrzeby destrukcji i potrzeby zemsty”. To oczywiście pomylenie pojęć. PiS kocha, czasem nawet za mocno, polską inteligencję. PiS, jak na partię inteligentną przystało, źle znosi ćwierć- i półinteligencję. Taką, co to coś liźnęła, ale za mało, by naprawdę coś zrozumieć.

🔊 Są jednak w szeregach opozycji tacy, którzy wyciągają wnioski. **Grzegorz Schetyna** wygłosił ostatnio całkiem dobre technicznie przemówienie, w którym postawił prezesowi PiS kilka pytań. Znaczący wyczuwają profesjonalny trening. Na poziomie przekazu również widać wysokiej klasy specjalistów od psychologii społecznej. W sumie przekaz, który może trafić do wahających się wyborców.

🔊 Opozycja konsekwentnie buduje przekaz skupiony na dwóch kwestiach. Po pierwsze, władza to dygnitarze myślący tylko o pieniądzu i luksusach, w dodatku oderwani od życia. Po drugie, Polakom żyje się coraz gorzej, szaleje drożyzna, podatki rosną. Obie tezy są oczywiście fałszywe, ale nie ma się co śmiać. Zwłaszcza że po stronie PiS nie ma równie jasnej odpowiedzi: różne akcje, jak narzekają ludzie ze sztabowym doświadczeniem, nie składają się w czytelną, spójną całość. Być może jeszcze nie, ale fakt jest faktem.

🔊 Są też tacy, którzy pytają, czy Ministerstwo Finansów na pewno gra w rządowej drużynie. Najpierw ogłosiło podwyżkę akcyzy na papierosy i alkohol o 3 proc., ogłosiło też, że przez najbliższych kilkadziesiąt lat na zdrowie będziemy wydawali 5,2 proc., choć rząd obiecywał 6 proc. w roku 2024. Ten drugi element jest szczególnie ciekawy, bo oznacza przecież podważanie zobowiązań politycznych rządu.

🔊 W Los Angeles, Chicago i Nowym Jorku zaprezentowano po raz pierwszy film „Poland: The Royal Tour”. Dzieło wyjątkowo udane, Polska wypada bardzo korzystnie. Byliśmy dzielni, walczyliśmy o wolność, podnieśliśmy kraj z ruin, dbamy o swoje dziedzictwo, a co najważniejsze – bardzo szybko się rozwijamy i za chwilę naprawdę będziemy potęgą. Dobrze, że dzieło Petera Greenberga zobaczy Zachód, ale musimy go też zobaczyć Polacy, wśród których wciąż krążą zarazki naszej najgroźniejszej choroby: mikromanii.



🔊 Film jest poważny, ale publiczność może się też pośmiać. Np. gdy Greenberg i **premier Morawiecki** kupują obwarzanki na krakowskim Rynku, ale nie mają czym zapłacić. „Jestem bankierem, ale nie mam pieniędzy” – żartuje szef rządu. W końcu płaci Greenberg. Sprytny ten nasz premier. Może da się powtórzyć ten numer na poziomie międzynarodowym?

🔊 Pieniądze na film wyłożyła Polska Fundacja Narodowa, to ona także odezwała się do reżysera, wygryzając konkurencję, czyli państwa czekające od dawna na swoją kolej, by zostać zaprezentowane. Kosztowało to pewnie немало, choć dziś nie wiemy ile. Jeśli nie przesadzili, to było warto. Powstał film, który na lata może być naszą wizytówką. To, że dzieło zrealizował Greenberg, też ma swoje znaczenie. Nie mamy wyjścia, musimy szukać szczelin w globalnym systemie, nie możemy żałować grosza.

🔊 „The Royal Tour” to projekt, w którego ramach po danym kraju oprowadza jego przywódca: monarcha, prezydent lub premier. Dlaczego w naszym wypadku wybrano Mateusza Morawieckiego, a nie prezydenta Andrzeja Dudę? Czy była to decyzja strony polskiej czy amerykańskiej? To zagadka bez odpowiedzi, choć prezydent ładnie się zachował, bo udostępnił na potrzeby filmu Belweder.

🔊 W kontekście relacji polsko-żydowskich sporo szumu zrobiła notatka MSZ („tajna”) z 25 października 2018 r. Dokument ujawniony przez Konfederację ma dotyczyć rozmowy, jaka odbyła się w MSZ z udziałem ambasadora Jacka Chodorowicza, który jest pełnomocnikiem ministra spraw zagranicznych ds. kontaktów z diasporą żydowską, z Thomasem Yazdgerdim, jego amerykańskim odpowiednikiem w Departamencie Stanu. Stanisław Michalkiewicz twierdzi, że w notatce nakreślono swoistą „mapę drogową, według której roszczenia żydowskie mają być realizowane zgodnie z oczekiwaniami strony żydowskiej i amerykańskiej”.

🔊 Czy rzeczywiście? Za mało wiemy, ale dokument może być równie dobrze dowodem gry na czas ze strony MSZ, osłabianie presji. Ciekawe jest, że wypłynął właśnie teraz. Czy ktoś chce obalić rząd lub zabrać mu drugą kadencję, uderzając z prawej flanki? Tak to wygląda. Można się też dziwić polityce MSZ, które najpierw podejmuje ryzykowne rozmowy, a później dopuszcza do tak groźnego politycznie przecieku. A trzeba pamiętać, że notatka WikiLeaks w sprawie propozycji Komorowskiego, by sprzedać lasy i spłacić roszczenia, była jedną z przyczyn klęski III RP w 2015 r. 

Mam dla państwa dwa sny: dobry i zły. Zaczynę od koszmaru. Śniło mi się, że na Polskę napadli tzw. celebryci. Bardziej przypominali gang niż regularną armię, za to rozmnażali się jak króliki. Na co dzień nie było ich widać, ale gdy tylko wybuchał jakiś protest – w obronie konika czy konika, na rzecz walki o prawa do życia dla karpi oraz dla piosenkarek, które mają za małe mieszkania, by pomieścić w nim własne dziecko, w obrobie in vitro, ale i z hasłem „Ręce precz od naszych macic”... Po prostu byli wszędzie. Zawsze ci sami. Atakowali słowem i czynem, wrzaskiem i płaczem, nagrywali spoty, od których kręciło się w głowie, udzielali wywiadów, po których ręce opadały. Zajęli Polskę bez jednego wystrzału, a potem zaczęli się terror. Każdy, kto miał inne zdanie, natychmiast trafiał na margines z etykietką hejtera.

Obudziłem się, ale koszmar trwał.

Zaczynał się akurat strajk nauczycieli i Rafał Trzaskowski zapewniał, że w Warszawie wszystkie dzieci mają zagwarantowaną opiekę. Ale na wszelki wypadek sam zabrał syna do pracy. Nauczyciele podzielili się na kilka grup: niestrajkujących, strajkujących oraz broniarzy, którzy dla własnego interesu pozostawili swoich podopiecznych w czasie ich najważniejszej próby (niech twarz Janusza Korczaka śni im się po nocach). Do tego kodziarze, opluwający ludzi pomagających przy egzaminach, muczący jak głupie krowy i kwiczący jak ostatnie świny (nie wierzę, że puszczali to z taśmy). No i dziwadła, które wpadły na pomysł, że strajk stanie się dla nich przepustką do celebryckiej kariery, wyjące pieśni pod tablicą, że „krówka – muuu, a my – ni chu, chu...”.

Już wtedy było widać, jak bardzo te środowiska się przyciągają: nauczycieli „ultrasów” wyśpiewujących hymny dziękczynne dla TVN24 oraz celebrytów. Komediowy reżyser Andrzej Saramonowicz rzekł: „Upokarzanie nauczycieli to kolejna po artystach, lekarzach i prawnikach wojna PiS-u z polską inteligencją”. Sam ma się chyba za inteligenta, skoro niedawno twierdził, że „ludzie to niewiarygodni kretyni”, którym „można wcisnąć każde g...wno”. „Wybór jest prosty: Polska wykształcona albo Polska ciemnego luda. Rodzice, wesprzyjcie proszę nauczycieli!” – napisała Hanna Lis bez przecinków. Tak wykształcona, że skróć JOW to były kiedyś dla niej „Jednookręgowe yyy...y...”. Pewnie jednookręgowe okręgi wojewódzkie. Dorota Zawadzka, superniania na żetony, znana z tego, że wychowuje cudze dzieci, a swojego nie umiała, nagle zaczęła lkać, że „najlepsi nauczyciele

Strajk celebrytów



KRZYSZTOF FEUSETTE

odejdą do biznesu, a zostaną same miernoty”. „Całym sercem” strajkujących wsparła Agata Młynarska, która pewnie liczy na to, że jak dzieciaki wakacje spędzą w szkołach, to się trochę smaźalnie we Władysławowie wyludnią. Dołączyła Magdalena Cielecka, świetnie wykształcona z historii getta warszawskiego, a jak Cielecka, to i Maja Ostaszewska, tak wyedukowana, że jako jedyna z prowadzących narobiła Polsce obciachu, wręczając Europejską Nagrodę Filmową... nie tej kobiecie, której powinna. No i jeszcze Michał Żebrowski, drwiący w politycznym spocie z rozstrzeliwań Polaków pod zabarami. On też uważa, że władza walczy z inteligencją. Tylko jakim cudem miałby do niej, przy aktualnej wrażliwości, należeć? Co innego Dorota Stalińska, która kilka lat temu w obronie sławnego kolegi twierdziła, że „trzynastolatki same pchają się mężczyznom do łóżek”, a dziś po piera syna Władysława Bartoszewskiego – „bo warto być przyzwoitym”.

Potem miałem drugi sen. Piękny jak samospelniające się marzenie. Włączyłem telewizor, paski były rozgrzane do czerwoności. Prowadząca ledwie łapała oddech: „Proszę państwa, za chwilę połączymy się z naszym reporterem, który śledzi dramatyczne wydarzenie pod palmą warszawską, gdzie właśnie w tej sekundzie swój strajk rozpoczynają celebryci! Ta lista jest porażająca. Aż nie chce się wierzyć, że tacy ludzie i takie nazwiska nie odezwią się już publicznie na żaden temat, dopóki nie zmieni się władza. Przecież tak trudno wyobrazić sobie polską debatę publiczną bez mistrza Saramonowicza, jakże będzie nam brakowało jego myśli o tym, że »Kaczyński to ch...«. Juliusza Machulskiego z jego pomysłem na komedię o Smoleńsku. Macieja Stuhra z wiedzą historyczną. Jego tatę wstydzącego się mówić po polsku. Krystyna Janda nie opowie nam już o sr...niu na głowę i o tym, że jak pluja, to trzeba z uśmiechem. Nie zaznamy woni Agnieszki Holland podczas jej traktatów o puszczaniu bąków i mordowaniu poprzez laleczki wudu. Krzysztof Pieczyński nie opluje Kościoła, Wojewódzki z Figurskim nie będą drwić z »Buszmenów« i gwałcenia kobiet, a Daniel Olbrychski nie zdradzi, że na pierwszym spotkaniu otworzył przyszłej żonie drzwi w samiułenkim szlafroku, za to obwieszonym odznaczaniami” – szlochała prowadząca. Wtedy się obudziłem. I wiedziałem jedno: trzeba zebrać pieniądze jak najszybciej. Jeśli pudelkowi mędracy natychmiast nie zaczną strajkować, nie ma dla reszty społeczeństwa żadnego ratunku.



2 MAJA
DZIEŃ FLAGI

WYWIEŚ FLAGĘ

Bądź dumny, że jesteś Polakiem

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



ORLEN

Spóźniona arabska wiosna, która niedawno pojawiła się w Algierii – o czym pisaliśmy tydzień temu – dotarła w pierwszej połowie kwietnia do Sudanu. Właściwie trudno powiedzieć, czy dotarła, bo – po pierwsze – protesty przeciwko dyktatorskim rządóm Omara al-Baszirowi trwały tam już od grudnia zeszłego roku, a – po drugie – trudno na razie mówić, że w Sudanie zakwitła wolność.

Podobieństw z Algirią jest w Sudanie więcej. W obu krajach iskrą, która doprowadziła do wybuchu masowych protestów, była fatalna sytuacja ekonomiczna. Wraz z secesją Sudanu Południowego w 2011 r. reszta państwa utraciła dostęp do 3/4 złóż surowców mineralnych, co pogłębiło kryzys. Gdy ceny żywności i paliwa wzrosły trzykrotnie, ludzie wyszli na ulice. Rządzący Sudanem przez 30 lat Omar al-Baszirowi doszedł do władzy w wyniku wojskowego zamachu stanu. Tłumaczył wtedy, że „demokracja nie da się nakarmić ludzi”. Demokrację zabrał, ale ludzi

nie wyżywił. Swoją karierę na szczytach władzy zakończył tak samo, jak ją zaczął – wskutek wojskowego puczu. Po kilku miesiącach protestów generałowie zamknęli dyktatora w areszcie domowym.

Niestety nowa ekipa nie jest taka nowa. Na czele junty stanął bowiem minister obrony gen. Ahmed Awaf ibn Auf – do niedawna zaufany współpracownik dyktatora. Wojskowi oświadczyli, że przejmują władzę na najbliższe dwa lata.

Sytuacji w Sudanie z uwagą przygląda się Rosja, która ubijała z dawnym reżimem liczne interesy. Na terytorium Sudanu przebywają rosyjscy instruktorzy wojskowi, działają w nim również najemnicy z tzw. grupy Wagnera – prywatnej armii kontrolowanej przez Jewgienija Prigożina – biznesmena

z bliskiego otoczenia Putina. Wągrowcy, którzy na co dzień chronią rosyjskie interesy w sudańskich kopalniach złota, mieli podobno brać udział w rozpraszaniu demonstracji przeciwko al-Baszirowi. A dyktator wdzięczny się do Moskwy, reklamując Sudan jako „wrota do serca Afryki” i proponując Rosji budowę bazy wojennej na wybrzeżu Morza Czerwonego.

Na razie obecna junta raczej nie zamierza dokonywać zwrotu w polityce zagranicznej. Generał ibn Auf jest oskarżany przez Zachód o udział w zbrodniach podczas wojny w Darfurze. Zapewnia więc Rosję, że zmiany polityczne w Sudanie nie wpłyną na wzajemne relacje.

Jednak niektórzy w Moskwie już się zastanawiają, czy scenariusz sudański byłby możliwy do powtórzenia w Rosji. Wprawdzie Putin rządzi „tylko” 19 lat, ale warunki życia ludzi cały czas się pogarszają. Tymczasem armia cieszy się niezmienną popularnością.

Konrad Kolodziejski

Relacje między Słowacją a Węgrami obciążone są poważną hipoteką historycznych zaszłości. Do ostrych spiek między Bratysławą a Budapesztem dochodziło zwłaszcza w latach 2008–2011, ich powodem zaś był status mniejszości węgierskiej na Słowacji. Od kiedy jednak władzę objął Viktor Orbán, sytuacja się uspokoiła, a stosunki między oboma krajami stały się wręcz wzorowe.

Teraz jednak może się to zmienić, a wszystko za sprawą decyzji słowackiego parlamentu, który 27 marca uchwalił zmianę ustawy o symbolach narodowych. Zgodnie ze znowelizowanym prawem od tej pory hymn obcego państwa może być grany lub śpiewany tylko w czasie publicznych wydarzeń, i to jedynie w obecności delegacji zagranicznej z tego własnie kraju. Za złamanie przepisu ma grozić kara 7 tys. euro.

Powszechnie zostało to odebrane jako uderzenie w półmilionową społeczność madziarską, która w pięciomilionowej Słowacji stanowi aż 10 proc. ludności. Podczas różnych uroczystości, zwłaszcza kościelnych, wykonywany jest tam bo-

Słowacja

Kłopoty z hymnem



wiem zwyczajowo hymn węgierski, będący jednocześnie pieśnią religijną.

Odpowiedzialna za zmiany jest Słowacka Partia Narodowa, która przemyciła wspomnianą poprawkę do projektu ustawy. Co ciekawe, za ustawą opowiedziało się 108 posłów w 150-osobowym parlamencie, w tym aż dziewięciu spośród trzynastu członków węgierskiej partii Most-Híd (dwóch się wstrzymało

od głosu, a jej przewodniczący Béla Bugár był nieobecny). To oznacza, że sami parlamentarzyści nie do końca mieli chyba świadomość, za czym głosują.

Ustawa wywołała protest rządu Viktora Orbána. Zareagowali również kibice klubu DAC 1904 Dunajská Stredá – drużyny będącej symbolem mniejszości madziarskiej na Słowacji. Podczas meczu z MŠK Žilina zorganizowali patriotyczny happening połączony z odśpiewaniem węgierskiego hymnu. Nikt nie zostanie jednak za to ukarany, ponieważ nowelizacja wymagała podpisu prezydenta, zaś kończący swą kadencję Andrej Kiska postanowił nie zadrażniać stosunków z Budapesztem i zawetował kontrowersyjną ustawę.

Grzegorz Górny



Kraj usychającej wiśni

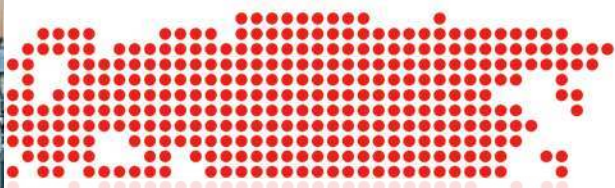
Wraz z abdykacją cesarza Akihito (30 kwietnia) trwająca od 8 stycznia 1989 r. era Heisei (pokój wszędzie) dobiegnie w Japonii końca. Rozpocznie się nowa – Reiwa, czyli era pięknej harmonii. Będzie to także era wielkich wyzwań, gdyż ludność Japonii starzeje się w zastraszającym tempie i zaczyna już brakować rąk do pracy.

Złośliwcy twierdzą, że Japonia to dziś kraj nie kwitnącej, ale usychającej wiśni. Jak donosi „Financial Times”, ludność tego państwa skurczyła się w ubiegłym roku o prawie pół miliona osób mimo rekordowego (161 tys.) napływu imigrantów. W 2010 r. Japonia liczyła jeszcze 128 mln mieszkańców, dziś ich liczba spadła do 126,6 mln. Pracuje już tylko 59,7 proc. społeczeństwa. W latach 90. XX w. było to 70 proc. Wtedy Japonki miały średnio 2,1 dzieci, a dziś mają już tylko 1,4. Tendencja spadkowa się utrzymuje, bo z roku na rok wzrasta liczba młodych ludzi, którzy w ogóle nie chcą mieć potomstwa. Rząd Japonii starał się zwiększyć przyrost naturalny poprzez wprowadzenie programów pomocy dla młodych rodzin. Bezskutecznie. W 2018 r. urodziło się tylko 921 tys. dzieci.

Do tego dochodzi zjawisko tzw. singli pasożytów. Takim mianem eksperci określają kilka milionów Japończyków w wieku od 35 do 54 lat, którzy wciąż mieszkają z rodzicami, nie zamierzają pracować i dbają tylko o rozrywkę. W konsekwencji prawie jedna trzecia społeczeństwa ma ponad 65 lat, a ludzie poniżej 15. roku życia stanowią zaledwie 12 proc. ludności.

Rząd premiera Shinzō Abe postanowił więc otworzyć rynek pracy dla imigrantów. Program wizowy ruszył na początku kwietnia i ma ściągnąć do kraju ponad 345 tys. zagranicznych pracowników, przeznaczonych głównie do sektora usług, budownictwa, turystyki i rolnictwa. Tydzień temu w stolicy Filipin Manili odbyły się już pierwsze szkolenia potencjalnych kandydatów. Japonia, w której cudzoziemcy stanowią zaledwie 1,5 proc. społeczeństwa, może stać się państwem imigracyjnym. Już dekadę wcześniej zaczęto wprowadzać ściągać do kraju wykwalifikowanych pracowników – lekarzy, inżynierów, ale nie przyznawano im statusu stałych rezydentów i nie pozwalano na sprowadzanie rodzin. Teraz to się zmienia. „Japonia doszła już do takiego punktu, w którym dopuszczenie imigrantów pozostaje jedyną opcją” – tłumaczy Toshihiro Menju, ekspert do spraw demografii i rynku pracy w Japan Center for International Exchange. A prognozy są ponure. Według ONZ ludność Japonii skurczy się do 2050 r. o co najmniej 20 mln osób, do poziomu z początku lat 70. XX w.

Aleksandra Rybińska



USA

Socjalista tłumaczy się z milionów

Bernie Sanders to 77-letnia nadzieja młodej amerykańskiej lewicy, która nie może znieść upiornego, symbolizującego wszystkie możliwe faszyzmy Donalda Trumpa. Senator z Vermont określa się jako socjalista, choć w amerykańskiej polityce jeszcze do niedawna uchodziło to za obelgę. Za rok chce zmazać swoją porażkę z Hillary Clinton i ponownie się ubiegać o urząd prezydenta USA. Zdeklarowany lewak, który w europejskiej polityce byłby odebrany ledwie jako centrysta, musi się jednak najpierw wytłumaczyć z milionów, jakie ma na swoim koncie.

Sanders konsekwentnie krytykuje system podatkowy w USA, który jego zdaniem jest niesprawiedliwy. Ostro uderza w tzw. 1 proc. najbogatszych Amerykanów, rządzących pozostałymi 99 proc. Jednak w 2017 r. sam stał się częścią tegoż jednego procenta, gdy zarobił miliony m.in. na swojej bestsellerowej książce „The Speech”. Książce o walce z milionerami. „Moje poglądy zawsze były takie same. Potrzebujemy progresywnych podatków, aby najbogatsi zaczęli płacić w tym kraju” – wyjaśniał na jednym ze spotkań. „Ale nie będę przepraszał za napisanie książki, która była bestsellerem »New York Timesa« i została przetłumaczona na sześć języków” – dodał.

Bernie Sanders nie pierwszy raz daje się poznać jako osoba – delikatnie rzecz ujmując – dość kontrowersyjna. Gdy Ronald Reagan docisnął pedał gazu w rywalizacji z Rosjanami, Sanders pojechał do Moskwy... na miesiąc miodowy. Z kolei w 1985 r. jako burmistrz miasta Burlington w stanie Vermont odwiedził Nikaragwę z okazji rocznicy komunistycznej rewolucji sandinistów. Czerwonego sierpaczka Daniela Ortegę nazywał „imponującym facetem” i sympatyzował z Fidelem Castro. Jeszcze w Burlington Sanders nawiązał partnerstwo z sowieckim Jarosławiem i powiesił w swoim biurze flagę z sierpem oraz młotem. A po wizycie w ZSRS podzielił się refleksją: „To zabawne, gdy amerykańscy dziennikarze mówią, że to zły kraj, bo ludzie stoją tam w kolejkach po jedzenie. Kolejki to dobra rzecz. W innych krajach ludzie nie stoją w kolejkach. Bogaci kupują sobie jedzenie, podczas gdy biedni dosłownie umierają z głodu”.

Sanders, tak wrażliwy na krzywdę ofiar Donalda Trumpa, w kolejkach – poza tą po prezydenturę – stać nie musi. W końcu jest w jednym procencie tych, którzy dorobili się milionów. I to nie w komunistycznej Moskwie, ale w kapitalistycznym Nowym Jorku.

Lukasz Adamski



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Brawo, pan Proksa!

Brawo, pan Proksa, brawo „Solidarność”, że nie dali się wciągnąć w pułapkę. Pucz Broniarza to dalszy ciąg awantur „nadzwyczajnej kasty sądowej”, kontynuacja puczu sejmowego z grudnia 2016 r., nawiązanie do ulicznych happeningów kodziarzy i ubywateli, do „totalnej opozycji” negującej demokratyczne wybory 2015 r. Dziejowa misja „Solidarności” nie sprowadza się jedynie do obrony finansowej sytuacji pracowników, jest również obroną polskiej niepodległości. Wierność duchowi Sierpnia '80, temu duchowi, który odmienił oblicze polskiej ziemi, to święta sprawa. Odzyskana 101 lat temu, odebrana nam została przez sąsiadów w 1939 r. Należało ją od nowa wywalczyć. Po straszliwej wojnie, po bitwach, powstaniach, buntach, realnie dokonała tego dopiero „Solidarność”. W niełatwym procesie historycznym odrzuciła nikczemny system zwany komuną, skasowała zmnę jałtańską, zmieniła mapę Europy. Pod dowództwem św. Jana Pawła II (choć on pewnie nigdy by się nie zgodził na taką militarną metaforę) dzielna armia „Solidarności” przywróciła Polskę Polakom. Niezależnie od tego, że wielu obecnych związkowców skromniej widzi swą



Jan
Pietrzak

rolę społeczną, nikt nie jest w stanie zwolnić tego historycznego ruchu od pilnowania naszej niepodległości. Zwłaszcza że tylko suwerenny rząd potrafi dbać o Polaków, co widzimy od trzech lat. Znane nam z poprzednich kadencji władze, uzależnione od obcych stolic, banków, mediów, korporacji, godziły się ze statusem półkolonii. I żadne Broniarze, Schetyny, kasty i gagagazety tym się nie przejmowały.

Sytuacja strajkowa jest niejasna. Może się rozwinąć w różnych kierunkach. Emocje strajkowe miewają nieprzewidywalną dynamikę. Wielu przyzwoitych nauczycieli zostało wciągniętych w akcję, nie ogarniając szerszego kontekstu tej decyzji. Jak powiedział prof. Andrzej Nowak: „Nauczyciele dają się użyć jako taran polityczny w partyjnej bojówce Broniarza”.

Sprowadzając sprawę do (pozornie) absurdalnego pytania: czy warto tracić niepodległość kraju w zamian za podwyżkę?, „Solidarność” powiedziała: nie. Wiele sfer rzeczywistości należy poprawiać, w tym płace, lecz nie kosztem spraw najważniejszych. Są różne proporcje, różne priorytety. „Solidarność” te priorytety rozumie. Broniarz nie chce ich znać.

Portfolio dobrze skonstruowane

Z dziennikarzem **Michałem Olszańskim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na pytanie: „kamera czy mikrofon?” co by pan dziś odpowiedział?

Michał Olszański: O, zdecydowanie mikrofon. Nie tylko dlatego, że choć chyba siedem razy byłem nominowany do Telekamery, zawsze pozostawałem ze srebrem. A w moim kochanym radiu, w Trójce, na której się wychowałem, którą uważam za swoją pierwszą zawodową pracę, mam teraz Złoty Mikrofon. Naprawdę jestem szczęśliwy. Do uznania płynącego od słuchaczy, ich komentarzy, pytań, telefonów dotyczących głównie „Godziny prawdy” doszła ocena kapituły złożonej z najznamienitszych kolegów. Jeśli oni zdecydowali, że zasłużyłem na Złoty Mikrofon, mogę tylko powiedzieć „Wow. Fajnie. Michał, zdałeś egzamin”.

Mam wrażenie, że niektórzy za mikrofonem trochę się ukrywają. Pan wychodzi do ludzi również w telewizji. Na ile doświadczenie radiowca pomaga w byciu przed kamerą?

Bardzo pomaga. Dostałem się do telewizji z castingu. Gdy kilkanaście lat temu Blanka Danilewicz wpadła na pomysł wzięcia do studia „Magazynu Ekspresu Reporterów” ludzi spoza wizji, pojawili się głównie radiowcy. Podczas tych przesłuchań przydało mi się doświadczenie z radia: że czas to pieniądz, że nie można głądzić, że trzeba pamiętać o słuchaczu, jego wymaganiach. Do dzisiaj jestem twarzą „Magazynu Ekspresu Reporterów”. To też coś, z czego można się cieszyć.

A potem doszło „Pytanie na śniadanie”?

Tak. To moje portfolio jest naprawdę fajnie skonstruowane.



BRONISŁAW WILDSTEIN

Bernardyni i jezuici

Znajomy podesłał mi nagranie spotkania zorganizowanego w Paryżu przez Kolegium Bernardynów wspólnie z elitarną francusko-niemiecką telewizją Arte. „W społeczeństwie, które ewoluuje szybciej niż nasze zdolności tego postrzegania, Kolegium Bernardynów to sfera wolności, która zaprasza, aby skonfrontować perspektywy, zgłębiać rozumienie świata i budować przyszłość szacunku dla człowieka oraz kultury w świetle wiary i rozumu” – przedstawia się organizacja.

Spotkanie odbyło się w ramach cyklu „Wtorki bernardynów”, który określa się jako „seria debat w celu nowego spojrzenia na wielkie zagadnienia zbiorowe, innego podejścia do człowieka w społeczeństwie i interpretacji wielkich przemian naszej cywilizacji w świetle chrześcijańskiej mądrości”.

Liczba „nowości” i „inności” mogła niepokoić, ale „chrześcijańska mądrość” powinna uspokajać. Godzinna debata (?), którą obejrzałem, nosiła tytuł: „Europejski populizm: powrót stłumionego?”. Po teoretyczno-historycznym wstępie politologa wystąpiła szefowa Fundacji Bronisława Geremka, dr Jolanta Kurska, która miała odpowiedzieć na pytanie: czy praktyka PiS w Polsce odpowiada definicji populizmu? I tak debata o populizmie w Europie przerodziła się w sąd nad PiS oraz w dużej mierze nad Polską.

Kurska ogłosiła, że panuje w niej narodowy populizm albo ultranacjonalizm. Obecna władza za naród uznaje wyłącznie tych, którzy podzielają jego poglądy, inni są wykluczeni i strasznie stygmatyzowani. Przywódcą tej partii jest lider cieszący się „prawie metafizyczną” władzą, który może wszystko i nie cofa się przed niczym. Kampania wyborcza, która przyniosła mu zwycięstwo, głosiła, że Polska jest w ruinie, mimo że wskaźniki ekonomiczne były wówczas (!) najlepsze z dotychczasowych dla naszego kraju. Kurska nie wyjaśniała, jakim cudem Polacy zaakceptowali tak sprzeczny z rzeczywistością obraz. Z jej wypowiedzi wynikało, że wierzą w to, co się im mówi. Ale dlaczego wierzą PiS? Dlaczego uwierzyli, że niezwykle osiągnięcie historii, jakim był Okragły Stół, czyli bezkrwawe oddanie władzy przez komunistów, było układem z nimi w celu kontynuacji tego systemu? Tego się nie dowiedzieliśmy. Dowiedzieliśmy się natomiast, że dla PiS kozłem ofiarnym są wszyscy, którzy myślą inaczej, czyli elity kraju. Nazywa się ich zdrajcami, ale ponieważ dyskurs populistyczny wymaga eskalacji nienawiści, zostają oni zrównani ze zwierzętami (ze zwierzętami! – powtarza Kurska). W ślad za stygmatyzacją następuje przejęcie wszystkich instytucji demokratycznych – Trybunału Konstytucyjnego, mediów publicznych oraz masowe zwolnienia funkcjonariuszy.



„A Kościół?” – dopytuje prowadzący. „Przecież filarem PiS jest Radio Maryja, którego słuchacze, nawiasem mówiąc, to raczej starzy mieszkańcy wsi”. „Niestety, trzeba przyznać, że Kościół w Polsce przyłączył się do władzy i już od wyborów otwarcie z nią współdziała” – potwierdza Kurska. „Rozdawane są w nim ulotki popierające PiS. Ta skandaliczna sytuacja jest przyczyną masowego odchodzenia od katolicyzmu młodych Polaków i radykalnego zaniku praktyk religijnych. Prowadzi to także do dzikiego antyklerykalizmu. Kościół w Polsce związany jest z władzą siecią wzajemnych usług i na przykład uzyskał poparcie rządu w forsowanym przez episkopat projekcie penalizacji kobiet dokonujących aborcji, który został zablokowany wyłącznie z powodu masowego protestu. Większość episkopatu w Polsce reprezentuje postawę ojca Rydzyka, czyli ultranacjonalizm i rasizm. Nigdy nie zareagowali oni na rasistowskie akty agresji, które mają miejsce w Polsce. Na szczęście pojawiła się nowa partia Wiosna, która jest nadzieją młodych Polaków i szansą na odrodzenie kraju”.

W debacie brał udział jeszcze jezuita, teolog, redaktor naczelný pisma swojego zakonu i jego reprezentant w Moskwie. Rozwinął tezę na temat instrumentalizacji religii przez populistów, a jako przykład podał niechęć do przyjmowania „obcych”. Stwierdził również, że esencją chrześcijaństwa jest gościnność, czym rzeczywiście dopełnił obietnicy nowego spojrzenia na wielkie tematy.

Oto przykład intelektualnej debaty organizowanej przez katolickie środowiska we Francji. Może lepiej, aby tak bardzo nie troszczyły się one o Polskę. Wiadomości o tym, co się w niej dzieje, prezentowane są przez panie Kurskie. No ale zapraszane są one po to, aby taki, a nie inny obraz naszego kraju trafił do zachodnich odbiorców.

Opisany program jest doskonałym przykładem pluralizmu współczesnej, zachodniej Europy, jej otwartości, a także stosunku do innych. Tymi innymi byli w niej Polacy.

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Działania niekonwencjonalne



S płonęła część katedry Notre Dame. Prezydent Emmanuel Macron w swoim zapale postanowił odrestaurować ją w ciągu pięciu lat, choć tym, którzy mają to robić, termin ten wydaje się stanowczo za krótki. Szacują go na 30 lat. W każdym razie we Francji rozgorzała już dyskusja, do jakiej formy ma zmierzać odbudowa paryskiej „Naszej Pani”. I wcale nie jest to takie jednoznaczne, czy uzyska ona kształt, w jakim oglądaliśmy ją przed pożogą. Do sprawy odniósł się m.in. dziekan Wydziału Teologicznego rzymskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego o. Dariusz Kowalczyk: „Nie liczyłbym na jakiegokolwiek ocknięcie się liberalno-lewicowych elit europejskich z powodu pożaru katedry Notre Dame. Liczę jedynie, że nie wpadną na pomysł, aby Notre Dame odbudować jako świątynię wielokulturowości”. Okazuje się, że słowa ojca dziekana wcale nie są pozbawione sensu. W telewizji France 2 już odbyła się dyskusja o odbudowie świątyni w nowej formule – jako wielokulturowego centrum. Oczyma wyobraźni już widzę na szczycie postawionej od nowa iglicy półksiężyc, a obok kaplicy z Matką Boską Ostrobramską i relikwiami św. Jana Pawła II salkę poświęconą pamięci znanego przedstawiciela palestry z Arras Maximiliena Marie Isidore’a de Robespierre’a, miłośnika twórczości Jeana Jacques’a Rousseau, z modelem gilotyny, z której spadła jego głowa.

A ustria pod przewodnictwem kanclerza Sebastiana Kurza i koalicji narodowo-konserwatywnej z chadekami jak na państwo europejskie stosunkowo skutecznie walczy z zalewem imigrantów. Kluczową rolę odegrała tu świadomość

Austriaków co do nieskuteczności działań unijnych elit oraz dwa raporty – jeden mówiący o aktywności Bractwa Muzułmańskiego, drugi o skali indoktrynacji młodego pokolenia w duchu islamskiego fundamentalizmu. Ich efektem było uchwalenie cztery lata temu „ustawy dotyczącej islamu”. Wprowadzono zakaz finansowania meczetów z zagranicy. Obowiązkiem muzułmanów jest promowanie pozytywnego stosunku do państwa. Kanclerz zaś zyskuje prawo do rozwiązywania stowarzyszeń muzułmańskich. Inne akty prawne zakazują zasłaniania twarzy i rozdawania Koranu na ulicy, a do obowiązków azylantów należy teraz udział w kursach promujących wartości demokratyczne. W zamian za to muzułmanie zyskali autonomię, prawo do publicznego kultu religijnego oraz poszanowania tożsamości religijnej. Po latach okazuje się, że powyższe regulacje prawne umożliwiają wyjście z tzw. pułapki multikulturowości. Zapisy ustawy zaskarżyło co prawda dwóch wydalonych z Austrii imamów, argumentując, że naruszają one prawa człowieka do wolności religijnej. Ale pod koniec marca austriacki Trybunał Konstytucyjny skargę tę odrzucił, argumentując, że przepisy te chronią interes publiczny. I basta. Jak się chce, to można.

G ubernator obwodu kalininogradzkiego Anton Alichanow w wywiadzie dla agencji TASS ostatnio znowu podważył sens przekopu Mierzei Wiślanej. Oświadczył, że bez porozumienia ze stroną rosyjską projekt jest niezgodny z prawem, jako że dotyczy interesów obu sąsiadujących państw – Polski i Rosji. A jakież to interesy Matuszki Rosji narusza owa budowa? Otóż gu-

bernator zatroskany jest o ekologię i rybki pływające w akwenie. „Obawiamy się, że u nas znikną ryby, dlatego że zmieni się stopień zasolenia zalewu” – wyjaśnił. „I po polskiej stronie, gdzie planowane są prace budowlane, różne gatunki ryb mają tarło”. Jego zdaniem także odpada argument o swobodzie żeglugi, bo polskie statki mogą sobie wpływać na Zalew Wiślany, kiedy chcą. Panie Alichanow, po ostatniej trzyletniej blokadzie zakończonej w 2009 r. statki mogą co prawda wpływać, ale tylko handlowe, a i te muszą dwa tygodnie wcześniej prosić o zgodę. Co do rybek, to wasi rybacy na kutrach od lat tłuką je prądem po waszej stronie i nic. Mówi się, że samorząd gdański nie godzi się na przekop, bo tańczy w takt rosyjskiej muzyki. To nieprawda. Alichanow tylko powtarza argumenty przedstawicieli tzw. układu gdańskiego, zwanego umownie „magistratem”.

A merykański wojskowy think tank RAND Corporation przedstawił raport działań niekonwencjonalnych, które mogą opóźnić i zakłócić rosyjską agresję wojskową przeciwko państwom bałtyckim, a także uczynić ich okupację bardzo kosztowną dla najeźdźców, a tym samym zwiększyć siłę odstraszenia. W ramach projektu wartego 125 mln dolarów na Litwie, Łotwie i w Estonii miałyby powstać komórki, które byłyby załącznikiem przysłego ruchu oporu. Nazywa się to „niekonwencjonalne działania wojenne” („unconventional warfare”). U nas jeszcze nie tak dawno mówiono na to ruch oporu albo Armia Krajowa. Członkom RAND Corporation poleciłbym rozpocząć pracę od wizyty w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Andrzej Rafał Potocki

Aby Polska była piękna

Portal Ninatka.pl to kopalnia arcydzieł z archiwum filmów, w tym dokumentalnych, spektakli teatralnych, sluchowisk i koncertów. Jednym z ostatnio obejrzanych przeze mnie obrazów był „Neon” w reżyserii Erica Bednarskiego wyprodukowany przez Instytut Adama Mickiewicza. Film jest poświęcony historii warszawskich neonów, opowiedzianej z perspektywy skomplikowanych i barwnych dziejów stolicy. W tle opowieści o intrygujących swoich barwach i kształtem neonach mowa jest o przemianach ustrojowych, politycznych i ich wpływie na kształtowanie się architektury oraz ładu przestrzennego miasta.

W nawiązaniu do projektów ścisłego centrum Warszawy z czasów PRL pada opinia, że zabudowa z tamtego okresu była znacznie bardziej estetyczna niż obiekty posadowione na początku lat 90. XX w. Zapatrzeni w sukces obalenia komunizmu w pierwszej chwili możemy uznać wspomnianą tezę za kontrowersyjną. Niesłusznie. Wymieniana przeze mnie w niejednym felietonie książka Filipa Springera „Wanna z kolumnadą” w sposób precyzyjny opisuje niechlubny dorobek przestrzenny charakterystyczny dla okresu ostatnich 30 lat, a zwłaszcza przełomu XX i XXI w. Kochamy wolność, często myśląc ją z samowolą i kategorycznym odrzucaniem jakiegokolwiek formy podporządkowania się, szczególnie jeśli idzie o formę i kolor elewacji naszych domostw, a skończywszy na zamiłowaniu do obwieszania fasad i ogrodzeń reklamami. Postawiliśmy mnóstwo budynków, osiedli oderwanych od tkanki miejskiej, w wielu miejscach ignorując uwarunkowania istniejącego krajobrazu.

Potrzeba zadbania o wygląd Polski jest widoczna, a PiS i rząd Zjednoczonej Prawicy nie pozostają wobec tego bezczynne. Ostatnie zdanie pobrzmiwa rządową propagandą, ale proszę przesłedzić konsekwencję w działaniach, by okazało się, że aktualnie rządzący to pierwsza ekipa po 1989 r., która tak poważnie wzięła się do przywrócenia dbałości o zagospodarowanie przestrzenne, o ład architektoniczny i poszanowanie historycznej zabudowy. W przemówieniu wygłoszonym w czasie kongresu PiS w 2017 r. w Przysusze Jarosław Kaczyński stwierdził: „Chcemy, aby Polska była piękna”, oraz zapowiedział powołanie Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki. Na początku maja, pod hasłem „Przestrzeń wspólna jest wartością”, Instytut ma oficjalnie zainaugurować swoją działalność. Zadaniem tej instytucji jest kształtowanie świadomości społecznej, promowanie kultury architektonicznej i urbanistycznej oraz podejmowanie starań mających na celu zachowanie narodowego dziedzictwa architektonicznego XX w. Przedmiotem działalności Instytutu mają być badania, dokumentacja, cyfryzacja i archiwizacja dorobku polskich architektów oraz urbanistów. Ma on propagować naukę o architekturze i urbanistyce, współdziałać z orga-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

nizacjami pozarządowymi, inicjować działania edukacyjne, a także podejmować inicjatywy promujące polską architekturę i urbanistykę. Jednym z pierwszych projektów edukacyjnych NIAiU jest Urban Summer School: Open form, czyli Letnie Studium Miasta: Forma otwarta. Projekt będzie realizowany w kooperacji z Lwowskim Centrum Miast Europy Środkowo-Wschodniej. Planowana jest także wystawa poświęcona stuleciu polskiej architektury.

W chwili gdy piszę ten tekst, płonie katedra Notre Dame. Pożar trawi wielowiekowy symbol naszej chrześcijańskiej cywilizacji i kultury. Obrazy z Paryża nasuwają skojarzenia z „Katedrą” namalowaną przez Zdzisława Beksińskiego w 1983 r. Mroczna wizja wybitnego polskiego malarza jak dotąd wydawała się przerażająca, ale nierealna. Tragedia we Francji uzmysławia, że musimy chronić nasze dziedzictwo znacznie bardziej niż do tej pory. Zaprośnienie ognia w tak ważnym miejscu niezależnie od tego, czy zdarzyło się umyślnie, czy wskutek niedbalstwa, jest emanacją przyspieszającego procesu odchodzenia od korzeni europejskiej wspólnoty.



Wstrząśnięci nagłą śmiercią

JEGO MAGNIFICENCJI

**PROF. DRA HAB. INŻ.
JACKA NAMIEŚNIKA**

Rektora Politechniki Gdańskiej,

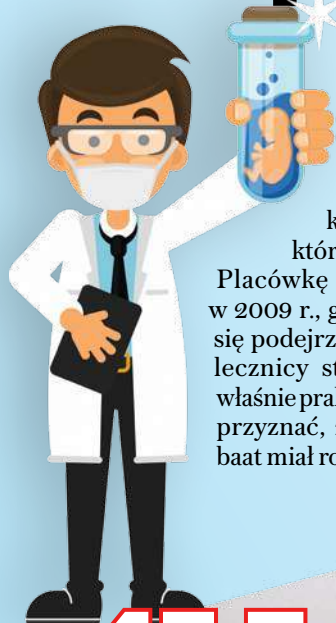
*Człowieka o wielkim sercu
i wybitnego naukowca,
łączymy się w bólu
ze wszystkimi pogrążonymi w żałobie.*

Grupa Energa

52/0419/F

Zebrała **Dorota Łosiewicz**

Siewca potomków



O kazało się, że holenderski lekarz jest ojcem 49 dzieci pacjentek, które leczył z niepłodności. Medyk zamieniał spermę dawców na swoją. Testy DNA potwierdziły, że zmarły dwa lata temu szef holenderskiej kliniki podczas zabiegów sztucznego zapłodnienia korzystał z własnej spermy. Chodzi o Jana Karbaata, który prowadził klinikę w Bijdorp pod Rotterdamem.

Placówkę zamknięto w 2009 r., gdy pojawiły się podejrzenia, że szef lecznicy stosuje takie właśnie praktyki. Trzeba przyznać, że pan Karbaat miał rozmach... 



45,7 mln

– tylu pasażerów obsłużyły polskie lotniska w 2018 r. To o 14 proc. więcej niż rok wcześniej – informuje Urząd Lotnictwa Cywilnego.

17,7 mln

– tylu pasażerów obsłużyło w 2018 r. warszawskie lotnisko im. Fryderyka Chopina. To o ponad 2 mln więcej niż rok wcześniej.

41 mln

– tyle było w Polsce kart płatniczych na koniec 2018 r. To o ponad 800 tys. więcej niż w rekordowym do tej pory trzecim kwartale ubiegłego roku.

Komu dziecko?

S koro o dzieciach mowa, to władze stanu Michigan wyraziły zgodę, by pary LGBT mogły adoptować dzieci. „To efekt ugody zawartej przez stan w procesie z pozwu dwóch par jednopłciowych, którym nie zezwolono na adopcję dzieci. Powodowie reprezentowani przez organizację American Civil Liberties Union zarzucili władzom stanu, że naruszają konstytucję” – informuje rp.pl. W wyniku ugody finansowane przez państwo agendy przekazujące dzieci do adopcji nie będą już mogły tego odmówić parom LGBT. Boże, widzisz i nie zagrzmisz! 



Znaki

W łaściwie zagrzmiał. W sercu laickiej Francji, gdzie spłonęła XIII-wieczna katedra Notre Dame. Trzeba przyznać, że w kontekście pożaru, który wybuchł w Wielki Poniedziałek, słowa z Ewangelii św. Jana: „Zburzcie tę świątynię, a w trzy dni ją odbuduję” – brzmiały wyjątkowo wymownie. 



Na indeksie

W Barcelonie jedna ze szkół wycofała z biblioteki dla dzieci do lat sześciu ponad 200 książek „toksycznych”, czyli „seksistowskich”. To 30 proc. księgozbioru. 60 proc.

uznano za mniejsze zagrożenie, a tylko 10 proc. za zgodne z ideologią gender. Wśród ofiar czystki jest m.in. „Czerwony Kapturek”. O sprawie pisał hiszpański „El País”. Każda strona ma – widać – swoje dzieła zakazane.



”

„Klasyfikacja uczniów przed egzaminem dojrzałości i egzaminy maturalne to nie jest ostatni element możliwych form nacisku na rządzących” – postraszył uczniów i rodziców prezes ZNP Sławomir Broniarz. Teraz to już jedynka w jesiennych wyborach pewna. Może być jednak tak, że jedynkę dostanie wspierane przez szefa ZNP ugrupowanie.

Dobry żart śmierci wart

Zany brytyjski komik Ian Cognito zmarł na scenie. Gdy 60-latek upadł podczas występu, widzowie myśleli, że to żart. Dramat rozegrał się w pubie w środkowej Anglii. Organizatorzy relacjonują, że Cognito przed wyjściem na scenę narzekał na złe samopoczucie. Jednak komik i weteran stand-upu nie zrezygnował z występu. Podczas niego chyba poczuł, że to jego ostatnie chwile, bowiem zwrócił się do publiczności: „Wyobraźcie sobie, co by było, gdybym tu przed wami umarł”. Wkrótce potem upadł i umarł, rozbawiając publiczność, która śmiejąc się, czekała na ciąg dalszy. Ten nie nastąpił. Podobnie jak happy end.



Fot. Andrzej Witko, Shutterstock (x4), Youtube.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wygibasy komentatorów

Muszę przyznać: nie zdroszczę tym reporterom, tym komentatorom. Niezależnie, co myślą naprawdę, muszą wspierać, chwalić, wysławiać pod niebiosa bohaterów swoich relacji. Nawet gdy ci bohaterowie okazują się beznadziejni, popełniając błąd za błędem, po prostu słabsi od rywali, komentatorzy muszą utrzymywać, że ich porażki są sukcesami, a ich monstrualne pomyłki to w rzeczywistości drobniaki bez znaczenia.

Ale cóż, taka jest społeczna rola komentatorów. Tego od nich oczekujemy – żeby byli z naszymi wybrańcami na dobre i na złe, żeby dodawali im (i nam) otuchy.

Oczywiście są sezony, czasem nawet długie, gdy mogą naszych chwalić uczciwie, bez zażenowania i wstydu. Ciąg sukcesów Adama Małysza i Kamila Stocha dał im szansę na wiele lat szczerych zachwytów.

Czasem jednak sytuacja zmusza ich do zachowań mało komfortowych psychicznie. Bo gdy na podium skoków narciarskich nie ma żadnego Polaka, muszą się entuzjasmować tym, że w pierwszej dwudziestce jest ich czterech. Gdy inni cieszą się ze zwycięstwa w Turnieju Czterech Skoczni, polscy reporterzy muszą się podniecać egzotycznymi klasyfikacjami typu drużynowy Puchar Narodów.

W tym sezonie najgorzej chyba mają komentatorzy Formuły 1. Bo mamy rozbuchane nadzieje Polaków, wydane pieniądze Orlenu – a wyniki Roberta Kubicy takie sobie. Napisałem „takie sobie”? Chyba już sam popadam w ton sportowych komentatorów.

Oczywiście, że nie „takie sobie”, bo po prostu beznadziejne. Dno. Polak regularnie dojeżdża na metę ostatni, i to z wielką stratą, kilkunasto-, kilkudziesięciosekundową za poprzednim samochodem.

Piszę to jako fan F1 i Roberta Kubicy. Też czekałem na jego powrót do najważniejszych wyścigów samochodowych świata. Dziś z zachwytem słucham, jakich intelektualnych wygibasów dopuszczają się komentatorzy, aby pochwalić polskiego kierowcę.

Na początku było narzekanie na zespół, w którym startuje, na Williamsa. Że samochody marne, silniki słabe... No dobrze, ale gdyby to była dobra drużyna, to nie wzięłaby Kubicy w obecnej formie, nawet z pieniędzmi Orlenu. Potem pojawiły się oskarżenia, że może auto kolegi klubowego pana Roberta jest jakieś lepsze.

Na koniec pojawiła się radość – Polak wprawdzie przegrywa z kretelem, ale przynajmniej dojeżdża do mety, a nie wszyscy to potrafią...

Tak, tak, trudna i odpowiedzialna jest praca sportowego komentatora.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



Dominik Zdort

RZECZY POSPOLITE

Patrz na krzyż

Płomienie ogarniające katedrę Notre Dame wydawały się tak nierzeczywiste jak samoloty uderzające w World Trade Center. I chociaż oficjalne wersje mówią (przynajmniej do chwili pisania tego tekstu) o przypadkowym zaprószeniu ognia, to siła tego symbolu – szczególnie w trakcie Wielkiego Tygodnia, tuż przed najważniejszym dla katolików świętem – była olbrzymia.

W tysiącach wiadomości, tweetów, esemesów ludzie pisali do siebie o jednym: oto, co się dzieje z naszą łacińską cywilizacją. Nawet jeśli to wynik zaniedbania, a nie celowego podpalenia, to i tak sam obraz budzi jednoznaczne skojarzenia: Europa płonie, Europa wali się w gruzy.

Jakież z tego płynie przesłanie? Oto znakomite zdjęcie zrobione tuż po ugaszeniu głównego źródła pożaru. Strażacy stoją w portalu i patrzą do wnętrza świątyni. Daleko, daleko, w prezbiterium, pośród zgłiszczy i pogorzeliśka widnieje jasny znak – krzyż, który przetrwał. Ratownicy zdają się w niego wpatrzeni, jakby byli zdziwieni, że nie spłonął, że



**Tomasz
Łysiak**

wytrwał. Może właśnie tak trzeba zinterpretować tę grę symboli? Jako chrześcijanin tak to odczułem, zrozumiałem: uważaj, twoja cywilizacja stoi na krawędzi. Twój świat już płonie, drżą podstawy i zaraz wszystko może runąć. Nie stój więc bezczynnie. Ale jeśli działasz, działaj według kierunku, azymutu. Ten kierunek i azymut wyznaczy ci krzyż. Spróbuj się w niego wpatrzeć, jego się uchwycić. Wtedy ocalejesz pośród morza płomieni.

Do tego mógłbym jeszcze dodać słowa z wiersza ukochanego poety. Bym szedł wyprostowany. Bym był odważny, gdyż w ostatecznym rachunku tylko to się liczy. I bym nie bał się okazać pogardy wobec szpicli oraz tchórze. I bym był wierny. Wierny, czyli wierzący. Wierny, czyli nie dopuszczający się zdrady. Wierny, czyli ufny w słowo i wolę Bożą. I bym wreszcie szedł. Albowiem „Idź!” – słyszę. Czyli stawiaj kroki. Nie zatrzymuj się. Idź. Bo gdy stoisz, to cię zniszczą. Wpadną z jazgotem „Ałlach, Ałlach” na ustach. Idź, bo wtedy nie będą stali inni, bliscy ci ludzie. Patrz na krzyż.

Jak sam z sobą

Za oceanem, w kraju nieograniczonych możliwości, wymyślono sposób na cudzołożenie. Bardzo skuteczny. Nazywa się: sologamia. „Solo”, czyli samemu, samodzielnie, w pojedynkę. Konkretnie rzecz biorąc, chodzi o śluby składane i zawierane z... samym sobą. Prekursorką była niejaka Erica Anderson. Narzeczoną, rozwódka „Age 37”, wypowiedziała formułkę małżeńskiej przysięgi – że pozostanie sobie wierna, że się nie opuści w chorobie ani w ogóle aż do śmierci – na dachu domu na nowojorskim Brooklynie. Było wszystko, a jakże, biała suknia i kwiaty, i złota obrączka z wygrawerowanym napisem: „Dla samej siebie”, i świadkowie byli, i szklaneczka bourbona na popicie. A, w kwestii formalnej, rok wcześniej pani Erica zaręczyła się z samą sobą, też z pompą, i dzielnie wytrwała w tym związku, bo zaręczyny nie zostały zerwane, znaczy dobrze rokuje na przyszłość. Tylko z gratulacjami mógł być kłopot – jak życzyć szczęścia młodej parze, skoro młoda już nie taka młoda i z odzysku, no i solo... I jak tu krzyknąć: „Gorzko, gorzko...!”. Ale rozgłos był, „Cosmopolitan” puścił o niej kawałek, stąd wiem, i skwitował na koniec, jak to w Ameryce, że „wolność oznacza też prawo do samodzielnego wyboru własnej drogi”. Nie ona jedna zdecydowała się na małżeństwo autogenne, jak



**Piotr
Cywiński**

się je określa po sąsiedzku, w Kanadzie. Ponoć moda na takie śluby dotarła też do Japonii. A skoro jest potrzeba, to są i firmy oferujące aranżacje solo-ślubów. Ta w Stanach nazywa się „I Married Me”, kanadyjska: „Marry Yourself Vancouver”, ich japoński odpowiednik to „Cerca Travel” z Kioto, która proponuje wszystko, od krawcy, przez wizażystkę, po fotografa. I oczywiście apartament na solo-noc poślubną też.

U nas to jednak jeszcze zadupie. U nas sąd nie potrafi orzec nawet w tak prostej sprawie jak pani Igi i jej partnerki, które żyją w Wielkiej Brytanii, gdzie wychowują syna tej pierwszej. A że obie są patriotkami, chcą mu wyrobić polski akt urodzenia. I tu zaczyna się problem. Chociaż uzyskały wsparcie rzecznika praw obywatelskich i wreszcie urzędnicy USC wpisali w rubryce „ojciec” partnerkę pani Igi, to jednak krakowska prokuratura chce to unieważnić. Powód? Naruszono zasadę polskiego porządku prawnego, bo rodzice to mężczyzna i kobieta, i takie tam dyrdymały. Ponoć sąd chce teraz wysłuchać tę drugą, dłaczek chce być ojcem. Matką również być nie może, jako że dziecko nie może mieć dwóch matek. Żadnego u nas prawa do samodzielnego wyboru. Solo-związków też pewnie by nie wpisali, bo im rubryczek brakuje. I jak tu być patriotą...

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Byłem w ORMO
i milicji, teraz jestem
w koalicji!



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI,
PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE,
MARCIN FIJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-
ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA,
JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD
KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR
KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD
MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ

POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA,
ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW
WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN Oraz WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI Oraz RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, TOMASZ PACZOS, FOTONOWA, ALEX WONG, GETTY
IMAGES, MATEUSZ SŁODKOWSKI, SOPA IMAGES, USA, EASTNEWS, FREDERIC LEGRAND –
COMEDY SHUTTERSTOCK.COM, SHAPFNER, CLAYTON SHUTTERSTOCK.COM, MIMM

Pomnik pomordowanych
Żydów w Jedwabnem

Czy warto odkryć prawdę o Jedwabnem?

Kwestia ekshumacji w Jedwabnem wróciła do polskiej debaty publicznej. Przed kilkoma tygodniami była używana w kolejnym sporze o historię z Izraelem. Jest obecna w dyskusjach polityków, również w ministerialnych gabinetach. Po 18 latach widać, że zlekceważona została dobra wola Lecha Kaczyńskiego, który zgodził się na ograniczoną formę prac ekshumacyjnych.

Czy nasze państwo powinno wrócić do tego tematu? Dlaczego wszyscy się go boją?

Jakie mogłyby być konsekwencje polityczne?

Od dwóch dekad to jeden z najgorętszych tematów w stosunkach polsko-izraelskich, ale i jeden z żelaznych elementów budowanego obrazu Polaków jako narodu nie ofiar, lecz morderców.

Już dziś wiemy, że mity, które urosły – zwłaszcza po publikacji w 2000 r. książki Jana Tomasa Grossa „Sąsiedzi” – nie są oparte na prawdzie. Zdekonspirowano je wielokrotnie. Podobnie jak od kilku miesięcy historyk IPN dr Piotr Gontarczyk opisuje na naszych ła-



MAREK PYZA

mach liczne błędy i nieprawdy zawarte w książce „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” – włącznie z przypisywaniem

policji granatowej zbrodni popełnionych przez policję żydowską.

Wracając do Jedwabnego – wciąż nie wiemy, co dokładnie się wydarzyło 10 lipca 1941 r. w podlaskim miasteczku. I dopóki się tego nie dowiemy, nie ustanie używanie tej sprawy przeciw Polsce. Tyle że dowiedzieć się nie jest łatwo. Aby do spodu wyjaśnić ten mord, niezbędne jest wznowienie prac ekshumacyjnych. Ustaleniami IPN sprzed ponad 15 lat można się zadowalać, ale tylko jeśli nie zna się tematu bliżej.

WASZYNGTON OSTRZEGA

Właśnie w tych dniach miały się odbywać w Treblince prace ekshumacyjne prowadzone przez prokuratorów z Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (pionu śledczego IPN) oraz naukowców z Polski, USA i Norwegii. Wszystko było gotowe, specjaliści czekali na poniedziałek 15 kwietnia i wyjazd do mazowieckiej wioski, w której okolicach w czasie wojny mieścił się obóz pracy Treblinka I. Wytypowano tam nieznane dotąd miejsca pochówku ofiar, które postanowiono zbadać w trwającym od kilku lat śledztwie.

Niespodziewanie w piątek 12 kwietnia rzecznik Prokuratury Krajowej Ewa Bialik poinformowała, że prace się nie odbędą, a decyzję w tej sprawie podjął dyrektor GKSZpNP, zastępca prokuratora generalnego Andrzej Pozorski. Powód? Jak tłumaczyła prokurator, decyzja jest podyktowana tym, że „zgodnie z § 12 ust. 1 Rozporządzenia Ministra Zdrowia w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi z 1 grudnia 2001 r. ekshumacje zwłok i szczątków ludzkich są dopuszczalne do 15 kwietnia”. Zapytaliśmy więc Ewę Bialik, jak w takim razie w 2018 r. po 15 kwietnia mogło się odbyć pięć ekshumacji ofiar katastrofy smoleńskiej, prowadzonych przez samą Prokuraturę Krajową? – Też się dziwię – odrzekła pani rzecznik. Po dłuższym zastanowieniu dodała: – Jest to argumentacja wskazana przez IPN, oni uznali konieczność wstrzymania tych działań.

Wyjaśnijmy. Po pierwsze, formalnie decyzji wcale nie podjął IPN, lecz jego pion śledczy, na którego czele stoi zastępca prokuratora generalnego. Po drugie, ekshumacje w Polsce mogą się odbywać po 15 kwietnia i dopuszczają je to samo rozporządzenie ministra zdrowia w kolejnym punkcie, który stanowi, że musi się to odbyć za zgodą inspektora sanitarnego „przy zachowaniu ustalonych przez niego środków ostrożności”. Można było to przeprowadzić? Bez najmniejszego problemu. Dlaczego tak się więc nie stało? Najwyraźniej zdecydowała polityka. Międzynarodowa.

Tego samego dnia, 12 kwietnia, Onet poinformował, że Departament Stanu USA znów ostrzegł polski rząd w sprawie relacji z Izraelem. 10 kwietnia Matthew G. Boyse z Biura Stosunków z Europą Departamentu Stanu (nadzorujący Biuro Specjalnego Wysłannika ds. Holocaustu) napisał do polskiego ambasadora Piotra Wilczka: „Nasza ambasada w Warszawie dowiaduje się, że Instytut Pamięci Narodowej zacznie w poniedziałek ekshumację masowych grobów w Treblince I. Jeśli tak rzeczywiście jest, to – z czego niewątpliwie zdajecie sobie sprawę – wywoła to poważne obawy natury religijnej dotyczące jakichkolwiek planowanych ekshumacji obejmujących miejsca pochówku żydowskich ofiar Holocaustu. Czy bylibyście w stanie wyjaśnić, jakie IPN ma plany na te ekshumacje? Mamy nadzieję, że jakiegokolwiek ekshumacje będą przeprowadzone tylko pod warunkiem odpowiednio wcześniej przeprowadzonych konsultacji ze środowiskami żydowskimi w Polsce”.

Tradycja żydowska nie tylko dopuszcza, lecz czasem wręcz nakazuje przeprowadzić ekshumację

Najwyraźniej ostrzeżenie zadziałało. Z ekshumacji szybko się wycofano, co dało paliwo takim osobom jak Grzegorz Braun do okrzyków w stylu: „Polska nie wstała z kolan, Polska zmienia klęczniki”.

Środowiska żydowskie – czy to nad Wisłą, na Bliskim Wschodzie, czy za Atlantykiem – są na te kwestie szczególnie wyczulone. W oczywisty sposób trzeba łączyć sprzeciw wobec ekshumacji w Treblince (gdzie potencjalnie można było natrafić na szczątki żydowskich ofiar) z wciąż widniejącym na horyzoncie powrotem do ekshumacji w Jedwabnem. Samo podniesienie tego tematu wywołuje burzę, w której głównym argumentem jest rzekoma niena-

ruszalność ludzkich szczątków mająca wynikać z żydowskiej tradycji religijnej. Czy rzeczywiście?

CO MÓWI ŻYDOWSKIE PRAWO

Sięgnijmy do publikacji Piotra Kadłčika, wieloletniego przewodniczącego Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie. W 2014 r. na łamach „Kolbojnika”, biuletynu gminy, podał całą serię dowodów na to, że ekshumacja w Jedwabnem powinna się odbyć. Już w stanowisku Naczelnej Rady Religijnej Żydów w Polsce z 1949 r. czytamy: „Synagogi i bóżnice mogą być wydzierżawione tylko pod tym warunkiem, że pieniądze [...] będą wykorzystane na cele kultywowania cmentarzy [...], ewentualnie ekshumacje Żydów”.

Kadłčik przywołuje przypadek siedlecki, gdzie w 1949 r. ekshumowano 304 osoby, a także statystyki Centralnego Komitetu Żydów dotyczące ekshumacji w latach 1948–1949 w: Bochni, Bystrzycy, Czechowicach, Garwolinie, Górze św. Anny, Grójcu, Izabelinie, Jordanowie, Józefowie, Karczewie, Krakowie, Lubaczowie, Lublinie, Łazach, Łowiczu, Łukowie, Okuniewie, Opolu, Parysowie, Pieszcach, Pionkach, Poznaniu, Przemyślu, Radomiu, Rzeszowie, Siedlcach, Stutthofie (na terenie obozu), Świdrach Starych, Tarnowie, Toruniu, Tyszowcach, Warszawie i Zakopanem.

Autor przypomina, że w 1949 r. Joint (American Jewish Joint Distribution Committee, Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy) przekazał 2 mln zł m.in. właśnie na prace ekshumacyjne. A także cytuje ortodoksyjnego rabinę Josepha A. Polaka, byłego więźnia obozów w Westerborku i Bergen-Belsen, przewodniczącego Rady Halachicznej bostońskiego sądu rabinackiego: „Ofiary z Jedwabnego powinny zostać ekshumowane i pochowane ponownie, czy to na terenie pobliskiego cmentarza żydowskiego, czy to w Państwie Izrael. To, że nie jest to jedynie halachiczna opcja, lecz fundamentalny obowiązek, wynika jednoznacznie z wielu źródeł [...]. Rabin Karo mówi o tym w swoim komentarzu do Arbaa Turim i powtarza

w Szulchan Aruch w dyskusji na temat metej micwa [...]. Chacham Cwi stwierdza to wyraźnie, dopuszczając przeniesienie zwłok i ponowny pochówek [...], podobnie jak Chatam Sofer przy omawianiu ekshumacji wiedeńskich ofiar epidemii cholery”.

Piotr Kadłcik przypomina, co w tej sprawie stanowią zasady halachy (żydowskiego prawa religijnego): „1. Zmarłego można ekshumować w celu przeprowadzenia ponownego pochówku w Ziemi Izraela. 2. Zmarłego można przenieść do innej mogiły, jeśli pierwszy grób miał być w założeniu tymczasowy. 3. Zmarłego można przenieść z istniejącego grobu, jeśli znajduje się on w miejscu bez nadzoru i istnieje niebezpieczeństwo, że zostanie splądrowany, lub gdzie jest zagrożony powodzią. 4. Jeżeli grób znajduje się w nietypowym miejscu (poza cmentarzem), zmarłego można przenieść i pochować ponownie na cmentarzu żydowskim”.

Dodatkowo taką wykładnię potwierdzają przywoływane słowa wykładowcy prawa żydowskiego rabina Waltera Homolki, rektora Abraham Geiger College na uniwersytecie w Poczdamie i inne opinie rabiniczne, wciąż dostępne na stronie Kadłcika.

Nie ma więc chyba większych złudzeń – tradycja żydowska nie tylko dopuszcza, lecz czasem wręcz nakazuje przeprowadzić ekshumację. Dodatkowo wymaga ich polski Kodeks postępowania karnego, jeśli śledztwo dotyczy śmierci w niewyjaśnionych okolicznościach, a z takim przypadkiem mamy do czynienia w Jedwabnem.

GEST LECHA KACZYŃSKIEGO

Dlaczego to tak ważny wątek w całej sprawie? Bo był clou dyskusji nad formą ekshumacji prowadzonej na Podlasiu w 2001 r., gdy ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym był Lech Kaczyński. Trwało wówczas śledztwo w sprawie zbrodni z 1941 r. Na kilka dni przed rozpoczęciem zasadniczych badań wybuchł spór o ich dopuszczalność. Zarzewiem był wywiad naczelnego rabina Polski dla „Gazety Wyborczej”. „Trzeba wybierać między respektem dla zmarłych a potrzebą prawdy. Dla nas zwycięża to pierwsze.



Od kilku miesięcy historyk IPN dr Piotr Gontarczyk opisuje na naszych łamach liczne błędy i nieprawdy zawarte w książce „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” – włącznie z przypisywaniem policji granatowej zbrodni popełnionych przez policję żydowską

Moim, rabina, zdaniem ekshumacja jest niemożliwa z punktu widzenia naszej religii. Bo sędzę, że ekshumacja nie da wiele, a wiele zaszkodzi” – mówił wówczas Michael Schudrich.

Ostatecznie 30 maja rozpoczęły się prace archeologiczne. Trwały krótko, ledwie kilka dni. I przeprowadzono je w okrojony sposób – tylko w wierzchniej warstwie masowych grobów, nie podnoszono (a nawet nie dotykano) ani nie badano w laboratorium szkieletów, a jedynie popioły i drobne fragmenty kości. Lech Kaczyński poszedł na rękę stronie żydowskiej, przyjmując argumenty o poszanowaniu szczątków ludzkich według judaistycznej tradycji religijnej, i zgodził się na mocno ograniczone badania.

Kierujący zespołem archeologów prof. Andrzej Kola w swoim raporcie stwierdził wręcz, że była to „pseudo-ekshumacja”, a nawet „parodia ekshumacji”. W dokumencie profesora czytamy też m.in.: „Z eksploracji mogiły 1. wydobyto kilkaset przedmiotów stanowiących w większości własność ofiar, w tym wiele monet i wartościowych przedmiotów. Na uwagę zasługuje odkrycie pocisku kalibru 9 mm od pistoletu z wytopionym rdzeniem, o nie zdeformowanym kształcie, co sugerować może wstrzelenie go w tkankę ciała ludzkiego, która następnie dostała się do wysokiej temperatury (paląca się stodoła)”. Podważa to relacje niektórych świadków (i tezy Jana Tomasza Grossa), jakoby Polacy po zamordowaniu Żydów ograbili ciała. Z drugiej strony – po-

zwala wątpić w oficjalne ustalenia, jakoby ofiary nie zostały przed spaleniem stodoły zastrzelone.

Wciąż poruszamy się wśród domysłów, wątpliwości, hipotez. Dowodów brak, bo uniemożliwiono ich zebranie.

Choć, co ciekawe, dokończenia ekshumacji domagał się sam Gross. „Naszym obowiązkiem i gwałtowną potrzebą, o czym świadczy choćby niezwykle dyskusja tocząca się w Polsce od miesięcy, jest sprawę mordu w Jedwabnem wyjaśnić we wszystkich szczegółach [...] religia żydowska dopuszcza rozmaite wyjątki od zasady, że nie wolno niepokoić szczątków zmarłych. [...] nie ma powodu, by duchowni jakiegokolwiek obrządku rozstrzygali o tym, co Polacy i Żydzi polscy mają prawo wiedzieć o swojej wspólnej historii”. Tu akurat trudno się z Grossem nie zgodzić. I nie docenić, że wspiera (a przynajmniej przed laty tak było) prace, które obalają tezy stawiane przez niego w książce „Sąsiedzi”...

CO TAM SIĘ STAŁO?

To ta publikacja stała się maczugą, którą do dziś bije się Polskę i przypisuje współudział w Holokauście. Wiele pseudofaktów w niej zawartych obaliły nie tylko ekshumacje z 2001 r., wyniki śledztwa IPN (zakończonego w 2003 r., niepełnego, obarczonego wieloma błędami), lecz również liczne publikacje historyków. Na łamach „Sieci” szczegółowo obnażał to w 2016 r. dr Piotr Gontarczyk.

Wiemy więc m.in., że zamordowano wówczas nie 1,6 tys. osób, ale 300–400. Nie jest prawdą, że Polacy podpisali z Niemcami jakąś umowę na wymordowanie sąsiadów. Nie ma dziś żadnej wątpliwości, że zbrodnia odbyła się z niemieckiej inicjatywy i – co najmniej – pod niemieckim nadzorem (sąd, który badał sprawę w 1949 r., użył nawet sformułowania „pod terrorem”). Gontarczyk konkludował: „Polacy zachowywali się różnie: jedni ochotniczo wzięli udział w mordzie (do kilkunastu), inni zostali przymuszeni do udziału w zganianiu Żydów siłą, niektórzy ratowali Żydów”. I tak rozprawiał się z relacjami, na które powoływał się Gross: „Wszystkie relacje z tej zbrodni okazały się niewiarygodne, a głównymi oskarżycielami Polaków byli »naoczni świadkowie«: komunista mszczący się za śmierć brata – też sowieckiego kolaboranta – który tego dnia w ogóle nie przebywał w osadzie. Inne drastyczne opisy dotyczące Polaków (morderstwa i gwałty) zaczerpnięto z zeznań dwóch żydowskich świadków: Eliasza Grądowskiego i Abrama Boruszcza. Tylko że Grądowskiego w 1940 r. Sowieci wywieźli na Sybir za kradzież, więc żadnym świadkiem nie był. Także Boruszcza nie mieszkał nigdy w Jedwabnem i nie wiadomo, czy istniał. Oba zeznania są bardzo podobne i można postawić hipotezę, że zostały spreparowane w UB w ramach rozgrywek między gangami handlującymi pożywkami nieruchomości”.

Wiarygodność świadków podaje w wątpliwość także to, że w 2001 r. nie odnaleziono kolejnych masowych mogił w miejscach, które wskazywali. Co szczególnie dziwi, prokuratorzy IPN na początku XXI w. nie byli skorzy do dogłębnej weryfikacji zeznań. Co więcej, dali wiarę również tym, które zostały wymuszone przez ubeków biciem przesłuchiwanym.

Czy Polacy brali udział w tej zbrodni? Tak. Ilu zrobiło to z własnej woli, a ilu zostało zmuszonych niemieckimi karabinami? Tego nie wiemy. Czy ofiary zginęły w płomieniach, czy – jak wciąż sądzą wielu – od niemieckich kul? To kwestia wciąż dyskusyjna. Z jednej strony

ustalono bowiem w śledztwie IPN, że większość znalezionych łusek została wyprodukowana na początku wieku i pochodziła z czasów I wojny światowej, pozostałe zaś (mosiężne, na wyposażeniu niemieckiej armii od 1942 r.) zostały wystrzelone z karabinu wprowadzonego do użytku w 1942 r. Z drugiej jednak strony prof. Kola w rozmowie z „Rzeczpospolitą” pytał, z jakiej przyczyny tak znaczna liczba łusek znalazła się w jednym miejscu, i wskazywał, że pewna ich część, tych z mosiądzu, miała na spłonce wybitą datę 1939. Jest też pytanie, co odnaleziono by głębiej w jamie grobowej, gdyby tylko można było przeprowadzić prawidłową ekshumację.

Dokończenia ekshumacji w Jedwabnem domagał się sam Gross: „Nie ma powodu, by duchowni jakiegokolwiek obrządku rozstrzygali o tym, co Polacy i Żydzi polscy mają prawo wiedzieć o swojej wspólnej historii”

IPN CHCE DZIAŁAĆ

Temat powrócił do debaty publicznej przed kilkoma tygodniami, gdy prezes IPN Jarosław Szarek stwierdził, że Instytut jest gotowy do przeprowadzenia ekshumacji w Jedwabnem, jednak – jak dodał – „decyzja w tej sprawie nie należy do nas”, wskazując na prokuraturę.

Zapytany o te słowa wiceminister spraw zagranicznych Szymon Szynkowski vel Sęk mówił: „Mamy prawo i obowiązek dochodzenia do prawdy”. Podtrzymał to w rozmowie z „Siecią”: – Mam zaufanie do Instytutu Pamięci Narodowej. To instytucja, która powinna realizować i realizuje, w wielu elementach z sukcesami, ustalanie prawdy historycznej. Natomiast ważne jest, żeby wszelkie tego typu działania były podejmowane w poszanowaniu

uczuć, w tym przypadku uczuć religijnych, skoro prace dotyczą szczątków osób pochodzenia żydowskiego. Jestem przekonany, że IPN ma to na uwadze.

Dopytywany, czy wznowienie prac ekshumacyjnych może być zależne od decyzji zapadających poza Polską, odpowiada: – Decyzje dotyczące działań polskich instytucji zapadają w kraju. Byłoby przedziwne, gdyby działo się inaczej.

Co na to wszystko śledczy? Czy rozważane jest podjęcie na nowo śledztwa w sprawie Jedwabnego? Prokuratura Krajowa oświadczyła, że nie ma do tego podstaw. Śledczych nie przekonują relacje nowych świadków – we wrześniu

2017 r. zeznania w sprawie mordu złożyła 90-letnia Antonina K. W dniu zbrodni miała widzieć Niemców i pędzonych przez nich ludzi. Zdania nie zmieniono również po złożeniu do prokuratury petycji (wraz z kilkunastoma tysiącami podpisów) przez dr Ewę Kurek, historyk zajmującą się poszukiwaniem prawdy o Jedwabnem i od lat domagającą się wznowienia ekshumacji.

CZY TO NAM SIĘ OPŁACI?

To pytanie może się wydawać nie na miejscu. I słusznie, bo czy należy pytać, ile będzie nas kosztować prawda? Za ile sprzedamy dobre imię naszego narodu? Niestety polityka to funkcja skuteczności i ponoszonych na drodze do niej kosztów. W polityce wszystko ma przecież swoją cenę. Na dodatek wszystko się z sobą łączy. Nikt nie ma wątpliwości, że jesteśmy w o tyle trudnej sytuacji, że wszelkie kwestie związane z historią polskich Żydów trzeba rozważać w kontekście relacji z Waszyngtonem. Na fakty nie ma co się obrażać.

Dlatego jest poniekąd tak, że dziś politycy, mówiąc „Jedwabne”, myślą „Fort Trump”. Jeśli celem strategicznym jest bezpieczeństwo Polski, a to gwarantuje stała i znacząca obecność wojsk amerykańskich w naszym kraju, to obóz władzy zdejmie z agendy wszystko, co mogłoby stanąć na drodze do takiej umowy. Na jak długo zdejmie – to już jest inna sprawa. To tylko spekulacje, ale nie

byłoby dziwne, gdyby tego typu podłoże miała decyzja w sprawie Trebłinki.

W takim właśnie kontekście trzeba rozumieć wypowiedź wysoko postawionego polityka PiS, który zapytany o wznowienie ekshumacji w Jedwabnem, przyznaje nam anonimowo: – Oficjalnie nic panu nie powiem, ale w kierownictwie partii zapadła decyzja, by tego tematu nie ruszać. Przynajmniej na razie. Nie chcemy dodatkowych kłopotów.

Gdyby polski rząd zechciał jednak podjąć tę sprawę, mógłby liczyć na głos rozsądku również ze strony swych zwyczajowych adwersarzy. Poseł PSL Piotr Zgorzelski, historyk z wykształcenia, mówi w rozmowie z „Sieci”: – W powszechnej świadomości funkcjonuje opinia, że spaleni Żydów w Jedwabnem dokonali Polacy. Definitywnie sprawę tej zbrodni miała wyjaśnić ekshumacja szczątków ofiar, jednak została ona wstrzymana przez ówczesnego ministra sprawiedliwości śp. Lecha Kaczyńskiego wskutek nacisku części organizacji żydowskich, które uzasadniały swój sprzeciw względami religijnymi. Zdziwienie jednak budzi to, że w innych miejscach takie czynności są wykonywane i nie budzą sprzeciwu tych samych środowisk. Ekshumacja z pewnością wyjaśniłaby, ilu faktycznie Żydów tam zginęło, czy wszyscy stracili życie w płomieniach, może część z nich od ugodzenia jakimś narzędziem, a może od niemieckich kul.

Przed powrotem do prac archeologicznych w Jedwabnem przestrzega dr Sławomir Cenckiewicz. W marcu napisał na Twitterze: „Pamiętajcie moje słowa – ta ekshumacja nie przyniesie żadnych kategoriycznych rozstrzygnięć, a sprowadzi na Polskę katastrofę! Zweryfikujemy wpierw stare śledztwo i niezbadany wówczas materiał dowodowy wydobyty podczas ekshumacji poddajmy analizie!”. I dodawał: „Analizę wydobytych łusek w dużej części przeprowadzono w pierwszym śledztwie – i lipa. Jest część – i to jest fakt – łusek już wydobytych, a nie przebadanych”.

Wielu historyków i polityków zwraca uwagę, że choć to trudna kwestia, trzeba ją podjąć w rozmowach dyplomatycznych zarówno z Tel Awiwem, jak i Waszyngtonem. Były szef MSZ Witold



Prace ekshumacyjne w 2001 r. trwały raptem kilka dni. Na żądanie środowisk żydowskich zostały przerwane

Fot. East News/AP Photo/Michael Kosakowski

Waszczykowski mówił niedawno portalowi wPolityce.pl: „To powinno być wyjaśnione w trójkącie Polska–Izrael–Stany Zjednoczone i powinna zostać podjęta decyzja, czy wracamy do tej sprawy. Ekshumacje mogłyby pokazać, w jaki sposób ci ludzie zostali zgładzeni. [...] Polska miałaby kłopot, gdyby podjęła samodzielną decyzję. W kwestii Jedwabnego prawa roszczą sobie Izrael oraz diaspora żydowska. Warto by było więc to delikatnie rozstrzygnąć. Ale tym środowiskom również powinno na tym zależeć”.

Podobnego zdania jest historyk prof. Jan Żaryn, dziś senator PiS. Na antenie telewizji wPolsce.pl wskazywał, że aby wrócić do tematu, potrzebne są najpierw zakulisowe działania ze środowiskami żydowskimi, bez których „badania na terenie Jedwabnego będą niewiarygodne”. „Czy o to nam chodzi? Wygrać w tej sprawie można jedynie, przeciągając na swoją stronę część środowisk żydowskich. Jeżeli chcemy je zrobić po polsku, suwerennie, spotkamy się z bojkotem tych wyników” – przekonywał.

Wielokrotnie apelował też do polskiego MSZ o wprowadzenie do agendy relacji polsko-amerykańsko-żydowskich sprawy ekshumacji. W innym zaś wywiadzie, dla wPolityce.pl, tak mówił

o grillowaniu Polski, by wypłaciła niezbędne odszkodowania Żydom: „Dlatego trzeba zdać sobie sprawę, w jakiej rzeczywistości geopolitycznej funkcjonujemy. Dzieje się tak, bo strona żydowska doskonale zdaje sobie sprawę, że Ameryka jest dla nas partnerem strategicznym. Wyzyskuje więc tę sytuację i potrafi ją wykorzystać”.

Jak się za chwilę przekonamy, miał absolutną rację.

AMERYKANIE NACISKAJĄ

Przed niemal dwiema dekadami Lech Kaczyński miał dużo dobrej woli, jak zawsze w sprawach polsko-izraelskich. Jednak z perspektywy czasu widać, że została ona odrzucona. Dziś znów argument Jedwabnego jest podnoszony jako rzekomy dowód na kłamliwy współudział narodu polskiego w Holokauście. Nie można nie zakładać, że kampania oszczerstw pod adresem Polaków ma tło finansowe. Na drugim (a może raczej na pierwszym) planie są przecież wcale niewyimaginowane żądania środowisk żydowskich do mienia, którego spadkobiercy zginęli.

Kolejnym tego dowodem jest dokument, który w ubiegłym tygodniu ujawnił Stanisław Michalkiewicz. Chodzi

o notatkę MSZ ze spotkania ambasadora Jacka Chodorowicza (jest pełnomocnikiem szefa dyplomacji ds. kontaktów z diasporą żydowską) z Thomasem Yazdgerdim – jego amerykańskim odpowiednikiem – które odbyło się w listopadzie 2018 r. Rozmowa miała dotyczyć głównie restytucji mienia żydowskiego. Amerykanie mieli się domagać, by do jesiennych wyborów parlamentarnych strona polska „w konkretny sposób posunęła sprawę restytucji do przodu”, co miałyby oznaczać „negocjacje z przedstawicielami społeczności żydowskiej dotyczące finansów, a konkretnie – kwot możliwych rekompensat”.

„Strona amerykańska nie spodziewa się działań legislacyjnych w określonym wyżej horyzoncie czasowym [czyli przed wyborami – przyp. red.], natomiast uważa za możliwe konkretne rozmowy i działania niemające wymiaru publicznego i formalnego” – cytował pismo Michalkiewicz. Yazdgerdi miał

**Dziś znów argument
Jedwabnego jest podnoszony
jako rzekomy dowód
na kłamliwy współudział
narodu polskiego
w Holokauście**

też sugerować, że w przeciwnym razie mogłoby się to odbić na kwestiach bilateralnych w stosunkach polsko-amerykańskich. Jednak wbrew sugestiom towarzyszącym sprawie w notatce nie ma słowa o rzekomej zgodzie strony polskiej na taki tryb działań. To po prostu suchy opis dyplomatycznego spotkania i amerykańskich żądań.

W relacjach polsko-izraelskich nie musi więc wcale chodzić o prawdę hi-

storyczną ani nawet o relacje między dwoma narodami, tylko właśnie o setki miliardów, które próbuje się wyciągnąć z Polski – w dodatku przy użyciu amerykańskiej potęgi. Jest oczywiste, że w gardłowych sprawach nie rozmawiamy z samym Izraelem, lecz z imperium izraelsko-amerykańskim.

Ale jest równie oczywiste, że nie będziemy poważnym graczem na arenie międzynarodowej, dopóki nie wyzwolimy się z oków postkolonializmu na rzecz podmiotowości, nie przyzwyczaimy świata, że twardo zabiegamy o swoje interesy, że nie boimy się trudnych spraw, że opór potężniejszych partnerów nie odwiedzie nas od walki o prawdę.

Nie chodzi o bezmyślne konfliktowanie się na siłę z naszym głównym sojusznikiem, co jest na drugim tle każdego sporu z Tel Awiwem, lecz o prawo Polaków do obrony swojego dobrego imienia. Nawet jeśli miałyby to nas trochę kosztować.

REKLAMA

**WEŁACZAM
JEDYNKĘ
I WIEM!**

... bo słucham
Sygnałów Dnia.

JEDYNKA TO JEST RADIO



Jedynka
POLSKIE RADIO



W symbolicznych odczytaniach płonąca katedra stawała się enigmatyczną alegorią „płonącej Europy”, „płonącego Kościoła”, a w końcu także „płonącej Francji”

Trzy kryzysy i Notre Dame

Wwielkoponiedziałkowy wieczór, pracując przy komputerze, jakieś kilka minut po 7.00 zorientowałem się, że coś złego dzieje się w paryskiej Notre Dame. Włączyłem więc TV France 24, gdzie na żywo transmitowano już obrazy ognia dobywającego się zza wież katedry i kłębow żółto-czarnego dymu, które obiektyw kamery śledził, jak roznoszą się w stronę Sorbony i bulwaru Saint-Germain. Przez następnych sześć godzin wpatrywałem się z zapartym tchem w ekran telewizora, obserwując, jak języki ognia ogarniają coraz to nowe połacie dachu oraz obalają (krótko po 8.00) wyniosłą neogotycką sygnaturkę. Wyczekiwałem na tę chwilę (aż mniej więcej do kwadrans po 8.00), gdy w końcu strumienie wody zaczęły się łączyć na dach ze strażackich podnośników ustawionych pod gmachami okalającymi katedrę od północy, powoli tłumiąc niczym niehamowany dotąd ogień.



JAN ROKITA

ZAPRZECZENIE NIBY-OCZYWISTOŚCI

Okolo 10.00 zobaczyłem zdjęcie katedry widzianej z góry, z policyjnego drona. Był to obraz gigantycznego krzyża, o płonących wszystkich czterech ramionach. Patrząc na niego, trudno było nie odczuć czegoś, co nazwać by można (wykorzystując termin Witkacego) „dreszczem metafizycznym”. Nabra-

łem wtedy katastroficznego przekonania, że z Notre Dame nie zostanie za chwilę nawet kamień na kamieniu. Jednak koło północy okazało się, że akcja strażaków jest o wiele bardziej przemyślana i skuteczniejsza, niżli początkowo sądziłem. We wtorek nad ranem było już jasne, że katedra – choć potężnie zdewastowana – ocalała. Że ocalały nie tylko ołtarz, organy, skarbiec i sławny kogut z relikwiarzem z sygnaturki, lecz nawet większość sklepienia nawy głównej, które ochroniło wnętrze przed ogniem.

Tymczasem obraz płonącej katedry, i to u progu Wielkiego Tygodnia, nabierał nie tylko w mojej wyobraźni coraz większego znaczenia symbolicznego. Symbol to – jak wiadomo – rzecz dość tajemnicza. Coś, co w metaforyczny, „poetycki” sposób przenosi naszą wyobraźnię z jednego zjawiska na całkiem inne, zazwyczaj bez jakiegosć ścisłego związku logicznego pomiędzy nimi. Na zdrowy rozum ogień buchający z wnętrza Notre Dame nie miał przecież żadnego logicznego powiązania ani z falą wstrząsów społecznych, jaka ogarnęła Francję za prezydentury Macrona, ani z rosnącą falą ataków na religię i trwającym za pontyfikatu Franciszka upadkiem w masach autorytetu Kościoła rzymskiego. Podobnie jak nie sposób wymyślić żadnej logicznej więzi pomiędzy palącą się katedrą a politycznymi perturbacjami Unii Europejskiej, w której trwa właśnie zaostrzona wojna ideologiczna i rozpoczyna się proces konfliktowej wymiany elit. To wszystko są niby racjonalne oczywistości.

A jednak to, co się wydarzyło w tamten poniedziałkowy wieczór, było zaprzeczeniem owych niby-oczywistości. Rzecz ludzi tak samo jak ja patrzyła na obraz płonącej katedry, a patrząc nań – odnosiła go wprost do któregoś z tych trzech kryzysów albo nawet często do wszystkich naraz. I to właśnie z tego powodu ogień dobywający się z wnętrza Notre Dame nabrał nagle nieoczekiwanych politycznych sensów. Pobudził bowiem zbiorowe uczucia niepewności i zagubienia w obliczu rozchybotania świata oraz zachwiania jego porządku politycznego i religijnego. Jeśli w XXI w. w samym sercu Paryża ot tak może spłonąć Notre Dame, to znaczy przecież, że w gruncie rzeczy wszystko może się wydarzyć. Jak nie bez racji mówiła w tamten poniedziałkowy wieczór dziennikarzowi „Le Figaro” jedna z paryskich działaczek samorządowych, ów ogień wyzwolił zwłaszcza pośród Francuzów „poczucie całkowitej kruchości naszego społeczeństwa, pozbawionego stałych punktów odniesienia”. W swoich symbolicznych odczytaniach płonąca katedra stawiała się jakąś enigmatyczną alegorią „płonącej Europy”, „płonącego Kościoła”, a w końcu także „płonącej Francji”.

SANKTUARIUM I IKONA POPKULTURY

Muszę przyznać, że nigdy nie należałem do wielkich miłośników paryskiej katedry. Zresztą nie tylko Notre Dame, bo dotyczy to większości starych paryskich kościołów. Pustoszone przez powracające w historii Francji fale nienawiści do rzymskiego katolicyzmu są dziś zaledwie cieniem tego, czym były w epoce swoich średniowiecznych budowniczych. Katedrę pustoszyli najpierw w XVI w. hugenoci, potem w XVIII – zrewolucjonizowana tłuszcza poszczuta przez jakobinów, wreszcie w stuleciu XIX – komunardzi. Nic dziwnego, że w XIX w. myślano nawet o jej rozbiórce, ale w końcu zamiast tego przeprowadzono gruntowną neogotycką rekonstrukcję. W porównaniu z natchnionym średniowiecznym wnętrzem katedry w Chartres albo renesansowym wystrojem włoskich katedr w Sienie czy Orvieto – Notre Dame, zwłaszcza w swoim wnętrzu, robiła na mnie wrażenie pewnej sztuczności, religijnego chłodu i estetycznej obcości. Nakładało się jeszcze na to tak charakterystyczne dla paryskich świątyń

zaniedbanie niezbędnych bieżących remontów. Kiedy parę miesięcy temu minister kultury Piotr Gliński inaugurował w paryskiej katedrze kaplicę MB Częstochowskiej, opowiadał potem publicznie o skargach rektora katedry na dojmujący brak pieniędzy na remonty. Pożar sprawił teraz, że ponad 1 mld euro na odbudowę zebrano niemal natychmiast – zarówno z funduszy publicznych, jak i z donacji magnatów francuskiej gospodarki.

Wszystko to jednak nie ma najmniejszego wpływu na dwie oczywistości. Przez swoją potężną, a jednak lekką bryłę architektoniczną z charakterystycznymi przyporami; przez położenie na wyspie Île de la Cité, w samym centrum, drugiej obok Rzymu najważniejszej historycznie i kulturowo metropolii Europy; a w końcu przez swój nierozłączny związek z narodową i polityczną tradycją Francji – Notre Dame stała się czymś na kształt europejskiej ikony, znanej prawie każdemu dziecku. W epoce gdy o znaczeniu czegokolwiek decyduje liczba „polubień”, dziennikarze wszystkich stacji prześcigali się w poniedziałek w epatowaniu publiczności idącymi w miliony liczbami turystów przybywających do katedry, przewyższającymi ponoć nie tylko Luwr, Disneyland, lecz nawet Wieżę Eiffla. To po pierwsze.

Po drugie zaś, oczywistością jest również doniosłość paryskiej katedry dla zachodniego chrześcijaństwa. Przez to, że władcy Francji rościli sobie przez wieki pretensje do roli „reges christanissimi” (czyli „królów arcychrześcijańskich”), ale także przez powracające we Francji fale antykatolickiej rewolty, paryska katedra zyskała przez wieki status drugiej co do ważności po papieskiej bazylice św. Piotra świątyni katolickiej Europy. To dlatego właśnie pożar Notre Dame wykroczył, jeśli idzie o jego publiczne znaczenie, daleko ponad miarę wszystkich, nawet tych najbardziej tragicznych pożarów, które zdarzyły się w Europie po II wojnie światowej. W poniedziałkowy wieczór na oczach świata płonęło bowiem jednocześnie kluczowe sanktuarium katolickie i ikona popkultury. Doprawdy trudno o melanz o silniejszej symbolicznej wymowie.

Dlatego właśnie tak powszechna stała się potrzeba symbolicznej interpretacji całego zdarzenia. Jednak to, co symboliczne, zawsze jest bardzo chwiejne. Pożar Notre Dame niemal u każdego wzbudził, choć po trosze, ów „metafizyczny dreszcz”, ale już racjonalizacje owego „dreszczu” z natury rzeczy musiały powędrować w całkiem odmiennych kierunkach. To charakterystyczne, że temu swoistemu klimatowi niezwykłości i tajemnicy uległy nawet lewicowe media. „The Guardian” pisał w tytule o „siłach piekielnych, które zdewastowały katedrę”, a korespondent paryski „Gazety Wyborczej” donosił z emfazą o panującej w mieście „atmosferze konfrontacji z metafizyczną siłą, która w ciągu dwóch godzin zamieniła symbol Paryża w zgłiszcz”. Dla ludzi wierzących (także dla mnie) najmocniej narzucająca się symbolika „płonącego krzyża” Notre Dame, na tle zapadającego w Paryżu wieczoru – to znak wzywający do osobistego religijnego nawrócenia.

Jednak w chwili gdy na całym Zachodzie rozgorzała właśnie wojna o kulturę, dla której wynikiem centralną kwestią jest publiczna rola Kościoła i głoszonych przezeń zasad

Największa świątynia światła

Już w XIV w. była jedną z najbardziej okazałych świątyń chrześcijańskich i przez kolejnych siedem stuleci nic się w tej kwestii nie zmieniło. Dzieło dynastii Kapetyngów powstawało prawie 200 lat – to mniej więcej tyle, ile dziś dzieli nas od wojen napoleońskich

Pierwotnie najważniejszym kościołem Francji była nie katedra Notre Dame, lecz opactwo Saint-Denis-en-France. To w tamtejszych kryptach spoczywają tacy władcy jak Karol Młot, Pepin Krótki czy Karol Łysy. Trzy kolejne rody rządzące Francją od czasów Dagoberta właśnie to miejsce wybierały na swoją nekropolię. Tam też po koronacji królowie składali swoje insygnia, stamtąd zabierano proporce, gdy ruszano na liczne skądinąd wojny. Tu wreszcie za sprawą jednej osoby, mnicha Sugera, syna św. Benedykta, narodził się gotyk. Jak pisał Bernard z Clairvaux: „Niechaj dusza poszukuje światła, za światłem podążając”. I to właśnie ta myśl towarzyszyła Sugerowi, gdy przebudowywał Saint-Denis. Ogromne okna, niefiguratywne witraże, liczne otwory w ścianach, a do tego sklepienie krzyżowo-żebrowe powodowały, że w początkach XII w. świątynia chrześcijańska stawała się świątynią światła dosłownie. To właśnie gra światłem, w większym stopniu niż same mury czy zdobienia, sama w sobie stanowiła liturgię.

Ten styl błyskawicznie rozprzestrzenił się we Francji, tak jak szybko mnożyły się klasztory zakonu cystersów. W 1163 r., kiedy na wyspie Île-de-la-Cité w miejscu po dwóch mniejszych kościołach stojących tu od ponad stulecia rozpoczynano budowę potężnej katedry, ten cysterski styl był jedynym, o którym dało się wówczas pomyśleć. Gdy rozpoczęto prace, Francją władła dynastia Kapetyngów, konkretnie Ludwik VII zwany Młodym. Według standardów epoki nie był już aż tak młody, bo w tym momencie liczył sobie 43 lata, za sobą miał udział w drugiej krucjacie, a przed sobą wiele reform, które miały spory wpływ na rozwój potęgi średniowiecznej Francji.

Czy katedra Notre Dame miała być jego pomnikiem? Panująca wówczas ekonomia wiary narzucała pogląd, że każda ofiara materialna na rzecz Kościoła przybliża do zbawienia, więc być może tak. Miał jednak świadomość, że budowa katedry nie może trwać krócej niż kilka dziesiątków, a czasem nawet setek lat – po takim czasie ludzie nie pamiętaliby nawet, za czyjego panowania rozpoczęto prace. Świetnie opisał ten proces Ken Follett w „Filarach ziemi”. Wydaje się więc, że Ludwik był po prostu władcą



moralności, symbol ów nieuchronnie musiał nabrać znaczenia politycznego. Zwłaszcza w sieci zaczęły się więc mnożyć wezwania, najczęściej pełne patosu, do walki z naporem ateizmu i zepsuciem obyczajów, propagowanym w imię skrajnie rozumianej wolności przez europejską lewicę, wspieraną przez obóz coraz bardziej „postępowych” liberalów. Płonąca katedra jako symbol „płonącej Europy” (jak napisał na Twitterze nie tylko kard. Dziwisz) stała się więc „znakiem” o ściśle politycznym charakterze, mającym służyć mobilizacji szeregow katolików do obrony swoich pozycji w europejskiej polityce. Nie trzeba dodawać, że choć nikt nie odważa się tego wyrazić otwarcie, symbol ten już stał się nieuchronną częścią finalizującej się właśnie, bardzo tym razem ideologicznej, kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. „Może dla Europy jest jeszcze jakaś szansa?” – napisał w sieci pod zdjęciem ognia buchającego z dachu Notre Dame jeden z polityków polskiego obozu rządowego.

Nie koniec na tym, bo płonąca katedra to przecież nie tylko świetna metafora „płonącej Europy”, lecz również „płonącego Kościoła”. Notre Dame zapaliła się przecież ledwie kilka dni po tym, jak „drugi papież” na emeryturze zdecydował się publicznie wystąpić z całkiem odmienną diagnozą kryzysu Kościoła od tej, którą znamy ze słów prawdziwego papieża. A ta jego diagnoza uznana została np. na nieoficjalnym portalu biskupów niemieckich Katholisch.de za „pismo wojenne przeciw urzędującemu papieżowi”. Spór nie jest błahy, bo owa różnica diagnozy przesądza o wyborze przez Kościół rzymski jednej z dwóch sprzecznych dróg: powrotu do korzeni albo przyspieszonej modernizacji. Katolicy progresiści z natury rzeczy nie przywiązują wagi do tego rodzaju „znaków”. Jednak w katolickim obozie zachowawczym płonąca katedra czytana jest niemal jako prorocтво domagające się świadectwa wiary. Maszerujące od kościoła Saint-Sulpice (który niedawno przeszedł próbę podpalenia) w kierunku Notre Dame modlitwne pochody świeckich katolików gromadzą po prostu ludzi wierzących i przejętych nie najlepszą dzisiejszą sytuacją Kościoła. Ale to nie przypadek, że (jak relacjonują dziennikarze) podobnie jak poniedziałkowe modlitwy młodzieży na brzegu Sekwany organizowane są one

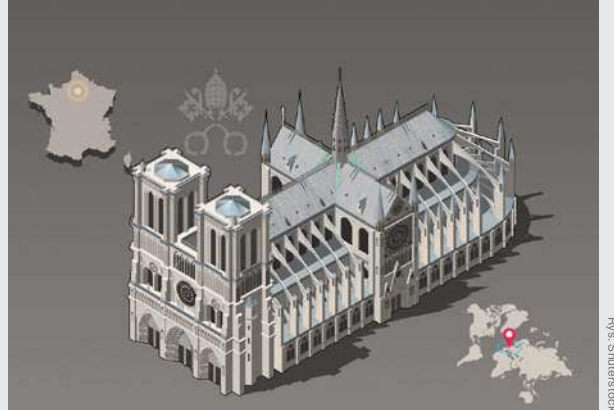


Fot. East News/EPA POOL

przez środowiska katolików zachowawczych. Kontynuatorów tych, którzy sześć lat temu zorganizowali na Polach Elizejskich niemal milionową manifestację przeciw legalizacji małżeństw jedнопłciowych.

SENS „ZNAKU” WEDŁUG MACRONA

Wreszcie pożar katedry okazał się bezceremonialną ingerencją w bieżące francuskie życie polityczne. Wybuchł bowiem akurat niewiele ponad godzinę przed planowanym terminem kluczowego przemówienia Macrona, które miało być „fundamentalną odpowiedzią” na przewlekłą rewoltę ruchu „żółtych kamizelek”. Zamiast tego prezydent w emocjonalny sposób mówił Francuzom spod bram Notre Dame o tym, że owa katedra „to nasza historia, sztuka i wyobraźnia, to centrum naszego życia”. Można przypuszczać, że gdyby nie pożar, takie słowa na temat jakiegokolwiek świątyni katolickiej nie przeszłyby przez usta przywódcy „laickiej republiki”. Za taką postawę, a zwłaszcza za ambitny plan odbudowy katedry w ciągu pięciu lat, czyli na paryską olimpiadę 2024 (to data podyktowana przez wymogi popkultury) chwalił Macrona nie tylko francuskie media, lecz także jego zagorzali przeciwnicy polityczni z prawicy i lewicy. Podobnie jak po okrutnym ataku na klub Bataclan cztery lata temu, Francja manifestuje dziś swoją jedność w obliczu owego „symbolicznego nieszczęścia”. Obóz Macrona zaś próbuje nadać symboliczny wymiar nie tyle samej płonącej katedrze – która zaniedbana finansowo przez lata i niezabezpieczona dostatecznie przed ryzykiem pożaru (choć pięć lat temu zrobiono tam instalację przeciwpożarową) mogłaby komuś wydać się symbolicznym obrazem źle rządzonego i grzęznącego w protestach państwa („płonąca Francja”) – ile raczej konstruktywnemu wysiłkowi całego narodu na rzecz odbudowy katedry, który mają zgodnie podjąć, pod przywództwem samego Macrona, francuscy katolicy, ateści, muzułmanie i żydzi. Ten „znak” będzie eksploatowany teraz w polityce przez obóz liberalny jako symboliczna kontrakcja, mająca równoważyć przebudzenie katolików i tradycjonalistów, wywołane językami ognia nad paryską katedrą Notre Dame.



Ryś. Shutterstock

pobożnym, o czym świadczy zresztą jego polityka wobec Kościoła i Rzymu. Kontynuował ją zresztą jego wyjątkowo utalentowany syn Filip August, który nie tylko uporał się z Anglikami, lecz również, dążąc do unifikacji kraju, przeprowadził udaną krucjatę przeciwko Albigensom (zamieszkującym południową Francję członkom ruchu religijnego uznawanego za heretycki). W istocie nie była to herezja, ale rodzaj manichejskiego, dualistycznego spojrzenia na chrześcijaństwo. Nie było ono jednak zgodne z wytycznymi Rzymu, a Filip August podobnie jak ojciec chciał zachować dobre stosunki z papieżem.

Kiedy Filip umierał w 1223 r., budowa Notre Dame trwała już 60 lat, a nie osiągnęła nawet połowy swojego ostatecznego kształtu. Była wówczas jeszcze dość bezkształtną bryłą, przy której krzątały się kolejne już pokolenia robotników i architektów. Sporo zmieniło się podczas długiego panowania Ludwika Pobożnego – władcy potężnego, nawet przez tradycyjnie wrogich mu Anglików zwanego „panem ziemskich ludów”, przez Kościół katolicki uznanego za świętego. Budowa trwała nawet wtedy, gdy w jej trakcie po raz kolejny zmieniło się stulecie. Zmieniła się też dynastia. 1 lutego 1328 r. zmarł ostatni z Kapetyngów, Karol IV Piękny, na tronie zasiadł zaś pierwszy z Walezjuszy, Filip VI. W Polsce dynastia ta nie cieszy się zbyt dużą estymą z uwagi na mającego się urodzić dwa stulecia później Henryka – pierwszego dość niefortunnego władcę elekcyjnego, który potajemnie uciekł z Krakowa. Dla Francji ród ten zrobił jednak wiele dobrego. Między innymi w 1345 r. zakończył budowę katedry Notre Dame, która z miejsca stała się centralnym obiektem sakralnym Francji i symbolem Paryża.

Jej budowa trwała 182 lata. Rozpoczęła się w rozkwicie średniowiecza, zakończyła – u progu renesansu. Gdyby przełożyć to na dzieje Polski, rozpoczęła się w okresie rozbicia dzielnicowego, kiedy zwierzchnią władzę dzierżył teoretycznie drugi syn Bolesława Krzywoustego, Bolesław Kędzierzawy; zakończono ją, gdy na krakowskim tronie zasiadł ostatni piastowski król – Kazimierz Wielki. Nawiasem mówiąc, odniesienia do Polski nie są tu bezzasadne. Kiedy 30 lat po zakończeniu budowy Notre Dame w odległym Krakowie koronował się wielki książę litewski Jagiełło, w ceremonii znaczną rolę odegrał relikwiarz drzewa Krzyża Świętego, który towarzyszył również koronacjom kolejnych Jagiellonów. Wywiozł go z Polski dopiero w połowie XVII w. król Jan Kazimierz – zresztą nielegalnie – po swojej abdykacji. Pokrętnymi kolejami losu relikwiarz ten trafił do Francji i do dziś znajduje się w katedrze Notre Dame.

Wojciech Lada

*Czy Francja, która burzy
kościół i przerabia
świątynię na knajpy,
oprzytomnieje i odrodzi
się po pożarze katedry
Notre Dame?*



Przed zburzeniem katedry św. Jakuba burmistrz Abbeville nie wystąpił nawet do biskupa z propozycją desakralizacji świątyni. Na jej miejscu powstał parking

Fot. Youtube.com

Płonące serce Europy



MARZENA NYKIEL

Wielki Poniedziałek. Centrum Paryża. Płonąca świątynia Notre Dame. Cała Europa zamarła, widząc, jak agresywne języki ognia bezlitośnie trawią najważniejszą katedrę „najstarszej córki Kościoła” – Francji. Notre Dame – serce Paryża, serce chrześcijańskiej cywilizacji, płonie. Ukryte w nim najważniejsze symbole chrześcijaństwa – korona cierniowa i gwóźdź z Krzyża Pańskiego zagrożone były bezpowrotnym zniszczeniem. Czy to tylko zwykły pożar, jak przekonują niektórzy? Ci, którzy patrzą głębiej i widzą więcej, nie mają wątpliwości, że to dramatyczne wydarzenie jest upiornie symboliczne. Kończy się pewna epoka i rodzą się ważne pytania. Czy ten porażający obraz sprowadzi na Francuzów otrzeźwienie? Czy nihilistyczna Francja, której przeszkadzają krzyże i papieskie pomniki, zdoła sięgnąć po siłę, z której dobrowolnie zrezygnowała?

SOLIDARNOŚĆ I BÓL

Przez cały czas trwania akcji gaśniczej oczy całego świata zwrócone były w stronę płonącej katedry. „Apokaliptyczny widok”; „Właśnie skończyła się jakaś część naszej cywilizacji”; „Tragedia

dla ludzi wierzących, katastrofa dla światowej kultury i sztuki” – pisali z bólem internauci. Liczne były też głosy polityków. „Notre Dame płonie. Francuskiej eurodeputowanej płacz przerywa wystąpienie w debacie plenarnej w Parlamencie Europejskim w Strasburgu. Kilko europosłów do niej podchodzi, z różnych stron sali. Wszyscy wstrząśnięci. Może jeszcze jest ratunek dla cywilizacji europejskiej” – napisał na Twitterze europoseł Jacek Saryusz-Wolski. „Płonie katedra Notre Dame, jeden z symboli chrześcijańskiej Europy. Porażające...” – czytamy na profilu premier Beaty Szydło. „Płonie katedra Notre Dame – to wielka tragedia, która dotyka nie tylko Naród Francuski. 1 grudnia 2018 r. wraz z Polonią uroczystie odsłanialiśmy tam Polską Kaplicę” – wspominał marszałek Senatu Stanisław Karczewski. „Przerazający i bolesny widok płonącej katedry Notre Dame. Jacy jesteśmy bezsilni wobec żywiołu” – napisała Małgorzata Kidawa-Błońska, posłanka PO. „Brak słów. Na oczach całego świata pali się historia Francji, Europy, świata. W takich chwilach doceniamy prawdziwe znaczenie dziedzictwa i kultury. Dlaczego tylko wtedy? Wyrazy solidarności dla wszystkich Francuzów” – podkreślił na Twitterze minister Piotr Gliński.

Prezydent Andrzej Duda natychmiast zadeklarował pomoc Polski w odbudowie świątyni. „U nas ludzie już się zgłaszają gotowi złożyć datki na odbudowę katedry Notre Dame. Dziękuję za to, bo jestem przekonany, że odbudowa katedry może się stać symbolem odbudowy Europy. Odbudowy Europy na

jej prawdziwym, historycznym, judeo-chrześcijańskim fundamencie” – napisał prezydent na Twitterze. W podobnym tonie wybrzmiał wpis premiera Mateusza Morawieckiego: „Polska wie, co to znaczy utracone dziedzictwo zniszczone w pożodze. Warszawę odbudowaliśmy z ruin sami. Katedrę Notre Dame odbudujemy wszyscy razem jako Europejczycy. To wspomniały symbol Paryża, jak i naszej Europy”.

DEMOLOWANIE KOŚCIOŁÓW

Nie można patrzeć na pożar katedry, nie uwzględniając pełnego kontekstu. Zaledwie miesiąc temu wybuchł pożar w kościele Saint-Sulpice (drugiej największej świątyni katolickiej w Paryżu). Podobnie jak Notre Dame narażony był na liczne ataki. W czasie rewolucji francuskiej został przemianowany na Świątynię Zwycięstwa i sprofanowany. Wnętrze w dużej mierze zniszczono.

Czy pożary były przypadkowe, czy też za zaproszeniem ognia ktoś jednak stał? Na razie nie wiadomo. Wiemy jednak, że zlaicyzowana Francja od lat ma problem z katolickimi świątyniami. Są dla niej kłopotem, którego brutalnie próbuje się pozbyć. Zabytkowe kościoły są niszczone, burzone, likwidowane z zimną krwią. Można się o tym przekonać, przeglądając w internecie filmy, na których widać, jak lycha koparki wdzierają się we wnętrza świątyń, niszcząc gotyckie sklepienia, witraże i rzeźby. Skąd takie barbarzyństwo w samym sercu Europy?

Wprowadzony w 1905 r. ustawowy rozdział państwa od Kościoła sprawił,

że cała infrastruktura kościelna stała się własnością państwa lub gmin. Kościół, który nie posiadał osobowości prawnej, mógł jedynie dzierżawić (za pośrednictwem stowarzyszeń parafialnych) kościoły, klasztory, plebanie czy sierocińce. W laickich strukturach, prześląkniętych antyklerykalizmem, zabrakło troski o zachowanie chrześcijańskiego dziedzictwa. Liczba wiernych spadła do marginalnego minimum. Francuskich miast i gmin nie stać na renowację kościołów, nie czują też wewnętrznego zobowiązania, by je pielęgnować. Zaczęły je więc wymieniać na gotówkę, wynajmując lub sprzedając prywatnym właścicielom. Hotele, dyskoteki czy restauracje w dawnych katolickich świątyniach to znak zlaicyzowanej Europy, która nie ma żadnych hamulców. Dowodem na to jest burzenie zabytkowych świątyń. Niektóre równano z ziemią, dopuszczając się profanacji.

W wielu miejscach decyzje zapadają przy biurkach lokalnych władz, często stanowiąc zaskoczenie dla bezsilnej garstki wiernych. Tak tragiczny los spotkał m.in. katedrę św. Jakuba w Abbeville. Przed jej zburzeniem nie wystąpiono nawet do biskupa z propozycją desakralizacji świątyni. W czasie destrukcji kościoła wielokrotnie dopuszczono się profanacji. Do przyczepy na gruz wrzucono wielki, zabytkowy krucyfiks. Katedry św. Jakuba już nie ma. Jej burzenie zakończono w kwietniu 2013 r. Neogotycka świątynia, zaprojektowana przez Victora Delefortrie,

wzniesiona w latach 1868–1876 na miejscu kościoła z XII w., została zrównana z ziemią w ciągu kilkunastu dni. W czerwcu 2013 r. burmistrz Abbeville przedstawił plan zagospodarowania odzyskanego terenu. W miejscu katedry przewidziano 45 miejsc parkingowych.

W innym francuskim mieście również na zlecenie burmistrza i Rady Miejskiej zburzono kościół św. Piotra, którego historia sięgała XVI w. Świątynia w Gesté ulegała licznym przebudowom, a jej ostatnia forma pochodziła z XIX w. Od września 2013 r. kościół nie istnieje.

Potężny problem stanowi także zmiana społeczno-religijnej struktury Francji. Najnowsze dane Obserwatorium Chrystianofobii budzą grozę. Katolickie świątynie są masowo profanowane. Wystarczy spojrzeć na doniesienia z ostatnich miesięcy. Spłądrowany klasztor Saint-Jean des Balmes w Veyreau w departamencie Aveyron, młodzież oddająca mocz do kropielnicy kościoła w Villeneuve-de-Berg, rozrzucone i podeptane hostie za ołtarzem bazyliki Saint-Eutrope à Saintes w departamencie Charente-Maritime. To przykłady profanacji tylko z marca br. W 2018 r. odnotowano 1 063 takie bluźniercze akty, o prawie 30 więcej niż rok wcześniej – podaje francuski dziennik „Le Figaro”, powołując się na dane Obserwatorium. Liczba profanacji wzrosła na przestrzeni ostatnich ośmiu lat o ponad 100 proc. Każdego dnia zgłaszane są dwa przypadki profanacji. Tylko w lutym 2019 r. zareje-

strowano 49 przypadków wandalizmu. W 2014 r. zniszczono lub sprofanowano 807 miejsc kultu i cmentarzy, z czego 673 przypadki dotyczyły obiektów chrześcijańskich. Sprawcami napadów są głównie muzułmanie.

ODRĘTWIENIE DUCHOWE

Wyrwanie chrześcijańskich korzeni trwało we Francji przez pokolenia. Wolność, równość i braterstwo miały zastąpić „wstydliwą” chrześcijańską przeszłość. Nowoczesna Europa nie może sobie przecież pozwolić na zaściankowość. Miało być multikulturowo, tolerancyjnie, bezhamulcowo, bezkrytyczne i w efekcie bezmyślnie. Nowomowa opanowała umysły i dusze. Poprawność polityczna odebrała Francuzom zdrowy rozsądek, a prawo zmieniło się w legalizację bezprawia. Francja wyparła się wiary w Chrystusa, przyjmując wiarę w ludzką nieograniczoność. Prawda stała się relatywną przypadłością, moralne kręgosłupy zostały przetrącone, tożsamość pękła, kościoły opustoszały. Pustka, wykorzenienie, pseudonowoczesność. Idealna przestrzeń pod tworzenie nowej tożsamości, nowej siły, nowej tradycji. Muzułmanie już zaczęli ją zagospodarowywać. Aż chciałoby się zawołać słowami św. Jana Pawła II z 1985 r.: „Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?”.

Co na to Francja? Ma jeszcze szanse poderwać się z duchowych popiołów? Czy spalona katedra Notre Dame otworzy serca Francuzów? Tragiczne wydarzenie z Wielkiego Poniedziałku pokazuje, że nadzieja nie umiera nigdy. Widok modlących się ludzi przed gaszoną przez strażaków świątynią porusza do głębi. Proboszcz katedry, odziany w mundur strażacki, uchronił przed ogniem Najświętszy Sakrament. Ocalała też korona cierniowa Chrystusa, gwóźdź, którym został przebity, i fragment Krzyża Pańskiego. Nie zostały też naruszone relikwie św. Jana Pawła II ani kopia obrazu Matki Bożej Częstochowskiej znajdujące się w polskiej kaplicy. Ogień ugaszono po wielu godzinach walki z nim. Odbudowa zajmie wiele lat. Oby serca poruszone widokiem gorzącej w Wielkim Tygodniu katedry przeszły duchową odnowę.



Kościół św. Piotra w Gesté, którego historia sięga XIV w., decyzją lokalnych władz przestał istnieć w 2013 r.

Fot. YouTube.com



DOROTA ŁOSIEWICZ

Zdanych OECD za 2018 r. wynika, że Polsce nauczyciele mają jedno z niższych zarobków w Europie. Najbardziej opłaca się być nauczycielem w Luksemburgu, gdzie początkujący belfer może zarobić w szkole średniej ponad 79 tys. dolarów rocznie, a weteran – nawet 138 tys. dol. Nieźle wiedzie się także najbardziej doświadczonym nauczycielom w Szwajcarii (109 tys. dol.), Niemczech (92 tys. dol.) i Holandii (84 tys. dol.). Niestety, pedagodzy ze Słowacji, Czech, Polski i Węgier (na końcu swojej kariery zawodowej) zarabiają poniżej 30 tys. dol. rocznie. W Polsce maksymalne roczne zarobki doświadczonego nauczyciela ze szkoły średniej czy podstawowej to 26 tys. dol. Początkujący nauczyciel zarobi w ciągu roku znacznie mniej – ok. 15 tys. dol. Lepiej niż w Polsce zarabiają np. nauczyciele m.in. z Turcji, Kostaryki czy Chile.

ANNA, Warszawa, 10 lat w zawodzie, jedno dziecko, strajkuje. Zarobki miesięczne netto z dodatkiem motywacyjnym (ok. 600 zł brutto) – 2807 zł.

– Od półtora roku pracuję w przedszkolu państwowym, wcześniej pracowałam w prywatnym. Jestem nauczycielem kontraktowym. Zrezygnowałam z awansu, ponieważ zająłby zbyt dużo czasu i zbyt dużo by kosztował, a podwyżka byłaby minimalna – relacjonuje pani Ania. – W ciągu tygodnia na pracę dydaktyczną z dziećmi poświęcam 25 godz., czyli 5 godz. dziennie. Jednak obowiązuje mnie 40-godzinny tydzień pracy. W to wchodzi przygotowanie do zajęć, drukowanie i szukanie materiałów, dokumentacja dziennika, plany miesięczne, sprawozdania z pracy, przygotowanie harmonogramu planowanych zajęć, rozmowy indywidualne, zebrania i warsztaty z rodzicami, rady pedagogiczne, wycieczki, i to znacznie przekracza ten czas. Przeważnie część



Co gryzie polskiego belfra

Polscy nauczyciele spędzają przy tablicy najmniej godzin w Europie. Z raportu OECD za 2018 r. wynika, że jest to 18 godzin tygodniowo, a europejska średnia wynosi 26 godzin. Niestety są też niemal najslabiej w Europie opłacani. Jak im się na co dzień żyje, co myślą o swojej pracy i nauczycielskim strajku – oddajemy im głos

tej pracy wykonuję w domu, kiedy rodzina już śpi. W pracy nie mam oficjalnej przerwy, często bywa tak, że kawę, o ile uda się zrobić, piję zimną, posiłki jem w pośpiechu, najczęściej jest to kanapka. W mojej placówce nawet nie ma krzesła ani biurka dla nauczyciela, bo przecież ma być przy dzieciach. Ciągła pozycja stojąca lub siedząca na dywanie czy na krzesłach dla dzieci powoduje duże problemy zdrowotne. Najbardziej doskwiera to, że czasu na życie rodzinne jest mało, bo ciągle coś trzeba do pracy przygotować. A to zdjęcia przejrzeć, żeby wrzucić na stronę przedszkola, a to wyszukać pomysły na akademię, na zajęcia taneczne czy plastyczne. Zarabiam dość dobrze, bo moja dyrektorka dała mi wysoki dodatek motywacyjny. Jednak jeśli chcę pojechać z dzieckiem na ferie, muszę wziąć normalny urlop, bo nasza placówka jest nieferyjna. W wakacje obowiązuje dwutygodniowy dyżur z dziećmi, a wygląda na to, że w tym roku będą to cztery tygodnie. Nie dostajemy pieniędzy, jak mówią, na Dzień Nauczyciela czy na święta. Prawdą jest, że mam

trzynastkę. I dodatek na tzw. wakacje pod gruszą, zależny od zarobków. Ale to wciąż nie są kokosy. Mój mąż stracił pracę, mamy kredyt, bywa bardzo biednie. Z mojej pensji, bez pomocy teściów i brata, od pierwszego do pierwszego raczej by nie starczyło. Dwa, trzy razy w tygodniu wchodzę na nadgodziny, czyli pracuję po 9 godz. Wszystko po to, żeby dorobić do pensji, bo lepiej na miejscu, niż gdzieś jeszcze dojeżdżać. To mnie nie zwalnia z tego, żeby na następny dzień być przygotowaną do pracy.

Mówią o misji... Pamiętam swoje początki. To była przygoda. Ale z biegiem lat niestety pasja się wypala, zjadają cię nerwy, że ciągle coś i coś, kolejne papiery, kolejne zebranie, protokół z zebrania, ankiety podsumowania i wciąż na nic nie ma czasu. I ten hałas! Jak wracam do domu, wszystko musi być wyłączone. Bywam tak zmęczona po pracy i przygotowywaniu się do zajęć, że już ich prowadzenie nie sprawia mi satysfakcji. I ta odpowiedzialność! Nauczyciel odpowiada karnie za zdrowie i życie dzieci. To jest wielki stres.



Fot. Andrzej Wajtor

Miałam parę niebezpiecznych sytuacji. A na uwagi o zachowaniu dzieci rodzice często nie reagują, nie ma współpracy i kółko się zamyka. Zaczęłam myśleć o zmianie zawodu. Może pójść pracować do Lidla. Widziałam ostatnio ogłoszenie: ok. 4,5 tys. brutto, co daje ok. 3,5 tys. na rękę. I co z tego, że jestem po pięcioletnich studiach magisterskich, plus studia podyplomowe z pedagogiki przedszkolnej, do tego terapia zaburzeń rozwojowych: dwa lata. Jakby tego było mało: liczne warsztaty, szkolenia, opłacane często z własnej pensji i po godzinach pracy. Niestety nikt nie uczy dyplomacji w pracy z rodzicami, umiejętności występowania na zebraniach, prowadzenia tony dokumentacji, a to tylko przedszkole. Strajkując, walczę o lepszy start dla innych nauczycieli.

TERESA, Lublin, 21 lat w zawodzie, czworo dzieci, nie strajkuje. Zarobki miesięczne – 3483 zł brutto, do tego 20 proc. usługi lat.

– Jestem nauczycielką dyplomowaną z 21-letnim stażem, uczę języka angielskiego

w dużym zespole szkół. W tym roku szkolnym mam wyjątkowo dużo godzin, bo 25 lekcyjnych, 3 godz. nauczania indywidualnego i 3 godz. dodatkowego projektu unijnego skierowanego do uczniów słabszych. Razem 31. Do każdego zajęcia staram się przygotowywać starannie, bo szanuję siebie i swoich uczniów – relacjonuje pani Teresa. Od kilku lat konsekwentnie nie zabieram pracy do domu, co oznacza przebywanie w szkole od 7.30 do 16.00, a jeśli w danym dniu wypada rada pedagogiczna, zebranie z rodzicami, szkolenie, to odpowiednio dłużej. Najbardziej do szału doprowadza mnie tworzenie nikomu niepotrzebnych papierów, zwłaszcza tych związanych z projektami unijnymi. Jak obliczyłam, ta biurokracja zabiera mi półtora raza więcej czasu niż prowadzenie samych zajęć, z każdej przeprowadzonej godziny muszę się szczegółowo rozliczyć i udowodnić, że nie naciągam Unii na te zawrotne 30 zł za godzinę. A skoro już przy pieniądzu jesteśmy. Nie wiem, skąd biorą się sumy podawane w me-

diach, ani ja, ani żadna z moich koleżanek tych mitycznych 5 tys. zł czy 6 tys. zł na swoim pasku wypłaty nie widziała. Mam co miesiąc 3483 zł brutto plus 20 proc. usługi lat. Raz w roku: dodatek wakacyjny w wysokości ok. 1,1 tys. zł i po 200 zł na każde uczące się dziecko. Raz na kilka lat dodatek motywacyjny 175 zł miesięcznie przez pół roku.

Odmówiłam udziału w strajku i nie żałuję. Podjęłam decyzję, wiedząc, że jestem w mniejszości i licząc się z nieprzyjemnymi konsekwencjami ze strony mojego środowiska zawodowego. Rzeczywistość jednak przerosła moje oczekiwania. Te znane z mediów zachowania strajkujących nauczycieli, te „korytarze hańby”, ostracyzm i agresja wobec „lamistrąjków”, esemesy nawołujące do napiętnowania ich (nie wszyscy moi znajomi nauczyciele wiedzą, że nie strajkuję, dlatego przesyłali mi takie wojownicze teksty), wykluczenie poprzez traktowanie jak powietrze – wszystko to prawda. Doświadczylam tego osobiście i we własnej szkole, i w gimnazjum, gdzie byłam na egzaminach. Z jednej strony oczywiście wszystko to było dla mnie bardzo przykre i stresujące, zwłaszcza że z natury nie jestem fighterem. Z drugiej jednak strony jestem przekonana, że zachowuję się, jak należy, mam swoje sumienie i nie zawaham się go użyć, a poza tym to było bardzo oczyszczające doświadczenie. Z moich oczu spadły kłapki, z wielu twarzy – maski. Zaktualizowałam swoje zbyt wyidealizowane zdanie na temat niektórych osób i całego środowiska. Ale strajk się kiedyś skończy, wrócimy normalnie do pracy i co potem? Nasze zdewastowane relacje nieprędko się ułożą. To samo można powiedzieć o zaufaniu społecznemu do naszego zawodu. Strajk w czasie egzaminów, branie jeńców spośród uczniów, straszenie brakiem promocji, nawet te głupie piosenki na YouTube – to wszystko jest wizerunkowym strzałem w kolano. Jestem za prawem do strajku i gdyby on miał jakiś sensowny przebieg, niemiślny się tak bardzo na uczniach (i ich rodzicach), to rozważyłabym przyłączenie się do niego. Moim zdaniem lepszy byłby strajk typu włoskiego: pracujemy wyłącznie 18 godzin tygodniowo i żadnych dodatkowych czynności. Natomiast

przy takiej formie, jaką narzucił ZNP, pozostałam tam, gdzie moje miejsce: w szkole, z młodzieżą.

MAŁGORZATA, Kraków, 22 lata w zawodzie, dwoje dzieci, nie strajkuje. Zarobki miesięczne – ok. 2400 zł netto (z zajęciami dodatkowymi).

– Uczę muzyki i edukacji dla bezpieczeństwa. W szkołach od zawsze było mało godzin muzyki, więc musiałam łączyć pracę po kilka godzin w kilku szkołach. Do 2017 r. uczyłam też w gimnazjum. Ale po decyzji o ich likwidacji zaczęłam szukać szkoły podstawowej – relacjonuje pani Małgorzata. – W międzyczasie zrobiłam studia podyplomowe z edukacji dla bezpieczeństwa, żeby mieć więcej godzin. Udało mi się dwa lata temu znaleźć szkołę w Krakowie, w której od tego roku mam 20 godzin i prowadzę (za darmo) zespół instrumentalny. Byłam szczęśliwa, że mam pracę w jednej szkole, dyrekcja jest naprawdę na poziomie. Plan nauczyciela mam idealny. Godziny są tak rozplanowane, że raz wychodzę o 13.10, a raz o 16.00 (ale wtedy zaczynam później, o 10.30). Dzieci mnie lubią, zostałam po roku pracy obdarzona (po specjalnych wyborach) przez nie tytułem „Nauczyciel – przyjaciel dzieci”. Nie wyobrażam sobie, jak popatrzyłabym im w twarz, gdybym miała się przyczynić do tego, że moi uczniowie mogliby nie przystąpić do egzaminów. Co ich obchodzą moje zarobki?

Pensja zasadnicza nauczyciela kontraktowego (robię awans na mianowanego) to ok. 2 tys. zł, ale prowadzę też nauczanie indywidualne u dwójki uczniów w domu – dodatkowo płatne – i mam dodatek motywacyjny, co razem daje 2,2–2,4 tys. zł, w zależności od liczby przepracowanych godzin i pracy dodatkowej na rzecz szkoły (czyli koncerty, występy itp.) Nie mówię, że to są kokosy, ale przecież Solidarność wynegocjowała podwyżki (dla mnie ok. 300 zł) i w lipcu dostanę 500+ na moje drugie dziecko (pierwsze już skończyło 18 lat). Co razem da ok. 800 zł więcej do budżetu. Przecież nie można być pazernym, można się dogadać. 15 proc. podwyżki w skali roku to nie jest mało.

Wielu ludzi za te pieniądze naprawdę ciężko haruje. Poza tym przygotowanie się do lekcji po tylu latach pracy nie zajmuje już tyle czasu, a sprawdzianów, o których powtarzają strajkujący, też nie robi się co tydzień, żeby tyle godzin nad nimi siedzieć. Widzę od środka, że są nauczyciele, którzy się przykładają do pracy, ale niestety są tacy, którzy niewiele robiąc, jeszcze narzekają. Kto ma tyle wolnych dni w roku? Gdy czytam na forach, że nauczyciele walczą o szacunek, to myślę, że za 1 tys. zł szacunku nie kupią. Na niego trzeba zapracować.

Mówią o misji... Pamiętam swoje początki. To była przygoda. Ale z biegiem lat niestety pasja się wypala, zjadają cię nerwy, że ciągle coś i coś, że wciąż na nic nie ma czasu. I ten hałas!

JOANNA, Warszawa, 14 lat w zawodzie, dwoje dzieci, strajkuje. Zarobki miesięczne – 2824 zł netto plus premia motywacyjna.

– Zatrudniono mnie 14 lat temu, prowadziłam wtedy dwie klasy, pracując trzy razy w tygodniu za 450 zł i na umowie na czas określony, potem kolejny rok zarabiałam 750 zł, ale nadal na niepełnym etacie i też na umowie na czas określony. Nie odczuwam jednak tego czasu jako szczególnie wolnego, intensywnie przygotowywałam się do lekcji, chodziłam na wiele warsztatów, szkoleń, kończyłam kursy, potem doszły studia podyplomowe. Teraz zarabiam netto 2824 zł – wylicza pani Joanna, polonistka. – Premia motywacyjna i nagroda dyrektora są uznaniowe i ja akurat nigdy nie wiedziałam, jak na nie zasłużyć. W tym roku zmieniłam szkołę, w której pracuję, więc premię motywacyjną mam taką, jak dla młodego pracownika. Mam za to wychowawstwo (przez długi czas było

to 120 zł miesięcznie). Problemem są liczne klasy, często po 28 osób, i pomysły, by problemy wychowawcze w tych klasach rozwiązywał zespół. W ten sposób, że nauczyciele spotykają się po lekcjach i ustalają sposób postępowania z uczniem. Bywały miesiące, że trzy razy w tygodniu wracałam po 19.00 do domu. Wolę indywidualne rozmowy z zaangażowanymi nauczycielami, większe wsparcie specjalistów.

Gdy mąż stracił pracę, ja utrzymywałam dom i z mojej pensji jakoś nam się to udało. Ale to tylko dlatego, że mam mieszkanie po rodzicach (bez kredytu), ubrania i zabawki po dzieciach koleżanek, a zakupy robiłam na Wolumenie, to jedno z tańszych miejsc w Warszawie, wakacje spędzaliśmy na działce wujostwa. Nadal nie potrafię pracować efektywnie dla siebie. Edukacji towarzyszą ciągle zmiany: programów nauczania, sposobów prowadzenia dokumentacji. Jestem przeciwnikiem biurokracji. W tym roku szkolnym rozpisywałam program, rozkład nauczania, wymagania na poszczególne oceny dla każdego z moich trzech uczniów z orzeczeniami – każdy dokument ok. 60 stron – po co? Wolalabym w tym czasie przygotować coś dla danego ucznia, zamiast rozpisywać się o tym, co zrobiłam. I jeszcze jedno bardzo mnie boli: odbiór społeczny. Nikt nie może zrozumieć, dlaczego sumienna, dość zdolna dawniej studentka polonistyki pracuje w zwykłej podstawówce. Coś z nią nie tak? Dawniej, kiedy mnie pytano, czego potrzebuję, odpowiadałam deski na półki dla kolejnych książek, a dziś to chyba karty do spa. Ile pracuję? Jak wracam, pykam... kawiarkę i komputer i tak jedziemy do wieczora z ewentualną przerwą na przyprowadzenie dzieci i podanie im obiadokolacji. Praca nauczyciela to de facto praca całą dobę. Idąc po córkę – obmyślam strategię działania z trudnym uczniem, śpiąc – potrafię doprecyzować scenariusz lekcji, w czasie wolnym – wycinać, koloruje, szyję maskotki. Rok temu fotografowałam w czasie spaceru z dziećmi pszczoły. No bo przecież pracujemy dla idei, moja misja nadal więc trwa.

Coworking, networking i komplet usług dla biznesu pod jednym dachem

Przedsiębiorcy z Trójmiasta i okolic zyskali właśnie nowe miejsce do pracy i rozwijania swoich firm. Otwarty w Gdańsku Idea Spot to przestrzeń coworkingowa, w której oprócz bezpłatnego korzystania z nowoczesnego miejsca do prowadzenia biznesu można zasięgnąć porad ekspertów z zakresu bankowości, księgowości, leasingu i faktoringu. Pomysłodawcą projektu jest Idea Bank specjalizujący się w ofercie dla mikro i małych przedsiębiorstw.



Otwarty z początkiem kwietnia br. w Gdańsku Idea Spot jest kolejnym elementem realizowanej przez bank strategii wprowadzania do oferty usług wspierających prowadzenie biznesu dla niewielkich przedsiębiorstw.

Pomysł na jego organizację powstał po analizie potrzeb klientów, którzy chcieliby otrzymywać wsparcie zarówno doradcze, jak i organizacyjne, szczególnie w początkach prowadzenia działalności. Idea Spot to miejsce, w którym obok siedziby banku funkcjonują inne firmy z grupy Idea świadczące usługi dla klientów: Idea Money, Tax Care i Idea Getin Leasing. W każdej chwili przedsiębiorcy mogą skorzystać z usług ich doradców w zakresie księgowości, leasingu maszyn i urządzeń czy faktoringu pozwalającego na zachowanie płynności.

Ponadto na przedsiębiorców czeka tu ponad 600 m² nowoczesnej przestrzeni coworkingowej z zapleczem oferującym wszystko, czego potrzebują początkujące firmy nieposiadające własnego biura – drukarki, kserokopiarki, Wi-Fi, miejsce i biurka do pracy, zaplecze socjalne z aromatyczną kawą oraz

ekspresami do jej przygotowania. Do tego sale konferencyjne na spotkania biznesowe, szkolenia, prezentacje. Jest też otwarta wspólna przestrzeń do wykorzystania na panele, seminaria lub większe warsztaty. A to wszystko bezpłatnie, o ile tylko jest się klientem banku.

– Idea Spot to jedyny taki projekt w Polsce – mówi Tomasz Górski, członek zarządu Idea Banku. – Wchodzimy na nowy poziom współpracy z klientem. Współczesny przedsiębiorca potrzebuje takich rozwiązań, które pozwolą mu oszczędzić czas i jednocześnie otworzą dostęp do specjalistów efektywnie wspierających firmy w ograniczaniu kosztów prowadzenia biznesu.

Mieszczący się przy al. Grunwaldzkiej 415 w budynku Aragon, naprzeciwko kampusu Uniwersytetu Gdańskiego Idea Spot jest otwarty od poniedziałku do piątku w godzinach od 8.00 do 20.00. Administratorzy obiektu planują organizować tu debaty, seminaria i szkolenia. Wszystko po to, by dostarczać osobom prowadzącym firmy przydatny know-how w miejscu, które dodatkowo sprzyja wymianie kontaktów biznesowych. Ten ostatni aspekt, czyli networking, jest bowiem w biznesie równie ważny jak fachowe wsparcie ekspertów.



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Strajk nauczycieli staje się, być może wbrew politycznym intencjom jego inicjatorów, rodzajem broni obosiecznej. Z jednej strony bowiem jest wyrazem oczekiwań o charakterze polityczno-socjalnym, a z drugiej ujawnia zachowanie, potencjał i kapitał kulturowy tej grupy zawodowej. O ile pierwsza część wydaje się pozostawać pod ścisłą kontrolą przywódcy ZNP i zdaje się zabetonowanym pakietem żądań, to drugą rządzi bez wątpienia żywioł i niemal radosna twórczość strajkujących.

STATYSTYCZNY NAUCZYCIEL

Nauczyciele to z całą pewnością najliczniejsza wśród najbardziej wykształconych grupa polskiej inteligencji. Jest to też grupa stosunkowo wciąż młoda. Średni wiek nauczyciela w Polsce to 42 lata. Jakkolwiek to zawód skazany na starzenie się. Zaledwie 2,5 proc. obecnych 15-latków chce w przyszłości wybrać tę profesję. Co ciekawe, są to w ponad połowie chłopcy. Jakkolwiek obecnie mamy w polskiej szkole wysoką nadreprezentację niewiast. To ponad 85 proc. Jest to zresztą ogólna tendencja europejska. Wyjątek stanowi tu Finlandia, dla wielu kraj szkoły idealnej, regularnie lokującej się na podium w badaniach PISA, które notabene odnoszą się tylko do pewnej części uczniowskich kompetencji. W tym kraju nauczycielki stanowią niewiele ponad 60 proc. ogółu pedagogów. Interpretację pozostawiam feministkom i seksistom. Należy wspomnieć jednocześnie, że fiński system edukacji został w Polsce absurdalnie zmitologizowany.

Kim jest statystyczny obywatel RP, którego średni wiek wynosi 42 lata? To osoba urodzona w 1977 r. Bez specjalnego ryzyka można więc powiedzieć, że w miarę świadome życie weszła już w okresie tzw. transformacji. W dużej



Strajk w stylu pop

Ten bunt pokazał, że zanim wypracujemy nowy model polskiej szkoły, najpierw musimy wykształcić zupełnie nowych nauczycieli i zacząć odbudowywać polską inteligencję, bo ta, przynajmniej w tej profesji, okazała się zaskakującym nieporozumieniem intelektualnym i obyczajowym

mierze była odbiorcą tego, co się wokół niej działo. A zatem była obiektem kompulsywnych działań rodziców z kręgu ideologii „niech ma, bo myśmy tego nie mieli”, miała edukacyjną alternatywę w postaci tzw. szkół społecznych, otaczała ją konsumpcja zastępcza z Tajwanu, z Chin, Hongkongu. Była świadkiem gwałtownego rozwoju motoryzacji, a raczej nasycenia rynku używanymi i zużytymi autami importowanymi z Zachodu. Korzystała z częściowego otwarcia granic i pierwszych wczasów w Chorwacji. To konsument ustaleń „okrągłego stołu”, instrukcji o nauczaniu religii ministra Henryka Samsonowicza, kaset wideo z pirackimi nagraniami produkcji od klasyki po twardą pornografię, człowiek dorastający w objęciach dzikiego, drapieżnego, wczesnego kapitalizmu. To jest to właśnie pokolenie, które z czyjejś inspiracji

zbuntowało się przeciwko nauczaniu religii w szkołach, parując z hasłami „Księża na Księżyc”.

EKLEKTYCZNA INSTYTUCJA

Tak się złożyło, że w latach 1990–1992 prowadziłem obszerne badania nad uczniami początków transformacji. Były to roczniki 1975–1980. Wyniki tego rozpoznania omawiałem później w kilku swoich książkach i artykułach naukowych. To z badań dowiedziałem się, że „już nie mogą słuchać o I Brygadzie i Piłsudskim” czy „bardziej interesują mnie koronki przy bieliźnie mojej dziewczyny niż korona na głowie orła”. Z goryczą wówczas konstatowaliśmy, że najrychlej i najpełniej likwidacja cenzury spełniła się w popycie na publikacje erotyczne, pornograficzne, wulgarne czy brutalne (pierwsza koncepcja

Urbanowego „Nie”), a nie w zachwycie nad literaturą dotąd ideologicznie zakazaną (Konwicki, Brandys, Herling-Grudziński, Miłosz, Herbert etc.). To pokolenie, które już nie potrafiło się zachwycić, a nawet zmusić do oglądania, zdjętego z półek filmu Skolimowskiego „Ręce do góry” czy innych tzw. półkowników. To jednocześnie generacja, która zaczęła brać szkołę w cudzysłów. A to m.in. dlatego, że szkoła dotychczasowa się zużyła, a nowa nie pojawiła się na horyzoncie. Wszystko dookoła się zmieniało, ale nie szkoła.

Zperspektywy czasu można dostrzec, że szkoła nie chciała się wcale zmieniać. A poza efemerycznym w gruncie rzeczy ruchem szkół społecznych, które tak szybko jak powstały, tak szybko się zdewaluowały, żadne środowisko nie wygenerowało dobrego, adekwatnego do zmian i spójnego pomysłu na nową polską szkołę. Do dzisiaj więc jest ta instytucja jednym z najbardziej eklektycznych twórców, z jakimi mamy do czynienia. Mamy więc w niej elementy szkoły międzywojennej z jej tożsamościowym dramatem, szkoły stalinowskiej, gomulłowskiej, tzw. kuberszczyzny, szkoły permissywnej, pajdocentrycznej etc. Nie byłoby to dramatem tak dokuczliwym, gdyby nie to, że w środowisku z rozproszoną tożsamością nie da się konstruować niczyjej tożsamości. Ani nauczycieli, ani uczniów. Doszliśmy do punktu, w którym cokolwiek o szkole powiemy, będzie słuszne. I jak swego czasu zauważył wybitny pedagog i socjolog edukacji Zbigniew Kwieciński, „szkoła reprodukuje samą siebie”. Nie powieliła wzorców pożądanych, odległych, potrzebnych, ale przekazuje to, czym sama jest. Dotyczy to zarówno nauczycieli, jak i uczniów.

Nauczyciele i ich szkoła nie mają złudzeń, że cokolwiek zmieniają, popychają do przodu, tworzą. Powtarzają banały o misji, w które sami nie wierzą. Tak jak wspierające strąk gwiazdy sceny i estrady mówiące o tym, jak wiele zawdzięczają szkole i nauczycielom. W innych sytuacjach jednak nie wahają się wyrazić dla niej swej pogardy, tak jak znana rockmanka, która do kamery podczas odbierania jakiejś nagrody

powiedziała „Nauczyciele, muszę powiedzieć o nauczycielach. Więc teraz... Mam. Mam. Słuchajcie: Fuck off! Nie nawidzę was”. Tak jak lewacki idol Jacek Kuroń „docenił szkołę”, stwierdzając, że jest gorsza od więzienia i armii.

Moja współpracownica zadała mi swego czasu pytanie, co ma zrobić, gdy na praktyki szkolne przybywają osoby z kolczykami w nosie, niebieskimi włosami, w porwanych džinsach, z tatuażami nawet na twarzy. Czy można takie osobliwości dopuścić do pracy z siedmiolatkami? Pytanie jest jednak daleko głębsze – czy można im dać dyplomy nauczycieli? Ależ można! Otrzymują.

Inteligencność to także określona kindersztuba. A ta wyraźnie odkleiła się od nauczycieli. Tak postrzegam popisy wokalnopoetyckie nauczycieli obficie prezentowane w sieci

POPSZKOŁA

Kryzys tożsamościowy szkoły łączy się z kryzysem inteligencji w ogóle. Ta kategoria została bowiem całkowicie rozmyta. Zarówno pod względem kompetencji umysłowych, jak i moralnych czy obyczajowych. Doktor biologii wykladał towar na półkach w hipermarkecie, a mistrz murarski wygrywał z inżynierami i magistrami finał „Jednego z dziesięciu”, bezbłędnie odpowiadając na trudne pytania z historii sztuki, geografii czy chemii. Notabene przytłaczająca większość teleturniejów nie polega na tym, aby coś w ogóle wiedzieć. Wielu wykształconych ludzi wyznaje wprost, że nie znosi muzyki poważnej, nie lubi czytać, że teatr jest nudny i nie czyta gazet, bo ma w nosie politykę. Musimy jednak dostrzec, że właśnie spośród tych ludzi (a może wśród nich) otrzy-

mujemy dziś nauczycieli. Może to najambitniejsi, ale tylko z tych, którzy są.

Dostrzec można też atrofię wstydu. To uczucie i kategoria zanikające. Tak postrzegam popisy wokalnopoetyckie nauczycieli, obficie prezentowane w sieci. Pomijając ich kontekst, nie wiem, czy po czymś takim mógłbym być jeszcze nauczycielem. To odmiana słynnego „nie pucz, kiedy odjadę” w wykonaniu sejmowym Joanny Muchy, skądinąd osoby z doktoratem. Owe śpiewy, a nade wszystko dopisane do popularnych melodii słowa są mocnym dowodem na erozję inteligencji i bachtinowską karnawalizację rzeczywistości. Gdyby osadzić to w realiach

teatru, mielibyśmy „Ferdydurke” jako żywo. Nieodmiennie też odnosiłem wrażenie, że jak w klasycznej komedii każdy z wykonawców zgodził się być po trosze idiotą. No cóż, za tysiąc złotych może i warto.

Ale czy była to tylko odgrywana rola? Czy w istocie wyzwoiliwszy się z pozorów misji, odmówiwszy pracy, udziału w egzaminach, nie dali sobie przyzwolenia do pójścia na całego i nie pokazali, kim są naprawdę? Inteligencność bowiem to także określona kindersztuba. A ta wyraźnie odkleiła się od nauczycieli. Pod tym względem usadowili się oni w sferze pop. Popjęzyk, popkompetencje, popgust, popmyślenie i popmisja. To zasmucające, ale i groźne. Bo poprzez szkołę popczołch samosć reprodukuje się i jest kokonem, w którym dorastają młode pokolenia.

Jan Zamojski, głosząc, że „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, nie miał na myśli bynajmniej tylko wychowawczej technologii, ale nade wszystko tych, którzy wychowują i kształcą, a więc – nauczycieli. Przyjrzyjmy się więc dobrze klipom z piosenkami belfrów, wsłuchajmy się w stosowaną przez nich retorykę, sposób argumentowania, dochodzenia swoich racji, a zobaczymy kolejne pokolenie polskiej inteligencji i generalnie przyszłość Polski. Oni właśnie nadchodzą.

Brak intelektualnego przywództwa, a ogólniej brak autorytetów, powoduje, że inteligencja pójdzie za każdym, byle w lewo. Dlaczego w lewo? Ano, bo ma kompleks przybudówki, bo jest na



im większe pobory, tym więcej godności. To znaczy, że setka najbogatszych Polaków to nasza godnościowa elita? To najbardziej godni z godnych?

OŚWIATA NA MANOWCACH

Ten bunt ma kiczowate oblicze okraszone dytyrambiczną retoryką i głupawym uśmiechem. Tylko takiej inteligencji, przytroczonej do opcji politycznej, może przyjść do głowy, aby słuchać Sławomira Broniarza.

Moje pokolenie słuchało Zbigniewa Herberta... Odarcie szkoły z naszkórki instytucji publicznego zaufania, zaprzeczenie jej ugruntowanej przez pokolenia misji i bezinteresowności działania pokazuje smutną skłonność inteligenckiej elity do burzenia, do bycia przeciw, nawet za wszelką cenę, za podcinanie gałęzi, na której się siedzi. Jest jak bluzg w trakcie recytacji Inwokacji z „Pana Tadeusza”, jak pomalowanie sprejem obrazu flamandzkiego mistrza. Dlaczego? Bo wolno, bo można być bezkarnym, bo co nam zrobią, bo my tu pany. Zdumiewająca jest ta łatwość do takiej postmodernistycznej i samobójczej dekonstrukcji przy jednoczesnej wszechogarniającej to środowisko impotencji w obrębie trwoczej zmiany. Inteligencja, a zatem i nauczyciele, nie ma sobie nic do zarzucenia, bo do tego trzeba mieć określoną świadomość i wiedzieć, kim jest owo „sobie”, aby mu cokolwiek zarzucić. A to dzisiaj ogromny kłopot.

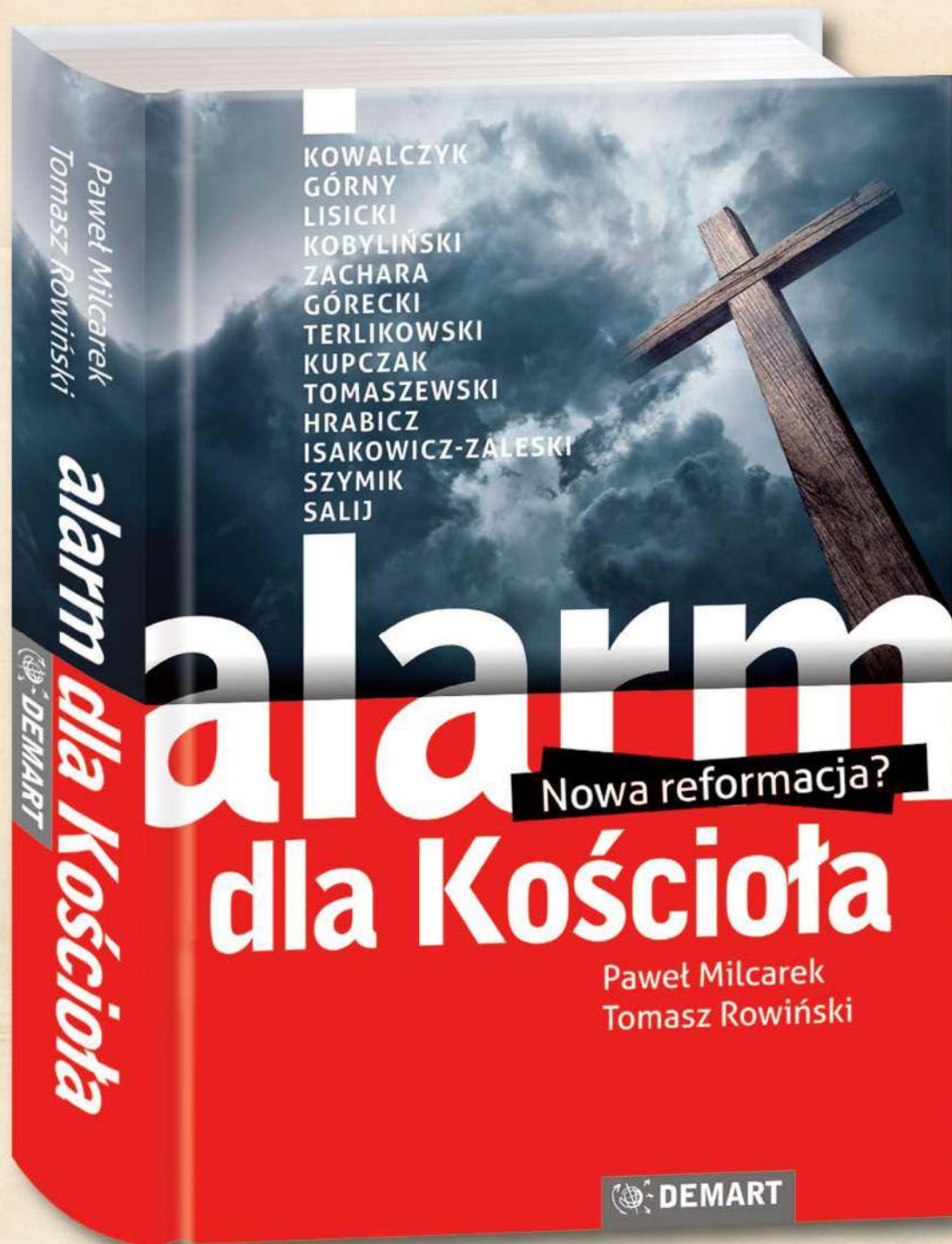
Dzieci i młodzież w końcu wrócą do szkoły. Państwo będzie nadal łożyć na edukację publiczną, nauczyciele będą uczyć i dostaną jakieś medale w październiku, ale to już nie będzie ta sama szkoła. Nic już nie będzie w niej takie samo. Najgorsze dopiero przed nami. Tego rozkładu już nic nie powstrzyma. Byliśmy przekonani, że jesteśmy może i ze sto mil od jakiegokolwiek sensownej zmiany w oświacie, ale teraz jesteśmy już o sto lat świetlnych. Obudziliśmy się z ręką w nocniku. Ten strajk pokazał bowiem, że nasamprzód musimy sobie wykształcić i znaleźć zupełnie nowych nauczycieli i zacząć odbudowywać polską inteligencję, bo ta, przynajmniej w tej profesji, okazała się zaskakującym nieporozumieniem intelektualnym i obyczajowym. A dopiero potem szukać koncepcji zmian.

Czy to wina nauczycieli? Ależ nie, bynajmniej. Mamy dokładnie takich, jakich sobie wykształciliśmy, poznajemy skutki własnej bez troski, tolerancji niewiedzy i niekiedy pospolitej głupoty. Nasze oczekiwania, że nagle wyjdzie z nauczycieli dobro, rozumność i etyczność – takie, jak my je rozumiemy – okazały się niesłuszne i na wyrost. Bolesnie przekonujemy się po raz kolejny, że pełna frazesów retoryka nijak nie klei się do rzeczywistości i faktycznych intencji. Już niewielu będzie wierzyło nauczycielom. A czas kopania tej grupy dopiero nadchodzi. I bynajmniej nie ze strony niedobrego rządu, ale ze strony tych, którzy ich wspierają, przynoszą kanapki i pączki i puszczają nagrania z krową. Oni przyjdą po zwrot tej pożyczki, ale spotkają się z odruchem, że najbardziej nienawidzimy swoich wierzycieli. I to będzie konflikt, którego nie ugasimy. Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek się zakończy. Strajk nauczycieli, w imię chwilowych celów, zepchnął oświatę na manowce, do jakiegoś koszmarnego panopticum i będzie się nam odbijał dziedziczną czkawką przez następne lata. Szkoda.

Dla porządku i na wszelki wypadek dodam, że niniejszy tekst nie odnosi się do wszystkich nauczycieli. Tym samym każdemu zostawiam furtkę, aby mógł być przekonany, że on jest właśnie owym „nie wszyscy”.

utrzymaniu tych, którzy produkują, których praca jest wymierna, a płaca uzależniona od jej efektów. Nikt tak dobrze jak lewica nie traktuje wszelkiej maści „wykształciuchów”. Pod warunkiem że są posłuszni i śpiewają w zgodnym chórze. Oczywiście na cześć wyraźnie określonej opcji. Dla własnej korzyści można się władzy podlizywać albo dla takich samych korzyści wobec niej buntować. Bo obecna inteligencja, niepewna własnej inteligenckości, nie jest w stanie się wybić na niezależność poglądów, działań i ideową samodzielność. Wciąż przechadza się między łózkami polowymi i „szczekami”, kupując tanie podróbki markowych towarów. Tam jest jej kultura, tam są jej ambicje. Właśnie strajk nauczycieli to dobitnie ujawnia. To bunt antypisowski tylko z finansowym zapalnikiem. To zaciężna armia antypisu walcząca za obiecany żołd. Towarzyszy temu przekonywanie, że

Czy uratujesz swój Kościół?



Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl



Feralna piątka

Jedynki Koalicji Europejskiej na eurowybory mówią o niej więcej, niż chcieliby liderzy

Obsadzenie na jedynekach Koalicji Europejskiej Ewy Kopacz, Róży Thun, Włodzimierza Cimoszewicza, Marka Belki, Janusza Lewandowskiego czy Radosława Sikorskiego (o nim pisałem niedawno na łamach „Sieci”, więc tym razem tylko wymieniam z nazwiska) może być raczej problemem niż atutem.

Każda z wymienionych jedynek ma na koncie wyjątkowo obciążający dorobek. Poza różnymi wpadkami większość z nich kojarzy się z obciachem z powodu przeszłości, stylu uprawiania polityki, języka bądź kompetencji kulturowych. Charakterystyczną cechą feralnej piątki jest wypalenie tych ludzi, oderwanie od problemów przeciętnych obywateli, cynizm, demagogia jako narzędzie uprawiania polityki, przekonanie o własnej wielkości i amnezja co do własnych „osiągnięć”. Część z nich ma też zasługi w donoszeniu na Polskę. Jedyne, co ich łączy, to obsesja na punkcie Prawa



STANISŁAW JANECKI

i Sprawiedliwości oraz postkomunistyczny paradygmat, czyli przekonanie, że utrwalacze totalitarnego systemu mają pełne prawa w demokracji, skoro po 1989 r. byli wybierani albo reprezentowali III RP.

KATON WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ

Nikt nie może konkurować z Włodzimierzem Cimoszewiczem, gdy chodzi o chłostanie innych, wyznaczanie norm, stawianie wymagań i ocenianie. Nie ma właściwie dnia, żeby były premier, marszałek Sejmu, szef MSZ, minister sprawiedliwości i prokurator generalny nie rzucił gromów i nie stawiał kogoś na moralnym szafocie. Zmiany w sądownictwie, w tym w Sądzie Najwyższym, ocenił np. tak: „Mamy do czynienia z polityką kadrową premiującą tchórzy, wazeliniarzy, karierowiczów, ludzi bez honoru, bez godności, niezasługujących na szacunek. [...] Ci ludzie



w przyszłości, kiedy nastąpi okres depisyzacji naszego kraju, powinni być usunięci z zawodu. [...] Wszyscy, którzy pełnią zawody zaufania publicznego”.

Do PZPR należał od 1971 r. do jej końca (w 1990 r.), będąc sekretarzem komitetu uczelnianego na Uniwersytecie Warszawskim. Wstąpił do PZPR niedługo po masakrze grudniowej na Wybrzeżu. Nie ma żadnych dowodów na to, że decyzję o strzelaniu do robotników w grudniu 1970 r. potępił wtedy, gdy był członkiem PZPR. Podobnie jak nie ma ich w przypadku ścieżek zdrowia, aresztów i prześladowań firmowanych przez partyjny aparat w 1976 r. Nie znalazłem słów potępienia Włodzimierza Cimoszewicza sprzed 1990 r. dla aresztowań i więzień działaczy antykomunistycznej opozycji. Nie moralizował, gdy Jaruzelski z Kiszczakiem wprowadzili stan wojenny i zamknęli tysiące ludzi. Nie ma śladów, że oburzał się, gdy na długoletnie więzienie skazywano tych, którzy zdolali się ukryć, a których bezpieka potem wytropiła. Nie ma dowodów, że publicznie protestował wtedy, gdy bandyci z ZOMO, zbrojnego ramienia PZPR, strzelali do górników w kopalni Wujek. Nie słychać było jego moralizatorskich tyrań, gdy bezpieka, której kierownictwo PZPR dało wolną rękę, skrytobójczo mordowała działaczy opozycji i księży, w tym Jerzego Popiełuszkę. Nie rzucił wtedy legitymację PZPR, nie mówiąc o tym, że nie potępił sprawców politycznych mordów ani organizatorów prześladowań, a przynajmniej nie ma na to żadnych dowodów.

W III RP Cimoszewicz zajmował najważniejsze stanowiska jako polityk postkomunistycznego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Jest też podręcznikowym „resortowym dzieckiem”. Wedle danych „Biuletynu informacji publicznej” IPN oraz informacji zawartych w książce Doroty Kani, Jerzego

Targalskiego i Macieja Marosza „Resortowe dzieci. Politycy” Marian Cimoszewicz, ojciec Włodzimierza, w 1940 r. trafił do Armii Czerwonej, a potem do I Armii Zygmunta Berlinga. Był zastępcą dowódcy kompanii ds. politycznych. Od lipca 1945 r. Marian Cimoszewicz był zastępcą oficera Informacji Wojskowej (IW) w pułku. Informację Wojskową założyli Sowieci już w 1943 r. Miała ona bezwzględnie zwalczać wszelkie działania antykomunistyczne i niepodległościowe, przede wszystkim zaś żołnierzy wyklętych. W latach 1951–1954 Marian Cimoszewicz był szefem IW na Wojskowej Akademii Technicznej, potem szefem Oddziału III Zarządu II Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej.

Samego Włodzimierza Cimoszewicza bezpieka zaczęła „opracowywać” w 1980 r. Odbyla się stosowna „rozmowa pozyskaniowa” przed wyjazdem na stypendium do USA. Kpt. Janusz Zieliński zanotował, że Cimoszewicz „bez wahania wyraził zgodę na współpracę, prosząc jednocześnie o omówienie szczegółów z tym związanych”. Zieliński proponował zarejestrowanie Cimoszewicza jako kontaktu operacyjnego „Carex”. Już w USA „Cimoszewicz zareagował odpowiednio na hasło [oficera wywiadu PRL] i z konsulatu przeszli na rozmowę do kawiarni, gdzie omówili kształt zadań operacyjnych”.

DRUKARZ MAREK BELKA

Z nagranej w lipcu 2013 r. rozmowy ówczesnego prezesa NBP Marka Belki oraz ówczesnego szefa MSW Bartłomieja Sienkiewicza wynika, że szef banku centralnego i były premier omawiał warianty pomocy dla rządzącej PO w sytuacji trudnego do sfinansowania deficytu. Omawiał też możliwości

dodrukowania pieniędzy, aby w okresie 8–10 miesięcy przed wyborami przeciętni ludzie odczuli poprawę sytuacji. Pod warunkiem że premier Donald Tusk zgodziłby się na zmiany w ustawie o NBP zaproponowane przez prezesa tego banku oraz zwolniłby ministra finansów. Bank centralny obracałby obligacjami państwowymi na rynku wtórnym, umożliwiając dodruk pieniądza. Zmiany w ustawie ułatwiłyby też dodruk przy okazji emisji nowych banknotów i monet, bo zlikwidowano by limity dla takich nowych emisji. NBP mógłby też wspierać wybrane banki, zwiększając podaż pieniądza. Zmiany ustawy dotyczące RPP umożliwiłyby z kolei łatwe przekazywanie całego zysku NBP na potrzeby budżetu. Prezes Belka sugerował, że wprowadzenie pewnych rzeczy formalnie robić nie może, np. dodrukowywać pieniędzy, bo są bezprawne, ale de facto może, byleby się z tym nie afiszować.

Celem spotkania prezesa NBP z szefem MSW była pomoc NBP dla rządu, polegająca na dodrukowaniu i pomnażaniu pieniędzy na potrzeby ekipy Tuska. Dzięki temu ta ekipa nie musiałaby robić cięć, wręcz mogłaby sypanąć dodatkowymi pieniędzmi. A to oznaczało kupienie sobie dalszego trwania u władzy. Na tym układzie zyskiwał też prezes NBP, wzmacniając się w stosunku do Rady Polityki Pieniężnej, ale także wobec rządu, który zależałby od jego łaski bądź nienłaski. W projekcie nowelizacji ustawy o NBP przewidywano „możliwości sprzedaży i kupna dłużnych papierów wartościowych przez NBP także poza operacjami rynku otwartego”, czyli możliwość kreowania pieniędzy na potrzeby rządu, niezależnie od zewnętrznego popytu na obligacje. Wcześniej prezes NBP musiał określić maksymalną wielkość emisji. Poprawka to znosiła, bo rzekomo tej maksymalnej wielkości nie sposób ustalić. A jej zniesienie dałoby możliwość dodruku pieniędzy przy okazji nowych emisji. A skoro tak, to przy życzliwym prezisie NBP rząd zyskiwałby nowe źródło pieniędzy, gdyby ich potrzebował.

De facto Marek Belka godził się na obejście konstytucji i przykrojenie współpracy banku centralnego z rządem do potrzeb drukowania pieniędzy i sypania ich rządowi, by potem odgrywać rolę dobroczyńcy i dyskontować to odpowiednim poparciem w wyborach. Prezes Belka mieszał się w ten sposób do bieżącej polityki i wspierał konkretną partię – PO, czego ustawa mu zakazywała.

ZAGUBIONA EWA KOPACZ

Od lat polskiej opinii publicznej wmawia się, że tuż po 10 kwietnia 2010 r. Ewa Kopacz, ówczesna minister zdrowia, była w Rosji jako samarytanka, wolontariuszka, siostra miłosierdzia, pocieszycielka strapionych etc. Poświęciła się i wykazała odwagą oraz heroizmem, podczas gdy wielu

mężczyzn „wymiękło”. Fakty są takie, że Ewa Kopacz była w Rosji szefową oficjalnej rządowej delegacji. Występowała w imieniu rządu RP oraz premiera Donalda Tuska – przede wszystkim na spotkaniu z ówczesnym premierem Rosji Władimirem Putinem i jego gabinetem. Poprzez Ewę Kopacz Donald Tusk wysłał Władimirowi Putinowi sygnał, że pogodził się z narzuconą przez premiera Rosji agendą działań po katastrofie, a polski rząd będzie się w tej sprawie zachowywał tak jak Ewa Kopacz, czyli udawał naiwniaka, skupiając się na emocjach. Co oznaczało, że władca Rosji dostał wyraźny sygnał, iż może wszystko, także nieczysto grać.

Ewa Kopacz mówiła wtedy: „Chciałabym bardzo gorąco i serdecznie, szczerze, z serca podziękować mojemu odpowiednikowi, pani minister zdrowia. [...] Pracujemy jak jedna wspólna

rodzina i powiem szczerze, że po raz pierwszy jestem świadkiem tak dobrej współpracy i uzupełniania się w tej pracy nawzajem”. Gdy 13 kwietnia 2010 r. Putin wysłuchał peanów Kopacz na cześć Rosjan, mógł być pewien, że rząd Tuska się poddał. Rodzinom ofiar katastrofy m.in. Ewa Kopacz wmówiła, że pogrzeby powinny się odbyć szybko, gdyż nie wolno otwierać trumien, więc odwlekanie czegokolwiek nie ma sensu. Spieszono się, żeby nie roztrząsano, jak oszukiwano rodziny ofiar. 29 kwietnia 2010 r. w Sejmie Ewa Kopacz stwierdziła: „Gdy znaleziono najmniejszy szczątek na miejscu katastrofy, wtedy

przekopywano z całą starannością ziemię na głębokości ponad jednego metra i przesiewano ją w sposób szczególnie staranny. Każdy przebadany skrawek został przebadany genetycznie”.

Jako premier rządu RP Ewa Kopacz dała się poznać z całkowitej dezorientacji, także w terenie, np. podczas wizyty 9 października 2014 r. w Berlinie kilka razy gubiła kierunek i na czerwony chodnik musiała ją naprowadzać kanclerz Angela Merkel. Podobnie było 15 sierpnia 2015 r. podczas święta Wojska Polskiego w Warszawie. 26 sierpnia 2015 r., przed kolejną podróżą pociągami „w Polskę”, Ewa Kopacz wezwała prezydenta Andrzeja Dudę do natychmiastowego powołania Rady Bezpieczeństwa Narodowego oraz zwołania Rady Gabinetowej. A to dlatego, że „ostatnio na wschodniej Ukrainie dzieje się bardzo źle. Rosjanie przygotowują się, aby przerzucać mosty pontonowe”. Gdy dziennikarze zapytali o szczegóły tej operacji desantowo-inżynierskiej Rosjan, Ewa Kopacz oświadczyła, że „tak przynajmniej donoszą media”.

We wrześniu 2015 r. Ewa Kopacz zapewniała szefów rządów Czech, Słowacji i Węgier, że nie wyłamie się ze wspólnego stanowiska przeciwko przyjmowaniu tzw. kwot uchodźców przez państwa Grupy Wyszehradzkiej. Gdy to się bardzo nie spodobało w Berlinie, na poziomie szefów MSW rząd Ewy Kopacz oszukał partnerów z Grupy Wyszehradzkiej i zgodził na przyjęcie trochę ponad 5 tys. tzw. uchodźców, a ogólnie do ok. 7 tys. I to zobowiązanie do dziś ciąży na Polsce i jest

Być może liderzy Koalicji Europejskiej liczą na krótką pamięć wyborców. Warto jednak pamiętać, na kogo stawiają, bo to jedynie w praktyce decydują o jej obliczu

podstawą postępowania przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Jej awans w roku 2011 oraz w 2014 r., czyli najpierw na marszałka Sejmu, a potem na szefa rządu, były kaprysem Donalda Tuska. Jeżdżąc pociągami po Polsce czy organizując wyjazdowe posiedzenia Rady Ministrów, Ewa Kopacz chciała przełamać wizerunek premiera z PO jako „nieroba”. Nie przełamała, gdyż Polacy nie dowiedzieli się, czy ówczesna premier ma jakąś koncepcję państwa i jego rozwoju. Dowiedzieli się, że Ewa Kopacz czuje, iż „kotlecik ładnie pachnie” (serwowany w pociągu).

LIKWIDATOR JANUSZ LEWANDOWSKI

Obecny eurodeputowany PO i były komisarz europejski jest uważany za patrona największego „przekrętu” w wojennej historii Polski, czyli tzw. Programu Powszechnej Prywatyzacji. Realizowano go od grudnia 1994 r. do 1998 r., choć powstał wtedy, gdy Janusz Lewandowski był ministrem przekształceń własnościowych w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Idea była taka: w 15 NFI miało się znaleźć 500 dobrych przedsiębiorstw (10 proc. wartości polskiej gospodarki), rokujących nadzieje na korzystną restrukturyzację, następnie prywatyzację i wprowadzenie na giełdę. Skarb państwa, początkowo posiadający 100 proc. akcji, miał się ich wyzbywać na rzecz innych podmiotów. Nie więcej niż 10 proc. miało być nieodpłatnie przekazane załogom prywatyzowanych firm. Prowadzeniem funduszy miały się zająć firmy zarządzające (pod kontrolą rady nadzorczej funduszu), głównie zachodnie.

Program, obejmujący 512 firm w różnej kondycji, został potem przez ekspertów uznany za największe oszustwo w historii III RP, bo majątek państwowych spółek stał się przedmiotem złodziejstwa i powodem korupcji. Nikt tej sprawy nigdy nie rozliczył, choć dotyczyła zmarnowania nawet 5–7 proc. ówczesnego majątku narodowego oraz likwidacji tysięcy miejsc pracy.

Potem „w nagrodę” Lewandowski został w Brukseli komisarzem ds. budżetu, a następnie jednym z najważniejszych rozgrywających PO w instytucjach UE. To jemu przypisuje się koordynowanie akcji donoszenia na Polskę, inspirowanie frakcji Europejskiej Partii Ludowej do działań przeciwko Polsce oraz współdziałanie z Fransem Timmermansem (w Komisji Europejskiej) w kampanii przeciwko Polsce.

To Lewandowski 14 grudnia 2016 r., na dwa dni przed sprowokowaną przez PO blokadą Sejmu, powiedział na konferencji w Brukseli: „Polacy oczekują, że demokratyczny świat i Parlament Europejski nie pozostaną obojętni wobec tego, co się dzieje w Polsce. [...] Parlament Europejski jest w gorącej wyborczej. Patrzy na Aleppo, a powinien patrzeć na ulice Warszawy”. Porównanie Warszawy z mordowanym i rujnowanym syryjskim miastem przekroczyło wszelkie granice.

PARTYZANT RÓŻA THUN

W Parlamencie Europejskim jest co najmniej kilku arystokratów z długimi nazwiskami i tytułami, ale ich nie używają,

uważając to za pretensjonalne. Używa eurodeputowana PO, oficjalnie znana jako Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein. W 2005 r. została szefową Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Dla niej UE to nowy wspaniały świat bez wad. „W Europie jest nas 500 milionów. Każdy z nas jest inny, ale wszyscy jesteśmy równi. I taką Europę kochamy. Chcemy dbać o Europę, żeby powietrze na naszym wspólnym kontynencie było czyste. Żeby drzewa stały, a nie leżały” – egzaltowała się eurodeputowana PO.

W reportażu niemieckiej stacji NDR, emitowanym we francusko-niemieckiej telewizji Arte pod tytułem „Polska na granicy wytrzymałości – kobieta walczy o swój kraj” (zrealizowanym jesienią 2017 r.), Róża Thun malowała Polskę jako kraj, gdzie „o demokrację walczyliśmy od dekad, a oni chcą to wszystko zniszczyć. Jak tak dalej pójdzie, w Polsce nastanie dyktatura, ale my na to nie pozwolimy”. Polska została pokazana jako kraj, którym niepodzielnie rządzi Jarosław Kaczyński, ograniczając swobody obywatelskie, tłumiąc antyrządowe manifestacje. Róża Thun była przewodniczką po tej mrocznej krainie. Dlatego potem głosowała za rezolucją Parlamentu Europejskiego ws. zagrożenia demokracji w Polsce.

Goszcząc 1 października 2018 r. w niemieckiej telewizji Phoenix (w programie „Unter den Linden”), Róża Thun się żaliła: „Nie rozwinęliśmy jeszcze wystarczająco tej świadomości, że wszyscy jesteśmy Europejczykami. [...] Jednak mimo iż ekstremiści stają się obecnie coraz głośniejsi, a populiści znajdują coraz większy posłuch, uważam, że [...] rośnie świadomość, że jesteśmy wszyscy w Unii Europejskiej, a europejskość jest naszą wspólną tożsamością. [...] Jak długo nie będziemy mieli europejskiego radia, telewizji, gazety, obowiązkowej nauki języka angielskiego dla wszystkich dzieci w szkołach, aby mieć taką dzisiejszą łacinę, to się nie zmienia, [...] będziemy mówić o Europie tak, jakby był to twór zewnętrzny”. Politycy tacy jak Viktor Orbán i Jarosław Kaczyński to »choroby wieku dziecięcego«, [...] w obu krajach rządzą obecnie antyeuropejscy populiści”.

Róża Thun wspominała, jak taksówkarz wiozący ją na lotnisko zapytał, czy „nie boi się jeździć do tej Brukseli, przecież tam są ciągle zamachy i nie można normalnie żyć”. I ubolewała, że „taki obraz partia rządząca tworzy ludziom w głowach. A to ją wzmacnia, bo ludzie się boją i szukają u niej ochrony”. Partia rządząca nie tylko nie chce wspólnej Europy, lecz także niszczy relacje polsko-niemieckie, które „przez lata były bardzo dobre. A teraz ten zły nastrój, to negatywne nastawienie do Niemiec. Ze strony rządu i mediów publicznych w Polsce”.

* * *

Być może liderzy Koalicji Europejskiej liczą na krótką pamięć wyborców bądź sądzą, że w polityce różne rzeczy uchodzą. Warto jednak pamiętać, na kogo koalicja stawia, bo to jedynki w praktyce decydują o jej obliczu. Skoro takich ludzi wybrano, to oni będą wizytówkami i twarzami, choć w przeszłości różnie z tymi twarzami bywało. Skoro wybrano Ewę Kopacz, Różę Thun, Marka Belkę, Włodzimierza Cimoszowicza i Janusza Lewandowskiego, to znaczy, że Koalicja Europejska ich właśnie uważa za najlepszych.

Naleśniki a sprawy polskie

Wiemy, że zwycięstwo wyborcze jest ważne, ale nie jest i nie może być celem samym w sobie – mówi **Jadwiga Emilewicz**, minister przedsiębiorczości i technologii, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Myślałem, że przywita nas pani naleśnikami?

Jadwiga Emilewicz: Za sprawą wpisu Jarosława Gowina o tym, że gotuję, wie od niedawna cała Polska [śmiech]. A sytuacja była banalna – pan premier nie wierzył, że jestem już w domu, więc wysłałam mu na potwierdzenie zdjęcie smażących się naleśników.

Często się zdarza, że naleśniki wygrywają z ministerialnymi sprawami?

Niestety rzadko.

Niestety?

Niestety, bo nie chodzi o naleśniki, ale o życie rodzinne. Mam trzech małych synów i wiem, jak wysoka jest cena, jaką płacimy jako rodzina za moje obecne zaangażowanie. Nie rozdieram z tego powodu szat, bo wiedziałam, na co się piszemy, ale tak po prostu jest.

A może jest tak, jak suflowali złośliwcy – zaatakuję nas Rosja, a minister obrony odpisze, że zajmie się tym jutro, bo smaży naleśniki?

W mojej ponadtrzydziestoletniej służbie państwowej żadne obowiązki prywatne nie spowodowały, że nie wypełniłam zobowiązań publicznych. Zapewniam pana, że i w tym przypadku sprawa, z którą odzywał się premier Gowin, nie była w trybie pilnym – inaczej na pewno wygrałaby z naleśnikami.

Jeszcze bardziej złośliwi powiedzą, że tego rodzaju myślenie to pokłosie pani obecności w Platformie. Jak była polityka PO odnajduje się w rządzie PiS?

Bardzo skutecznie przypomniano mi polityczną przeszłość, gdy zostałam ministrem konstytucyjnym. Ale to żadna tajna opowieść: gdy przystępowaliśmy do PO – jako ludzie Jarosława Gowina, bo niewątpliwie czuję się jednym z nich – wówczas PO i PiS nie dzielił tak głęboki Rów Mariański jak dziś. Wówczas wielu sądziło, że oba te ugrupowania stworzą w niedługiej przyszłości koalicję. Ich liderzy byli kiedyś politycznymi przyjaciółmi... To były inne czasy, inna Polska. Potem PO i polityka ciepłej wody w kranie bardzo nas rozczarowały. Wyjście naszego środowiska z Platformy było jednoznaczne i – co istotne – odbyło się w momencie, gdy w sondażach ta partia była jeszcze bardzo silna. Trudno więc pośadzać nas o koniunkturalizm.

Gdy jako ludzie Gowina zakładaliście własną partię, śpiewaliście na kongresie za Kazikiem Staszewskim: „Idę prosto, nie należę do mafii, nie należę do sekty”. Nic z tego nie zostało. Porażka?

Właśnie w tym tkwi piękno polityki, że trudno przewidzieć, co się wydarzy za kolejnym zakrętem. Polacy są dziś wyraźnie skoszarowani w dwóch dużych obozach politycznych – wpływa na to wiele czynników, choćby takich jak ordynacja wyborcza. Nie można się na to obrażać. Nasze „Idę prosto” zostało nieco zmodyfikowane – jesteśmy w szerokim obozie Zjednoczonej Prawicy, który pozwala nam realizować nasze postulaty. Porozumienie wspólnie z Prawem i Sprawiedliwością oraz Solidarną Polską stworzyło odpowiedzialną drużynę umiejacą dotrzymywać słowa.

Tak, ale czy ludzie Gowina w ogóle pasują do tej ekipy? Kurs gospodarczy mocno społeczny, socjalny, prawo pisane na kolanie, a nie dyskutowane przez



trzy lata, zanim wchodzi w życie, na media publiczne nawet pani mocno narzekala. Czy państwo czują się częścią obozu dobrej zmiany?

Proszę nie demonizować. Gdybyśmy nie czuli się w tym miejscu komfortowo, nie byłoby nas dziś w rządzie. W USA Ronald Reagan wygrał wybory prezydenckie w 1981 r., zapraszając do dużego namiotu politycznego, w którym mieściło się wiele odcieni prawicy. Przecież jeszcze do niedawna w jednym bloku mieliśmy takich polityków jak Sarah Palin i John McCain. Kiedy sobie pomyślimy o dystansie ideowym dzielącym tych polityków – to antypody. W polskim dużym namiocie prawicy również oferta jest wielobarwna. Ważne, że konstrukcja jest stabilna, a dyskusja wewnątrz namiotu trwa, co pozwala lepiej realizować potrzeby kraju.

I jakie zadanie przypisuje pani dla siebie, dla swojego środowiska?

Po pierwsze, deregulacja. Uproszczenie systemu prawa dla autorów naszego sukcesu gospodarczego – czyli przedsiębiorców. Jako rząd wprowadziliśmy w ciągu trzech lat setki przedsięwziętych zmian. Po drugie, ład procesu legislacyjnego. Mój resort nieustannie podejmuje działania w celu poprawy otoczenia regulacyjnego dla przedsiębiorców. Po trzecie, zielony konserwyzm. Troska o jakość powietrza z myślą o kolejnych pokoleniach – to perspektywa długodystansowa! Dziś to jeden z ważniejszych programów naszego rządu.

Z całym szacunkiem, pani minister, ale skuteczność w tym wprowadzaniu ładu legislacyjnego jest, delikatnie mówiąc, umiarkowana.

Tak pan sądzi? Proszę spojrzeć na nasz dorobek: dwie ustawy o innowacyjności, które już przynoszą efekty gospodarcze, Konstytucja dla Nauki premiera Gowina czy nasz pakiet dla przedsiębiorców – wszystkie oceniane są dobrze zarówno pod względem jakości, jak i sposobu stanowienia prawa. Czym innym jest to, że prawo jest i będzie zjawiskiem dynamicznym, podlegającym zmianom. Ważne jest, by starać się nad nim panować i by przede wszystkim porządkowało sytuację.

To czego zatem zabrakło np. przy sprawie ustawy dotyczącej rekompensat wokół cen energii? Chaos jest ogromny.

W polityce czasem trzeba reagować bardzo szybko. Wzrost cen pod koniec ubiegłego roku nie był wydarzeniem standardowym. Nie był też wynikiem naszej polityki, ale zobowiązań związanych z UE i pakietem klimatycznym. Stąd szybka legislacja, którą jednogłośnie przyjął cały parlament. Niezależnie od tego przed nami bardzo poważna dyskusja, która została zapoczątkowana dokumentem przygotowanym przez ministra Tchórzewskiego. Czekają nas w spółkach energetycznych duże inwestycje, które muszą się zacząć w tym roku. Do tego mamy na stole program Energetyka+, poprawki do ustawy o OZE – to ogromna zmiana, jaka wydarzy się w systemie energetycznym. Jeśli więc pyta pan o „dopychanie kolanem ustawy”, to ja przyjmuję ten zarzut,



Fot. Andrzej Wiktor (x3)

ale proszę odnotować też odpowiedź długoterminową na to, co może się dziać z cenami energii w najbliższych latach. My tę odpowiedź przygotowaliśmy w koalicji.

Zgoda, tylko czy w roku wyborczym nie wygrywa logika kampanijna? Najważniejsze są transfery społeczne, walka o kolejne głosy, a nie opowieści o długoterminowych zmianach.

Rzeczywiście, w roku wyborczym przeprowadzenie poważniejszych zmian systemowych jest trudne, ale nie niemożliwe. Wiemy, że zwycięstwo wyborcze jest ważne, ale nie jest i nie może być celem samym w sobie. Wiem też, że dyskusja o sektorze energetycznym wymaga specjalistycznej wiedzy, nie jest politycznie ani medialnie atrakcyjna. Co więcej, mało kto rozumie np. elementy składowe rachunku za prąd, zatem trudniej zainteresować tą złożoną tematyką posłów i senatorów.

I trudno się temu dziwić, nie musimy się znać na strukturze budowy samochodu, by nim jeździć. Ale gdy dostajemy stówę na rachunku więcej niż zwykle, to jednak nie jest nic przyjemnego.

Dokładnie tak. Niestety to efekt zaniedbań w sektorze energetycznym, w tym braku odpowiednich inwestycji na przestrzeni ostatnich co najmniej 10–14 lat.

Barwnie – „w d... mieli całe to górnictwo” – mówiła o tym na taśmach Elżbieta Bieńkowska. Nie ma pani obaw,

że takie podsumowanie będzie również adekwatne do rządów PiS?

Trudno nam zarzucać beczynność w tej dziedzinie. Wiele ważnych działań i inwestycji zostało przez nasz rząd zapoczątkowanych, ale potrzeba więcej czasu. Jak pokazuje historia, poprzedni rząd nie wykorzystał swoich ośmiu lat.

A nie zgrzytała pani zębami, że te 40 mld zł z piątki Kaczyńskiego mogłoby iść na inne cele? Choćby na te inwestycje, myślenie bardziej długofalowe niż rok wyborczy?

Jeśli pan spojrzy na źródła finansowania czy szukania oszczędności na realizację tych celów, to nie ma cięć w inwestycjach...

W mojej ponadtrzyletniej służbie państwowej żadne obowiązki prywatne, także smażenie naleśników, nie spowodowały, że nie wypełniłam zobowiązań publicznych

...których poziom też zresztą kuleje, nie dorasta do tego, co przewidywał premier w swojej Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Ale dynamika wzrostu inwestycji pozwala nam z optymizmem patrzeć na ten i przyszły rok. Wchodzimy w fazę lekkiego spowolnienia koniunkturalnego, a mimo wszystko inwestycje nie maleją. Notujemy wzrosty, koniec ubiegłego roku był bardzo dobry i myślę, że można patrzeć z optymizmem na kolejne kwartały. Możemy dyskutować, czy podobają nam się transfery, czy nie. Osobiście bardzo mocno bronię programu 500+. To nie jest program społeczny, socjalny, ale prorodzinny. Demografia i przyrost naturalny to bardzo ważne sprawy – właśnie w perspektywie nie roku wyborczego, ale kolejnych dekad, pokoleń.

Nie widać tej demograficznej góry.

Mamy mniej narodzin, ale rośnie wskaźnik dzietności. Jednocześnie od 2010 r. spada systematycznie liczba kobiet w wieku rozrodczym. Dziś mówimy o pokoleniu niżu z drugiej połowy lat 80. Widzimy zatem wyraźnie zmianę trendu. Nie lubię argumentacji sprowadzającej program 500+ do poziomu dzietności. To program, który premiuje rodzinę we wspólnocie politycznej. Uruchomiliśmy ten program, bo w ostatnich latach żyliśmy w paradygmacie, że rodzina wielodzietna jest mniej wykształcona, gorzej ubrana, po prostu biedniejsza. Musimy kulturowo zaakceptować i promować wielodzietność. Temu m.in. służy program 500+. Młode pokolenie jest nam potrzebne, to rozwój zasobów, patrzenie długofalowe.



Czy cena za przełamanie nie jest jednak zbyt wysoka? Po rozszerzeniu programu 500+ będzie to ponad 40 mld zł rocznie.

To duży wydatek, ale jeśli nie teraz – to nigdy. Będąc w tak dobrym momencie koniunktury gospodarczej, możemy sobie na niego pozwolić. Proszę to potraktować także jako program inwestycyjny. Wiem dobrze, że niemiecki dowcip – jedno dziecko jest jak zakup jednego mercedesa – jest prawdziwy. I nie chodzi tylko o ubranie, ale o szkołę, zajęcia dodatkowe, rozwijanie pasji i zainteresowań. Wiem, że znaczna część tych środków pracuje w gospodarce i wraca do budżetu.

Czy trzynastej emerytury będzie pani bronić z podobną pasją? Bliski pani Klub Jagielloński nie zostawił na tym pomysłu suchej nitki. Nie ma co kryć – chodzi tylko o głosy emerytów.

Z całą pewnością jest w Polsce grupa emerytów, których uposażenie jest niskie, a warunki życia są naprawdę ciężkie. Gdy pracowałam w Krakowie w Nowej Hucie, poznałam bohaterów pierwszej „Solidarności”, którzy żyli w biedzie. Jedna z pań pokazywała mi, że rano gotuje wodę w czajniku i wlewa do termosu, by nie zużywać drugi raz prądu... Taka grupa emerytów wciąż w Polsce jest i powinniśmy im rzeczywiście pomóc godnie żyć.

Czy jednorazowy transfer 888 zł na rękę to adekwatna odpowiedź na problem, o którym pani mówi?

To pierwszy krok w tym kierunku.

Ale nie powie pani „nie” na posiedzeniu rządu?

Bycie członkiem rządu oznacza akceptację głównych kierunków i kompromis. Decyzja w sprawie programu Emerytura+ została już przez Radę Ministrów podjęta.

Wiem. Jak mówił wicepremier Gowin – głosujecie, ale się nie cieszyście. I stąd pytanie o to, czy ludzie Gowina to część obozu dobrej zmiany.

Podjmując każdą życiową decyzję, mamy pewne wyobrażenia. W czasie realizacji sprawdzamy, na ile rzeczywistość jest zgodna z wcześniejszymi oczekiwaniami.

I w ilu procentach towar dobrej zmiany jest zgodny z oczekiwaniami?

Poziom jest wystarczający, byśmy czuli się współarchitektami reform, które zachodzą w Polsce od ponad trzech lat. 

Całość wywiadu – m.in. o samochodach elektrycznych i walce ze smogiem – do przeczytania na portalu wPolityce.pl

A portrait of Stanisław Moniuszko, a Polish composer, is the central focus. The portrait is rendered in a classic style with a red tint. Surrounding the portrait are various festive and musical illustrations: a string of bunting flags in the top left, a large firework exploding in the top right, musical notes and a treble clef scattered throughout, and a stylized blue and yellow horn in the bottom left. The background is a solid orange-red color.

Dziś są Moje urodziny!

5.05.2019

W 200. rocznicę urodzin kompozytora znajdź w swoim mieście ulicę Moniuszki i świętuj razem z nami!

Moniuszko
200.
2019 ROKIEM
STANISŁAWA MONIUSZKI

Realizacja działań w ramach obchodów
200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki
Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



200. rocznica urodzin
Stanisława Moniuszki
Obchodzona pod auspicjami UNESCO

moniuszko200.pl

Taka naprawdę jest Polska

Film „Poland: The Royal Tour” to bardzo udana próba przełamania niemocy w sprawie wizerunku Polski. To początek drogi, ale wreszcie ruszyliśmy

Premier Mateusz Morawiecki z reżyserem filmu, amerykańskim dziennikarzem i podróżnikiem Peterem Greenbergiem we Wrocławiu



JACEK KARNOWSKI

Walka o dobre imię Polski i – szerzej – o nasz wizerunek nie jest sprawą prostą. Dekady zaniedbań zrobiły swoje i dziś stoimy przed problemem podstawowym: jak sprawić, by nasze argumenty zostały w ogóle wysłuchane. Innymi słowy: jak się przebić do zachodniej, zwłaszcza amerykańskiej, opinii publicznej.

Ważną próbą jest godzinny film „Poland: The Royal Tour”, który właśnie miał swoją premierę w Los Angeles. Jego reżyserem jest znany amerykański dziennikarz i podróżnik Peter Greenberg, a polskim producentem – Piotr C. Śliwowski. Dzieło zrealizowane dzięki staraniom Polskiej Fundacji Narodowej, która – jak przyznał reżyser – sama zgłosiła się z tym pomysłem i wyłożyła

zapewne sporo pieniędzy, zostanie zaprezentowane na antenie stacji tworzących amerykańską sieć telewizyjną PBS (w sumie 354 stacje lokalne, pierwsza emisja zaplanowana została na 22 kwietnia br.). Będzie też dostępne w Amazon Prime i w samolotach PLL LOT. Z filmu będą korzystały polskie instytucje promujące nasz kraj. Jest też pewne, że zobaczą go widzowie polskich telewizji.

Obraz będzie więc żył długo po emisji, krążył po różnych kanałach komunikacji w kraju i na świecie. Także dlatego, że został przygotowany z rozmachem: 60-osobowa ekipa pracowała nad nim trzy miesiące; widać też wysiłek polskich władz, by rzecz wypadła okazale (wykorzystanie samolotu CASA oraz Wodnika – okrętu marynarki wojennej). Nie szczędzono także spektakularnych gestów: premier Mateusz Morawiecki przywitał Petera Greenberga w Belwederze.

Formuła filmu jest prosta – po kraju oprowadza Greenberga ktoś, kto rządzi: monarcha, prezydent lub szef rządu. W przypadku Polski w rolę przewodnika, rzeczywiście z dużym powodzeniem, wcielił się premier Morawiecki. Widzowie poznają m.in. Warszawę,

Kraków, Wrocław, Wieliczkę, Gdynię czy były niemiecki nazistowski obóz zagłady Auschwitz-Birkenau.

Widzą polskie góry i polskie morze. W sumie piękny, szybko rozwijający się kraj o bogatej, heroicznej historii – i tej dawnej, i tej najnowszej (powstanie warszawskie oraz „Solidarność”). Nie brakuje zaskoczeń, choćby takich jak konstatacja Greenberga, że Polska odzyskała pełną niepodległość w 1991 r., a więc w roku pierwszych w pełni wolnych wyborów. Stronę opozycyjną ucieleszy zapewne jednoznaczne wyeksponowanie roli Lecha Wałęsy w 1980 r. Jest też Ryszard Kukliński, na którego żagłowiec – tej samej, z której wysłał pierwszą prośbę o kontakt do Amerykanów – premier tłumaczy Greenbergowi historyczne zasługi pułkownika dla zakończenia zimnej wojny.

Nie brakuje też zwykłej codzienności i sporej dawki autentycznego dowcipu. Na przykład przy placeniu za obwarczanki w Krakowie okazuje się, że premier Morawiecki nie ma gotówki.

Wizyta w Auschwitz-Birkenau to zdecydowanie najbardziej poruszający i najbardziej emocjonujący frag-



Morawiecki i Greenberg na żaglówe, tej samej, z której Kukliński wysłał pierwszą prośbę o kontakt do Amerykanów



ment filmu. Dla nas, w kontekście naszego boju o prawdę, także kluczowy. A jednocześnie fragment, który wyjątkowo mocno uzasadnia angażowanie się Polski i jej instytucji w tego typu przedsięwzięcia.

Na tle tego, co nam się kłamliwie i coraz bardziej beczelnie zarzuca, film jest odtrutką na kłamstwo. Wiadomo, kto i kiedy napadł na Polskę, kto chciał wymordować – i niestety to zrobił – polskie elity, wreszcie: kto zaplanował i przeprowadził Holokaust. Co prawda Greenberg konsekwentnie używa słowa „nazis”, a nie „Niemcy”, ale premier aż czterokrotnie mówi jasno, bez żadnych zastrzeżeń, że to „Germans” uczynili to wszystko ludzkości. Podkreśla to, nie dodając nawet „nazi”.

Polskie cierpienie przedstawione jest jasno i wyraźnie, włącznie z wątkiem dotyczącym Polaków mordowanych w Auschwitz, tak często sprowadzanym wyłącznie do miejsca kaźni Żydów. Jest także zgrabne wyjaśnienie przyczyn uchwalenia ustawy o IPN mającej przecież na celu zapobieżenie ordynarnemu kłamstwu.

Wszystkich ważnych wątków nie sposób wyliczyć, ale warto choćby wskazać dwukrotne podkreślenie, że Polacy pieczołowicie odbudowali zniszczone przez wojnę miasta i zabytki, również te, które nie są wprost naszym dziedzictwem. A jest to nasz dorobek zbyt mało doceniany.

Greenberg podkreśla, że 53 minuty to za mało, by zmieścić wszystko. Nie wykorzystano wielu nagrań, także tych z udziałem premiera. Na przykład podczas spływu Dunajcem na przeszkodzie w planach nagraniowych stanęły desz-

cze. Nie ma też Zakopanego ani Podhala (poza widokiem Tatr z góry), co spotkało się z wyraźnym niezadowoleniem podhalańskiej emigracji. Podczas premiery niektórzy widzowie żalowali, że w czasie

Formuła filmu jest taka: po kraju oprowadza ktoś, kto rządzi: monarcha, prezydent lub szef rządu. W przypadku Polski w rolę przewodnika wcielił się premier Morawiecki

wizyty w Auschwitz nie wspomniano ani o św. Maksymilianie Kolbie, ani o rtm. Pileckim. Reżyser nie odrzucił tej myśli, obiecując, że umieści obu bohaterów w ewentualnym sequele, który na razie wydaje się raczej luźnym pomysłem. „The Royal Tour” jest bowiem realizowany raz na pół roku albo rok, a w kolejce czeka wiele państw.

Film jest wyjątkowo nasycony historią, inne odcinki cyklu skupiają się głównie na przyrodzie krajów lub ich atrakcjach turystycznych. W przypadku Polski właściwie wszystko dotyczy historii, naszych dziejów. Oprowadzający po nich Morawiecki przedstawiony jest nie tylko jako historyk, lecz również jako człowiek, który historię współtworzył, działając w opozycji antykomunistycznej. Symbolicznie premier staje w pobliżu tego samego okna Uniwersytetu

Wrocławskiego, na którego tle trzymał ponad 30 lat temu transparent żądający demokracji i rządów prawa.

Reżyser filmu kilkakrotnie podkreśla, że przed przystąpieniem do pracy Polskę kojarzył z czarno-białymi zdjęciami, nawet wówczas gdy zaczęła dominować kolorowa telewizja. Kiedy do nas przyjechał, zobaczył piękny kraj o imponującej historii. I takie wrażenie wynoszą widzowie. Obraz nabrał kolorów. Greenberg nie ukrywa, że wielkie wrażenie robi na nim dynamizm polskiej gospodarki, która rośnie – jak mówi w filmie premier – w tempie 5 proc. rocznie. To argument, który rzeczywiście powinniśmy eksponować. Dla świata zachodniego, tak mocno skupionego na gospodarce, niemal trzy dekady nieprzerwanego wzrostu gospodarczego to rzecz imponująca, pośrednio dowodząca naszej wartości.

Jedno dzieło, rzecz jasna, nie załatwi sprawy, nasze problemy z wizerunkiem nie znikną z dnia na dzień ani z roku na rok. Także dlatego, że wrogów Polsce nie brakuje. Ale warto zauważyć, że coś się jednak nam wreszcie udaje, że w tej batalii nabieramy wprawy, umiemy zagrać sprytnie i w sumie zaczyna się pojawiać – być może jeszcze tylko punktowo – pewna skuteczność. Przed nami długa droga, ale ważne, że wreszcie ruszyliśmy do przodu.

I jeszcze jedno: to film, który podkreśla polski dynamizm oraz polskie sukcesy. Pokazuje Polskę widzianą z zewnątrz; Polskę, która zyskuje na znaczeniu i sile. I właśnie dlatego, paradoksalnie, koniecznie powinna go zobaczyć polska publiczność. Być może nawet pilniej niż widzowie na świecie.

Upadek kokainowego kumpla celebrytów

Nie wiadomo, co pomyślał Cezary P., nazywany „dilerem celebrytów”, gdy sędzia ogłosiła wyrok skazujący go na sześć lat więzienia i konfiskatę mienia w wysokości miliona złotych. Nie można go było o to zapytać, bo nie pojawił się na sali sądowej. Przez cały proces mówił, że jest niewinny. Z uporem twierdził, że znaleziona w jego domu kokaina przeznaczona była na użytek własny – kiedy „miał ból”, co pół godziny brał ponoć trzy gramy



MAJA NARBUTT

Tak się kończy kariera Cezarego P., diler, który przez osiem lat zaopatrywał w kokainę celebrytów, biznesmenów, finansistów. Krążył czarnym terenowym mercedesem po ulicach Warszawy, podjeżdżał do apartamentowców, klubów, kancelarii adwokackich czy podwarszawskich willi. Często umówieni klienci po prostu wsiadali do jego samochodu na ulicy.

Nawet nie zachowywał ostrożności – korzystał stale z tego samego telefonu, a szyfr, który ustalił z klientami, był toporny i nie kamuflował niczego. – Uważano, że jest nad nim parasol ochronny,



ale jego długa bezkarność raczej wynikała z nieudolności służb – twierdzi mój rozmówca, znający warszawską scenę narkotykową.

Upadek Cezarego P. był więc niespodziewany, za to wyjątkowo spektakularny. Wręcz głośny, bo policjanci CBŚP zatrzymali go podczas akcji z użyciem granatów hukowych, gdy sprzedawał kokainę klientowi w swoim samochodzie.

Kwiecień 2016 r. Kilka miesięcy wcześniej były mąż Edyty Górniak Dariusz K., prowadząc samochód po wpływie kokainy, zabił na pasach kobietę. To był punkt zwrotny, w końcu policja z determinacją postanowiła po nitce do kłębka dotrzeć do dilerów zaopatrujących warszawskie elity.

– Telefon do Cezarego P. miało wpisany w swej komórce wiele bogatych i znanych osób. To był dowód środowiskowego wtajemniczenia, można było

powiedzieć znajomym, że zadzwoni się po „swojego człowieka” i rozkręci imprezę – opowiadał mi policjant zajmujący się zwalczaniem przestępczości narkotykowej.

Ta zażyłość absolwenta szkoły zawodowej, byłego pracownika MPO, z celebrytami przybierała niekiedy absurdalne formy. Zapraszali go czasem na imprezy i tzw. eventy, wręcz traktowali jak zaprzyjaźnioną osobę.

Jak mówią terapeuci zajmujący się uzależnieniami, to właściwie standard. Często w gabinecie wysłuchują opowieści klientów, którzy mówią, jak są zakumpłowani ze Zdzichem lub Czarikiem i że ich diler to świetny facet.

– To okłamywanie samego siebie, usiłowanie wprowadzenia w zimną relację diler–klient ludzkiego elementu. Owszem, diler pogada, spyta, jak się czujesz, co u żony. Ale tak samo pogada z klientami prostytutki, jest w tym

świetnie przeszkolona, ale nie o konwersację przecież tu chodzi – mówi Robert Rutkowski, znany warszawski terapeuta uzależnień, do którego trafiają sławni i bogaci.

SFAŁSZOWANY SZAMPAN

Cezary P. zapewniał swoich klientów, że sprzedaje najlepszą na rynku kokainę. A jakość musi kosztować. – To był o tyle drogi narkotyk, że był bardzo, bardzo wysokiej czystości. Cena to nawet pięćset złotych za jeden gram – mówił dziennikarzom po ogłoszeniu wyroku prokurator Adam Grzeczynski.

To jednak tylko połowiczna prawda, a Cezary P. nie do końca mówił klientom wszystko. Mieli do wyboru „szampana” lub tzw. moët – nazwa tego drugiego rodzaju kokainy pochodziła oczywiście od szampana Moët & Chandon i kojarzyła się z ekskluzywnością.

Kiedy klienci kupowali „szampana”, myśleli, że kupują świetny towar, ale w rzeczywistości otrzymywali kokainę pomieszaną z wieloma dodatkami. To powszechna praktyka dilerów – by zwiększyć swój zysk, dodają do kokainy substancje, które ją imitują pod względem wyglądu, mają ten sam kolor i podobną konsystencję. Może być to gips, cement lub mąka. Dodają też znacznie tańsze niż kokaina pobudzające substancje psychoaktywne i środki znieczulające, które naśladują jej działanie.

Tak też robił Cezary P. Zakupioną przez działających pod przykrywką policjantów kokainę przekazano do Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Głównej Policji. Jak napisał w swej książce dziennikarz Piotr Krysiak, okazało się, że niektóre próbki mają tylko 16 proc. kokainy. Nie różniły się więc od kokainy sprzedawanej w klubach.

Jednak Cezary P. miał dla wybranych klientów, zamawiających drogiego „moëta”, prawdziwy narkotyczny rytas – kokainę o czystości sięgającej ponad 80 proc. To niezwykle dużo. Jak mówią specjaliści, czysta kolumbijska kokaina praktycznie w Polsce nie występuje, a klienci nieprzyzwyczajeni do jej działania mogliby doznać zapaści.

To właśnie ta kokaina kosztowała u Cezarego P. 500 zł za tzw. samarkę,

czyli plastikową torebeczkę, w której miał być gram narkotyku, ale zawsze było go trochę mniej. Na niektórych klientach ta cena nie wywierała najmniejszego wrażenia. Terapeuta uzależnień, prowadzący prywatny gabinet, opowiadał mi, że jest całkiem sporo osób, które potrafią wydać miesięcznie kilkanaście tysięcy złotych na kokainę i nawet tego nie zauważą.

„Kokainę biorą wszyscy, których na to stać, i spory procent tych, których nie stać” – napisał Jakub Żulczyk w bestsellerowej powieści „Ślepnąc od świateł”. I chociaż pisarz odżegnuje się od zbyt ścisłych związków literatury z rzeczywistością, to trudno nie uznać, że ta formuła trafnie oddaje świat, w którym obracał się Cezary P.

– Miałem wrażenie, że Cezary P. jest doskonale zorientowany, co dzieje się u klientów. Wiedział, kiedy jest im dobrze i pomyślał o kokainie, by świętować sukcesy. I kiedy źle im się układa, i też po nią sięgnął. Jeśli stały klient był w finansowym dolku, dawał ją na kredyt – opowiadała mi jedna z osób, która kiedyś kupowała u Cezarego P. kokainę.

Klienci mogli się ludzić, że otwarcie im swoistej linii kredytowej jest przejawem sympatii, a nawet przyjaźni. W rzeczywistości stała za tym chłodna biznesowa kalkulacja. Diler wiedział, że w końcu dostanie swoje pieniądze. Najwyżej brał w zastaw laptopa czy kluczyki od samochodu. Dawał wyraźnie odczuć, kto jest panem sztucznego raj. Bywał niemiły, wręcz chamski.

Inaczej zachowywał się wobec kobiet, co zresztą wykorzystała policja, podstawiając mu policjantkę jako nową klientkę. Kobiety bowiem traktował Cezary P. serdecznie, mówił do nich „słoneczko” czy „kochanie”. A one odwzajemniały tę sympatię. Oczywiście do czasu, kiedy został aresztowany.

KOTLETY W KOPERCIE

– Cezary P.? Nie znam. Nie mam pojęcia, o kim pani mówi. Pierwsze słyszę, że w Warszawie jest afera z kokainą. Jestem wstrząśnięta, że komuś w ogóle przychodzi do głowy, by uważać, że



mam z tym coś wspólnego – mówiła mi znana tancerka Anna G., ówczesna gwiazda programu „Taniec z gwiazdami”, gdy zadzwoniłam do niej niedługo po wpadce Cezarego P.

Kipiała oburzeniem na niegodziwość ludzi, którzy rozsiewają pogłoski niszczące życie celebrytów. Można było odnieść wrażenie, że jest autentycznie zaszokowana i zdumiona. Uwierzyłabym, gdybym nie miała informacji z kilku źródeł, że Anna G. była stałą klientką zatrzymanego diler.

W czasie przesłuchań w prokuraturze Anna G. przypomniała sobie jednak, że zna Cezarego P. Jej wyjaśnienia były zaskakujące: twierdziła, że kupowała od niego jedynie kotlety. Właśnie kotlety miał jej dostarczać Cezary P., podjeżdżając w różne miejsca, czasem pod szkołę tańca, a czasem do domu.

Podobnie zachowywało się też sporo innych klientów. Z uporem opowiadali prokuratorowi, że Cezary P. przywoził im jedzenie lub alkohol.

W nagranych przez policję rozmowach rzeczywiście nigdy nie padało słowo „kokaina”. Trudno jednak uznać, że rzeczywiście chodziło o obiadowe dania lub alkohol, skoro Cezary P. obiecywał na przykład, iż spakuje je do koperty.

Moment konfrontacji przesłuchiwanej osoby z nagranymi rozmowami był z reguły przykry. Trudno było utrzymywać, że nie ma się żadnych związków z zatrzymanym dilerem. Mogło być też przykro także z innego powodu – elitarni klienci uświadamiali sobie, że mówią tym samym, co on,

brutalnym językiem, używając wielu wulgaryzmów.

Część klientów Cezarego P. nie bała się jednak w opowieści o rzekomo zamawianych u niego daniach obiadowych i bardzo szybko przyznała, że kupowała od niego kokainę. Ta szczerość była zapewne wykalkulowana – trzeba było się zdecydować, czy zaprzeczać wszystkiemu, czy też zademonstrować chęć współpracy z prokuraturą, wierząc, że i tak wie ona wystarczająco dużo.

A prokuratura postarała się, by tak można było sądzić. Na samym początku afery media obiegrała informacja, że Cezary P. prowadził szczegółowe zapiski, odnotowując transakcje z klientami. Jednak słynny gruby notes, który policja miała znaleźć u zatrzymanego diler, nigdy nie istniał. Był mitem, kontrolowanym przeciekami, który przyprawił wielu celebrytów o bezsenne noce.

SPOWIEDŹ NAJLEPSZEGO KLIENTA

– To wszystko jest już poza mną. Zamknąłem ten etap ostatecznie. Dbam tylko, by wszystko w moim życiu było poukładane, by nie było jakiejś iskry, która mogłaby wywołać pożar i zniszczyć trzeźwość od narkotyków – mówi mi Filip Wiśniewski, który zdobył specyficzną sławę najlepszego klienta Cezarego P.

To właśnie o nim, z imienia i nazwiska, dużo pisano przy okazji tej afery. Przykuwał uwagę nie tylko dlatego, że był znanym menedżerem sportowym organizującym transfer piłkarzy. Przede wszystkim dlatego, że znajdował się u progu kariery politycznej. Zaczynał wprawdzie od bliskich znajomości z politykami PO i gry w piłkę z Tuskiem, ale w momencie wybuchu skandalu był jednym z najmłodszych kandydatów PiS na poznańskiej liście w wyborach parlamentarnych w 2015 r.

Wiśniewski zawsze uważał, że wyciągnięto go z cienia i zrobiono z niego niemal medialną twarz całej afery, by uderzyć w PiS. Zapewne jest w tym sporo racji, ale trudno, by media nie interesowały się człowiekiem, który wydał na kokainę kilkaset tysięcy złotych. To działa na wyobraźnię.

Kiedy słucha się Filipa Wiśniewskiego, oczywiste staje się jednak, że jego przypadek jest specyficzny. To ponura historia uzależnienia od pierwszego razu, przed czym przestrzegają czasem terapeutyci. Wszystko zależy od indywidualnych predyspozycji. Niektórzy potrafią się zatrzymać na krawędzi, zostać na etapie eksperymentów i okazjonalnego używania narkotyków. Traktują to jako weekendowy reset na imprezie, na której najpierw pije się alkohol, by potem wciągać kreski. Ale inni idą dalej, w różnym tempie dochodząc do zwiększania dawek, a wreszcie do uzależnienia, gdy każdy dzień zaczyna się od działki kokainy.

Jak opowiadał mi kiedyś Filip Wiśniewski, w najgorszym okresie dzwonił do Cezarego P. nawet cztery razy dziennie. Siedział w mieszkaniu, przy zaciągniętych zasłonach i czuł, że jest coraz słabszy. Wiedział, że kolejny gram kokainy może go już zabić, a jednak sięgał po telefon, by umówić się z dilerem.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, Wiśniewski uważa, że jego doświadczenie może pomóc innym. Chciałby opowiedzieć, jak można się podnieść z upadku i wyjść z uzależnienia. Za namową swego terapeuty pracuje nad książką. – To będzie prawdziwa kropka nad i mojej historii, rozliczenie z tym, co się stało. Powinna wyjść pod koniec roku – deklaruje Wiśniewski.

Niewątpliwie chce przekuć porażkę w sukces, co jest dobrą strategią życiową. Można też rzeczywiście wierzyć, że kokaina to już dla niego zamknięty rozdział. Również dlatego, że gdyby kiedyś chciał ją kupić, mógłby mieć z tym kłopoty. Sentencja wyroku skazującego Cezarego P. opierała się w dużej części właśnie na zeznaniach Filipa Wiśniewskiego. Zapewne mogłoby to działać zniechęcająco na innych dilerów.

DO BIAŁEJ KOŚCI

– Ze sprawą sprzedaży kokainy w Warszawie można było pójść głębiej. Policjanci określają taki sposób dokładnego rozpracowania „wyczyszczeniem do białej kości”. Tu tego nie zrobiono, zatrzymano się na pewnym etapie. Jakby zabrakło determinacji czy też zawahano się w obawie, że jeśli pójdzie się głębiej,

wywoła to lawinę trudnych do opanowania konsekwencji – mówi mi komisarz Jacek Wrona, emerytowany policjant zajmujący się przez wiele lat zwalczaniem przestępczości narkotykowej.

Na sali sądowej podczas ogłaszania wyroku sędzia stwierdziła, że niestety nie udało się ustalić, kto stał nad Cezarym P. i zaopatrywał go w kokainę. Niektórzy spodziewali się tego od początku – dilerzy boją się sypać swoich hurtowników, choć z reguły nie mają skrupułów, by ujawniać klientów.

Gdyby ustalono, kto jest hurtownikiem, i powiązano go z Cezarym P. w akcie oskarżenia, byłaby to sprawa z zakresu przestępczości zorganizowanej, z zupełnie inną kwalifikacją prawną.

– Było też sporo osób, które miały dużo do stracenia, i nie chodzi tylko o celebrytów. Tajemnicą poliszynela jest to, że wśród kupujących kokainę są też adwokaci, dzieci sędziów, wysoko postawieni finansisci. Można było odnieść wrażenie, że nie zdecydowano się na szeroko zakrojone przeszukania lub założenie podsłuchów na niektóre telefony – uważa komisarz Wrona.

Jak na razie wśród klientów, których sąd ukarał grzywną za posiadanie kokainy i przekazywanie innym telefonu Cezarego P., nie było bardzo znanych osób. Nie można jednak wykluczyć, że te głośne nazwiska w końcu wypłyną.

– W krótkim czasie, gdy Cezary P. był objęty działaniami operacyjnymi policji, miał ponad 200 klientów. Przez osiem lat, gdy działał na rynku narkotykowym, zapewne było ich znacznie więcej – przyznaje prokurator Adam Grzeczynski.

Jak mi powiedział, jest właściwie pewne, że policja ma informacje dotyczące hurtownika i nadal pracuje nad tą sprawą. Ale nie musi oznaczać to sukcesu.

– Dotarcie do hurtowników nie jest proste. Dilerzy to plebs przestępczości narkotykowej, mięso armatnie, które można poświęcić. A hurtownik to człowiek, którego nigdy byśmy o to nie podejrzewali. Diler kontaktuje się z nim za pomocą określonych procedur i czasem go nie zna. A jeśli zna, to strach zamyka mu usta. Konsekwencje ujawnienia hurtownika są oczywiste i pewne – wyjaśnia jeden z moich rozmówców. 

XX-lecia międzywojennego



Józef Czechowicz



Władysław
Reymont



Stefan
Żeromski



odc. 4

Sztuka

ARTNER DODATKU



ORLEN

i literatura

PARTNER DODATKU

**ORLEN**

Literatura. Siła narodu

Z prof. Krzysztofem Dybciakiem
z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
rozmawia Maciej Wolny

Jaka była rola literatury w utrzymywaniu tożsamości narodowej pod zaborami?

Krzysztof Dybciak: Rola literatury w kształtowaniu się nowoczesnego narodu polskiego była kluczowa. Silne, wielkie narody zachodnie mogły kształtować swoją tożsamość i pomnażać wartości w ramach suwerennych państw. Społeczeństwo polskie, podobnie jak większość grup etnicznych w Europie Środkowo-Wschodniej, nie miało swojego państwa, a tym samym struktur, które chronią narodową świadomość i wzmacniają więzi narodowe. Rola ta została przejęta przez kulturę, ona pozwoliła przetrwać naszemu narodowi oraz wzmocnić i wzbogacić jego byt. Mniejsze narody naszej części Europy zostały wytworzone – z różnorodnego materiału etnicznego – przez własne kultury, wbrew wrogim imperiom: rosyjskiemu i austro-węgierskiemu.

Jedynie Polacy wcześniej wytworzyli narodową świadomość i mieli długą tradycję suwerennego istnienia, nawet bycia regionalnym mocarstwem. U progu niepodległości polski etos był zdominowany przez wielką literaturę, szczególnie romantyczną. Docenić należy kompozytorów (Chopin, Moniuszko) czy twórców sztuk plastycznych i teatru, jednak to pisarze byli największymi kreatorami narodowych więzi i wartości. Trafili nam się w XIX w. geniusze, co jest zjawiskiem tajemniczym

i nie do wyjaśnienia całkowitego. Ponadto łatwiej tworzyć zbiorową świadomość słowami niż obrazami i dźwiękami.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r. niewątpliwie stworzyło szansę do rozwoju polskiej literatury. Jak została ona wykorzystana?

W dużym stopniu pozytywnie. Po raz pierwszy kultura polska, w interesującym nas przypadku literatura, miała ochronę ze strony państwa, jego rozmaitych struktur. Poprawiła się sytuacja materialna – zwiększyły się możliwości zarobkowania literackiego i, poza zawodem literata, pisarze otrzymywali stypendia, państwowe i samorządowe nagrody, powstała Polska Akademia Literatury. Wielką szansą na popularyzację literatury i zwiększenie jej oddziaływania było szkolnictwo. Literatura dociera do swoich odbiorców najpowszechniej właśnie dzięki szkołom, nie wszyscy dorośli czytają książki, zwłaszcza nową twórczość wysokoartystyczną. Po odzyskaniu niepodległości rozwinęła się prasa, pojawiły się specjalne działy lub dodatki literackie. Część pisarzy pracowała w rozwijających się nowych środkach społecznej komunikacji, w kinematografii i radiu; te media przyczyniały się również do upowszechnienia sztuki słowa. Krótko mówiąc: pomimo trudności gospodarczych wyraźnie poprawiła się bytowa podstawa polskiej literatury.



Julian Tuwim

Na początku okresu międzywojnia w literaturze panował optymizm, natomiast później mocno rozwinęła się literatura katastroficzna. Czyja twórczość najbardziej wyrażała się w tych nurtach i dlaczego?

Historycy literatury przyjmują przeważnie podział na dwa dziesięciolecia, pierwsze jasne i optymistyczne, drugie ciemniejsze i katastroficzne. Odzyskanie niepodległości wywołało ogromną radość, wręcz euforię, jak w przypadku debiutanckich tomów Wierzyńskiego „Wiosna i wino” czy „Wróble na dachu”, o których Maria Dąbrowska powiedziała, że to najbardziej radosne zjawisko w poezji światowej. Ponadto ważny był wymiar cywilizacyjny wczesnych i optymistycznych programów oraz dzieł literackich. Po odzyskaniu niepodległości przed narodem, przede wszystkim przed elitami nadającymi ton życiu społeczno-politycznemu, stało się zadanie przyspieszonej mo-

dernizacji społeczeństwa polskiego. Nowe państwo musiało być silne. Z tego względu ten ogromny proces nowocześnień – ogarniający cały nowoczesny świat – był szczególnie ważny w Polsce. Piłsudski twierdził (ale pisali o tym także pisarze, np. wspomniany Wierzyński), że Polska albo będzie silnym państwem, albo jej nie będzie wcale.

Literatura włączyła się w ten proces, czasami świadomie, a czasami żywiołowo i intuicyjnie. Ruchy nowatorskie, awangardowe, zwłaszcza na początku XX-lecia międzywojennego były estetycznym przedłużeniem działań modernizacyjnych, nowocześnień świadomości i językowej sprawności społeczeństwa polskiego. Były one optymistyczne, bo odwoływały się do wielkich osiągnięć myśli ludzkiej, nauki, techniki.

Jedną z najbardziej wartościowych tego typu grup była Awangarda Krakowska. Akcentowała racjonalne pierwiastki twórczości literackiej, była antyromantyczna i uważała literaturę za kwestię sprawności konstrukcyjnej, głównie werbalnej. Postulowała koncepcję poety jako specjalisty pracującego w słowie. Literatura, wedle nich, to nie jest głównie natchnienie, ale może przede wszystkim kwestia dobrej roboty estetycznej w języku.

Oczywiście na początkowy optymizm wpływała przede wszystkim radość z odzyskania niepodległości, chociaż trzeba pamiętać, że w literaturze polskiej pojawiły się głosy pesymizmu mającego korzenie w tragicznych wydarzeniach I wojny światowej, która spowodowała śmierć milionów ludzi oraz wielkie zniszczenia materialne i duchowe. Optymizm zaczął wyparowywać z biegiem czasu wraz ze zmianą sytuacji międzynarodowej, szczególnie w latach 30. Także kryzys ekonomiczny z końca lat 20. utrudnił proces modernizacji i wpłynął na obraz literatury.

Już w latach 20. pojawiło się przekonanie o kryzysie zachodniej cywilizacji np. w pracach Mariana Zdzichowskiego, Floriana Znanieckiego

„Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach

Strasznie mieszkają straszni mieszczanie.

Pleśnią i kopciem pełźnie po ścianach

Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,

Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.

Trochę pochodzą, trochę posiedzą,

I wszystko widmo. I wszystko fantom”

Julian Tuwim, „Mieszkańcy”

czy w dramaturgii i prozie Witkacego. Na te katastroficzne idee wpływ miały najnowsze wtedy doświadczenia historyczne Polaków: rewolucja bolszewicka, powstanie totalitaryzmu komunistycznego i jego agresywna polityka – dążenie do wywołania światowej rewolucji „po trupie Polski”. Ale zwycięska wojna 1920 r. przytłumiła te pesymistyczne koncepcje w szerokich kręgach społeczeństwa.

W kolejnych latach zagrożenie nadchodzącymi katastrofami zaczęło przyciemniać tonację literatury. Katastrofizm w literaturze lat 30. dało się odczuć bardzo mocno szczególnie w poezji polskiej, przede wszystkim wśród debiutantów. Oni wyczuwali zagrożenia stojące przed Polską, Europą i całym światem zachodnim. Wytworzyła się wtedy tak zwana druga awangarda albo awangarda lubelsko-wileńska, ponieważ o dziwo nie w Warszawie czy w Krakowie, ale właśnie w centrach kresowych powstały najciekawsze środowiska poetyckie. W Lublinie – Józef Czechowicz i inni poeci wokół niego, w Wilnie grupa Żagarów z najwybitniejszym przedstawicielem na czele,

jakim był Czesław Miłosz. W XX w. katastrofizm był zjawiskiem obecnym w literaturze i filozofii ogólnoeuropejskiej. Nie powinniśmy go redukować tylko do czystego pesymizmu. Świadomość zagrożenia i pokazanie w literaturze wizji zagłady miało mobilizować, zachęcać do przygotowania się na nadchodzące niebezpieczeństwa.

Którzy przedstawiciele prozy zapewnili sobie wówczas trwałe miejsce w polskiej literaturze?

Przetrwali dwa różniące się skrzydła. Z jednej strony dobra proza kontynuująca tradycję XIX-wieczną, czyli proza realistyczna, prezentująca bogactwo życia narodowego, lokalnego, rodzinnego. Warto tu wspomnieć o Marii Dąbrowskiej i jej wielotomowym arcydziele „Noce i dnie”, o pierwszej części huculskiej epopei Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie” (następne części powstały na emigracji), o powieściowym cyklu przedstawiającym wyprawy krzyżowe Zofii Kossak (prekursorskim wobec teorii Huntingtona o zderzeniu cywilizacji) i opowiadaniach Jarosława Iwaszkiewicza

traktujących o problemie ludzkiego przeżywania czasu i tragicznym losie jednostki.

Z drugiej strony mieliśmy niezwykle nowatorskie zjawiska, jak proza wizyjno-oniryczna Brunona Schulza czy groteskowa, analityczna, zintelektualizowana twórczość Witolda Gombrowicza. Przetrwała również dobra proza niefikcyjna opisująca świat. Powstało wtedy wiele dobrych reportaży, opisów bogactwa wieloetnicznej Polski. Tu możemy przywołać postać Józefa Mackiewicza, który pisał świetne teksty o Kresach, zwłaszcza północnych, świetnie rozwijał się reportaż, przypomnijmy tylko głównego twórcę tego gatunku Melchiora Wańkowicza i wspomnieniowe reportaże Ossendowskiego, które zyskały międzynarodową popularność.

1924 r. – literacka Nagroda Nobla trafia w polskie ręce. Laureatem zostaje Władysław Reymont. To chyba był impuls dla całego środowiska? Jaki wydźwięk miało to wydarzenie w Polsce, a jaki na świecie?

Wtedy Nagroda Nobla to było coś, najważniejsza literacka nagroda na świecie i dostać ją w okresie międzywojennymi światowymi to było duże wyróżnienie dla polskiego pisarza. Powód do dumy, który odbił się międzynarodowym echem w komentarzach mediów tamtego czasu. Jednak wtedy mieliśmy także inne wielkie sukcesy. W tym kontekście warto wspomnieć wybitną postać polskiej poezji – Kazimierza Wierzyńskiego, którego 50. rocznicę śmierci obchodzimy w tym roku. Zdobył on złoty medal olimpijski za „Laur olimpijski” w konkursie sztuki i literatury podczas igrzysk w Amsterdamie w 1928 r. To również był światowy sukces, o którym pisała prasa we wszystkich cywilizowanych krajach. Mam taką ideę, by igrzyskom olimpijskim przywrócić konkursy sztuki, które niezwykle uszlachetniałyby rywalizację i być może oczyściły sport z wielu patologii; trzeba pamiętać, iż ruch olimpijski zrzesza tyle państw, ile ONZ, i ma wpływ na miliardy ludzi.

W Polsce międzywojennej Wierzyński swoją liryką i redagowaniem „Przeglądu Sportowego” przyczynił się do podniesienia na wyższy poziom kultury sportu, szczególnie językowej. Wracając do Nagrody Nobla, w Polsce były dyskusje, czy

**„Czegoż nie pomyśli
człowiek w jakiejś
cząsteczce sekundy?
Gdyby wszystkie takie
drgnienia uczuć i myśli
zanotować i zanalizować,
to coż by zostało
z najbardziej świetlistych
postaci historii? Chodzi
tylko o proporcję. Tak
– każdy ma podobno różne
zarazki w swym ciele,
ale nie każdy choruje
na wszystkie choroby,
które one wywołują”**

**Stanisław Ignacy Witkiewicz,
„Nienasycenie”**

nagroda powinna trafić do Reymonta, czy do Żeromskiego, który był wielkim autorytetem, traktowanym jak następca wieszczów. Jednak dla polskiej literatury najważniejsze było to, że tak wyjątkowa nagroda przypadła rodzimemu twórcy.

Bogactwem twórców i wspaniałych dzieł charakteryzowała się również poezja XX-lecia międzywojennego. Bolesław Leśmian, Leopold Staff oraz Jan Kasprówicz to przedstawiciele Młodej Polski. Jak ważni byli ci twórcy dla rozwoju polskiej poezji?

Oni stanowili żywą tradycję. Ich aktywności i siła oddziaływania były

rozmaite w różnych okresach. Najgorsze notowania początkowo miał Jan Kasprówicz ze względu na to, że ruchy awangardowe, a zwłaszcza Awangarda Krakowska, wybrały sobie go jako uosobienie anachronizmu, postromantycznego sentymentalizmu, czegoś, co nie jest nowoczesne, a nawet szkodliwe w procesie modernizacji kulturowej. Kasprówicz nie był jednak zupełnie osamotniony i miał sympatyków na prawicy (artystycznej i politycznej), sam miał poglądy narodowe. Z dzisiejszej perspektywy Jan Kasprówicz był wspinał się i wybitnym poetą, prawdziwie metafizycznym, którego utwory się docenia. Tuż przed odzyskaniem niepodległości opublikował „Księgę ubogich”, dzieło artystycznie nowatorskie, prawdziwie rewolucyjne – pierwszy w polskiej poezji zbiór wierszy tonicznych, a tonizm jest jednym z dwu podstawowych systemów wersyfikacyjnych naszej poezji.

Zupełnie inaczej w okresie międzywojnia traktowano Leopolda Staffa, który był patronem skamandrytów. Traktowali go oni z wielkim szacunkiem. Było to spowodowane między innymi tym, że Staff potrafił nawiązać kontakt z wrażliwością nowych czytelników i wykorzystywać zdobycze formalne młodszych pokoleń. Jego twórczość stanowiła bieżący klasycyzm i dobry punkt odniesienia dla grup nowatorskich.

Natomiast Bolesław Leśmian był w tamtym czasie mniej doceniany. Uważano go za dziwaka jako artystę i człowieka, mieszkającego na prowincji, dla awangardystów był młodopolskim zabytkiem. W drugiej połowie XX w. znalazł się w ścisłej czołówce liryki ubiegłego stulecia. Potężnie rósł wraz z upływem czasu. Potrafił niezwykle nowatorsko łączyć pierwiastki poetyki i światopoglądu młodopolskiego z nowoczesnością. To poezja bardzo głęboka filozoficznie, metafizyczna w sposób bliski współczesnym odbiorcom, chociaż pozornie tradycyjna.

Z czasem do głosu zaczęło dochodzić młode pokolenie. Niezwykle poczytne



Maria
Dąbrowska

były dzieła tworzone przez poetów zrzeszonych w grupie Skamander. Skąd wzięła się nazwa tej grupy i jak można opisać jej historię?

Skamander to rzeka płynąca na terenie obecnej Turcji, opływająca Troję. Pojawiała się w literaturze starożytnej Grecji, np. w „Iliadzie”. W literaturze polskiej wspomnieli ją na początku XX stulecia Wyspiański w „Akropolis”, w znanej frazie: „Skamander polyska wiślaną świetłą się falą”. Przyjęcie tej nazwy świadczy o dobrym instynkcie historycznym skamandrytów, którzy chcieli być nowatorscy, ale zarazem zakotwiczni w ogromnej tradycji kultury śródziemnomorskiej.

Grupa Skamander była jedną z najważniejszych grup literackich w okresie XX-lecia międzywojennego i w ogóle w historii polskiej poezji. Ich sukces polegał na pewnym umiarkowaniu. Nie byli tak tradycyjni jak niektórzy naśladowcy poetyki Młodej Polski. Wprowadzali nowe tematy z życia współczesnego, cywilizacji wielkomiejskiej i technicznej, zdominowanej przez formy kultury popularnej, które zauważali, ale im nie ulegali. Charakteryzowali się nowoczesną wrażliwością, witalizmem, często młodzieńczą radością

*„Wiosna i wino: dwa płuca oddechem
Młodym wezbrane i w ślepych zachwycie
Wyśpiewujące pogańskim swym śmiechem
Ziemie, panteizm, człowieka i życie.
Wiosna i wino: dwie wargi, co swymi
Pocałunkami mieszają sny w głowie,
Że się zawraca do góry i dymi!...
O, przyjaciele! Piję wasze zdrowie!”*

Kazimierz Wierzyński, *„Wiosna i wino”*

istnienia, która świetnie zsynchronizowała się z odzyskaniem przez Polskę wolności. Moim zdaniem Wierzyński stworzył całkiem oryginalny model poezji ludycznej, czyli prześiąkniętej żywiołem gry i zabawy, ale pisał też świetną prozę fabularną i eseistyczną. Witalistyczny i żywiołowy był początkowo Julian Tuwim. Oni byli najpopularniejsi i najszybciej uzyskali sukces, chociaż w grupie było pięciu twórców: pozostali to Iwaszkiewicz, Lechoń i Słonimski.

Każdy z nich był wybitnym i wszechstronnym pisarzem, nie tylko poetą, bo np. Iwaszkiewicz, jak się okazało, był lepszym prozaikiem. Jego zbiory opowiadań i esejów są wspaniałe. Dziennik Jana Lechońskiego pisany już na emigracji w Nowym Jorku po II wojnie światowej jest niezwykłym i przejmującym dziełem. Kolejnym skamandrytą był Antoni Słonimski, czołowy felietonista, poza tym dramaturg i prozaik. Można powiedzieć, że to niebywały zbieg okoliczności, iż wszyscy spotkali się osobiście i stworzyli grupę Skamander. Wielkie talenty, jak pisał Miłosz w „Traktacie poetyckim”: „Nigdy nie było tak pięknej plejady”.

Jak bardzo różni się dzisiejsze czytelnictwo czy też współczesny stosunek do literatury od tego, jak wyglądało

to w okresie XX-lecia międzywojennego?

W okresie międzywojnia literatura znaczyła bardzo wiele, była czymś niezwykle cennym. Szanowano ją autentycznie, duża była w tym zasługa systemu oświatowego, Kościoła, wpływ miała wielka tradycja. Interesowano się literaturą również z powodów snobistycznych, ponieważ nie wypadało być człowiekiem wykształconym, jeśli się nie znało współczesnego piśmiennictwa, a przynajmniej nie interesowało literaturą. Ten snobizm świadczył o autorytecie literatury i całej wysokiej kultury. To niestety zanika coraz bardziej, widzę to nawet wśród studentów kierunków humanistycznych. Szacunek do literatury, ambitnej sztuki i duchowej kultury dzisiaj ginie, i to w warunkach demokracji, dobrobytu, łatwego dostępu do dóbr kulturalnych. Jest to przykry paradoks. Podobno żyjemy w cywilizacji obrazkowej i może jest tak, że to obrazy (zwłaszcza ruchome i kolorowe) niszczą słowa i myśli. Dzisiaj przeważają tendencje ludyczne, dość prymitywne, grozi nam, że zaśmiejemy się na śmierć, nie widząc realnych zagrożeń. Literatura traktowana jest jako rodzaj gry, forma rozrywki nieco szlachetniejszej niż inne typy rozrywek. Nie zawsze tak było.

Dwie dekady wielkiej literatury

Odzyskanie niepodległości po 123 latach zaborów sprawiło, że w literaturze nastąpił niespotykany dotąd wcześniej w polskiej historii okres prosperity. Wyzwolenie narodowe stało się katalizatorem wyzwolenia intelektualnego i zaowocowało powstaniem ogromnej liczby utworów, które na stałe weszły do kanonu literatury polskiej

Wiele utworów z tego okresu doczekało się setek, a nawet tysięcy analiz i interpretacji i po dziś dzień cieszy czytelników lub spędza sen z powiek niektórym uczniom. Skupimy się tutaj na ogólnej charakterystyce głównych nurtów literackich międzywojnia.

Przy bliższym spojrzeniu na tę epokę zauważymy zdecydowany podział na przepełnione optymizmem, pełne zachwytu nad życiem, kultu nowości i miłości do techniki powojenne lata 20. i pełne atmosfery niepokoju, poczucia zagrożenia, podkreślające coraz bardziej jaskrawe różnice społeczne lata 30. Jest to oczywiście ściśle powiązane z zachodzącymi zmianami politycznymi, ekonomicznymi i społecznymi.

Ten podział świetnie widoczny jest w Polsce w działalności poetów. Lata 20. to czas entuzjazmu z powodu odzyskania niepodległości i zakończenia wyniszczającej wojny. W tym okre-

sie kształtują się grupy literackie, które będą miały wielki wpływ na całą poezję polską. Wystarczy tutaj wspomnieć Skamandra, który tworzy wielką piątkę poetów: Julian Tuwim, Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński i Jarosław Iwaszkiewicz. Ich twórczość oparta jest na koncepcji witalizmu, nawiązują do tradycji poetyckiej romantyzmu. Drugą grupą, reprezentującą z kolei kult nowości, jest Awangarda Krakowska na czele z Tadeuszem Peiperem, który formułuje jej program oparty na idei 3M: miasto, masa, maszyna. Obok Peipera do znanych członków należą Julian Przyboś, Jalu Kurek i Jan Brzękowski. Trzecią grupą, która wpisuje się w ten powojenny, optymistyczny charakter, są futuryści przejawiający miłość do techniki i odrzucający tradycję, stawiający na bezpośredni kontakt z publicznością – Bruno Jasieński, Anatol Stern, Aleksander Wat czy Jerzy Janowski. Na drugim biegunie stoją poeci lat 30. Ten okres to czas wielkiego kry-

zysu gospodarczego, który jest silnie odczuwany na terenie II Rzeczypospolitej. Pogarszające się warunki życiowe wpływają na zdecydowaną radykalizację nastrojów społecznych na świecie, co stanowi idealne warunki do rozwoju totalitaryzmów. Panuje wszechobecna atmosfera niepokoju, wzrasta poczucie zagrożenia kolejną wojną, w twórczości literackiej dominują katastroficzne wizje. W takiej pesymistycznej stylistyce tworzą poeci skupieni wokół czasopisma „Kwadryga”, podkreślający coraz silniej rysujące się różnice społeczne, wynikające z płci czy statusu. Członkami są m.in. Mieczysław Bibrowski i Władysław Sebyła. Inną grupą tworzącą w pesymistycznym tonie jest Awangarda Lubelska skupiona wokół Józefa Czechowicza. Trzecia grupa, której twórcy podkreślają atmosferę niepokoju i zagrożenia, to Żagary na czele z Czesławem Miłoszem



Stefan Żeromski

i Teodorem Bujnickim. Charakterystyczne dla lat 30. jest też postępujące upolitycznienie powstających w nich utworów. Podobny podział widoczny jest także wśród prozaików. Wystarczy przywołać wydane w 1924 r. „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, którego sam tytuł postrzegany jest jako metafora pozytywnych zmian zachodzących po zakończeniu wielkiej wojny. Z drugiej strony jako przykład popsucia nastrojów społecznych można wspomnieć wydaną w 1932 r. „Kariere Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, która zyskała ogromną popularność i jest znakomitą satyrą na amoralne i skorpumpowane elity władzy, podkreślającą również istniejące nierówności społeczne. Osobną kategorię stanowi tutaj Stanisław Ignacy Witkiewicz, najbardziej wszechstronny twórca międzywojnia, genialny ekscentryk, malarz, prozaik, dramaturg i filozof. Postać, której nie da się zasufladkować. W twórczości Witkacego również dostrzeżemy katastroficzne wizje i pesymizm odnośnie do otaczającego świata, ale pojawiają się one znacznie wcześniej niż w latach 30. Witkacy już po powrocie z wojny ze służby w rosyjskiej armii wspomina w swoich tekstach o zagrożeniu, które w niedalekiej przyszłości będą stanowiły totalitaryzmy. Optymizm

lat 20. i czarnowidztwo lat 30. wydają się jak najbardziej naturalne, jeżeli uwzględnimy zachodzące w tym okresie nie tylko w Polsce, lecz i na świecie zmiany, logiczne jest więc, że zostały zaadaptowane przez literatów, których zadaniem jest przecież opisywanie otaczającej ich rzeczywistości.

Poruszając tematykę literatury międzywojnia, nie można pominąć milczeniem pierwszej w wolnej Polsce Nagrody Nobla przyznanej Władysławowi Reymontowi za „Chłopów” w 1924 r. Było to ogromne wyróżnienie nie tylko dla samego laureata, lecz również uznanie dla całej polskiej twórczości literackiej. Warto także pamiętać, że w tym roku mieliśmy dwóch kandydatów do Nagrody Nobla, konkurentem Reymonta był Żeromski. Z kandydaturą Żeromskiego wiąże się ciekawa historia, która rzadko jest przytaczana w szkołach. Dzieła Żeromskiego przed 1924 r. cieszyły się większą popularnością na terenie Polski niż Reymonta, jednak ta popularność wśród szerokiej publiczności nie przekładała się na poparcie wśród instytucji i stowarzyszeń naukowych, które odpowiadały za zgłoszenie danego kandydata do nagrody. Lewicowe poglądy Żeromskiego spotykały się z niechęcią członków Polskiej Akademii Umiejętności, których sympatie leżały zdecydowanie bliżej prawej strony sceny politycznej. Tutaj pojawia się postać Konrada Czarnockiego, polskiego

artysty i malarza, który po zakończeniu wojny pełnił funkcję attaché przy polskiej ambasadzie w Sztokholmie i był wielkim miłośnikiem twórczości Żeromskiego. Czarnocki bardzo aktywnie promował Żeromskiego wśród szwedzkich krytyków i naukowców, przy wsparciu polskiej ambasady. Dziś jego działania spokojnie moglibyśmy określić jako lobbing. Jeżeli ktoś jest zainteresowany szczegółami, to można się z nimi zapoznać w książce „Nobel dla Żeromskiego?” napisanej na podstawie wspomnień Czarnockiego. Ostatecznie udało się PAU przekonać i w 1921 r. zgłoszono kandydaturę Żeromskiego do Nobla. Jak wiemy, autor „Przedwiośnia” nagrody nigdy nie otrzymał, a polskim laureatem został Reymont. W tym czasie panowało przekonanie, że powodem przegranej Żeromskiego było wydanie w 1922 r. powieści „Wiatr od morza”, która miała antyniemiecki charakter i zrodziła niechęć do autora ze strony szwedzkich krytyków, którzy sympatyzowali ze swoimi germańskimi kolegami. Po latach ujawniono notatki z komisji przyznającej nagrodę, z których wynikało, że o przyznaniu nagrody zdecydowały względy literackie, jednak ich treść wskazywała na pewną osobistą niechęć Szwedów do Żeromskiego.

Kończąc tę krótką wycieczkę po literaturze międzywojnia, pozwolę sobie jeszcze wspomnieć Brunona Schulza i jego napisane poetycką prozą „Sklepy cynamonowe” oraz Witolda Gombrowicza z „Ferdynandem”. Z pisarzy, którzy zasługują na wzmiankę, a dzisiaj są odrobinę zapomniani, warto pamiętać o Stefanie Grabińskim, autorze niesamowitych opowieści, twórcy horroru kolejowego, który jest nazywany czasem polskim Lovecraftem.

XX-lecie również w dziedzinie literatury jest epoką w polskiej historii absolutnie wyjątkową. Nigdy wcześniej ani później nie mieliśmy w tak krótkim okresie, bo trwającym przecież zaledwie 21 lat, tak wielu znakomitych twórców żyjących i aktywnie działających w tym samym czasie. Nie pozostaje chyba nic innego, jak zaprosić państwa do lektury.

Dominik Pawlik

„Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakkolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać jak powietrzem. Tu jest zaduch. Był tego wielkiego państwa, tej złotej ojczyzny, tego świętego słowa, za które umierali męczennicy, był Polski – za ideę! Waszą ideą jest stare hasło niedołęgów, którzy Polskę przełajdaczyli: »jakoś to będzie!«”

Stefan Żeromski, „Przedwiośnie”

„Są jednak w jesieni dni inne, pełne spokoju i zadumy, które są dla nas łaskawe. Zdarzają się niekiedy dni takie bez słońca, ciepłe, zamglone i bursztynowe na dalekich krawędziach. W przerwie między domami otwiera się nagle widok w głąb na połąć nieba schodzącego nisko, coraz niżej, aż do ostatecznej rozwianej żółtości najdalszych horyzontów. W tych perspektywach otwierających się w głąb dnia wędruje wzrok jakby w archiwa kalendarza, jak w przekroju dostrzega nawarstwienia dni...” – tak pisze Bruno Schulz, jeden z najbardziej utalentowanych i rozpoznawalnych twórców okresu międzywojnia. Jego język jest soczysty, pełen niezwykłych metafor, plastyczny i poetycki, a rzeczywistości przedstawionej daleko do jednoznaczności i jednowymiarowości. To świat zmysłowy i nastrojowy, iluzoryczny i niekiedy groteskowy. Świat tajemniczy, na pograniczu jawy i snu, gdzie czas płata figle, przyroda i przedmioty ożywają, gdzie głos może się stać „wnikliwym szeptem”, z Bogiem można się kłócić, siedząc na... nocniku („Nawiedzenie”), za to „aksamitny, ciepły i pulsujący małym, pospiesznym sercem” pies jest po prostu „kapitałny” („Nemrod”), gdzie istnieje trzynasty miesiąc w roku...

Bruno Schulz urodził się 12 lipca 1892 r. w Drohobyczu w rodzinie galicyjskich Żydów jako najmłodszy z trojga rodzeństwa. Po zdaniu matury rozpoczął studia architektoniczne, których z przyczyn zdrowotnych nie ukończył.

Bruno Schulz

– magik z Drohobycza



Krótko też studiował malarstwo w Wiedniu, zasadne jest zatem twierdzenie, że w dziedzinie malarskiej był samoukiem. Dziś znawcy sztuki wysoko oceniają jego grafiki i rysunki, głównie będące ilustracjami jego tekstów literackich, czy jedyny zachowany obraz olejny „Spotkanie”, stawiając go obok czołowych artystów pędzla i ołówka okresu międzywojnia. Jego styl łączący realizm magiczny, groteskę i ekspresjonizm określa się „rzeczywistością przesuniętą” (Joanna Pollakówna). Malarstwem i rysunkiem zajmował się na co dzień, pracując jako nauczyciel w drohobyckim gimnazjum. Do czasu wojny Schulz żył jak artysta: rysował, pisał i prowadził korespondencje z innymi twórcami – Zofią Nałkowską, Witoldem Gombrowiczem, Witkacym, od czasu do czasu zajmując się krytyką literacką. Żył samotnie. Włodzimierz Bolecki, autor posłowie do wydania zbiorowego twórczości Schulza, pisze: „Cierpiał z tego powodu, próbował z samotnością walczyć, a jednocześnie dążył do niej i chronił jej jako podstawowy warunek swej twórczości – sądził, że nawet małżeństwo mogłoby być dla niego zagrożeniem. Czasem wspominał o tym w listach”. Zginął tragicznie od strzału gestapowca w tył głowy 19 listopada 1942 r. Istnieje kilka wersji tego zdarzenia, jedna z nich mówi o porachunkach gestapowców, których ofiarą padł artysta.

Nie wiadomo, jaką spuściznę pozostawiłby po sobie Schulz, gdyby mieszkał w Warszawie czy Krakowie, gdyby świadomie włączył się do jakiegokolwiek grupy literackiej.

Pisząc na peryferiach, w zaciszu swojego pokoju, w zaciszu drohobyckich uliczek, stworzył świat niepowtarzalny, nasycony barwami i dźwiękami upływających godzin i zmieniających się pór roku. Świat namalowany słowem. Brzmi pięknie, ale nie oddaje w pełni sedna Schulzowskiej lektury. W świecie przedstawionym sporo jest zniekształceń, uduziwień, symboli i odniesień do kultury i historii. To mityzacja rzeczywistości, czyli przeniesienie otaczającego świata do rangi symbolu. Schulz pisał: „Najpierwotniejszą formą ducha jest bajanie, jest tworzenie historii”. Dwie książki, wydane w 1934 r. „Sklepy cynamonowe” i dwa lata później „Sanatorium pod Klepsydrą”, to właśnie owo bajanie; na nowo zinterpretowana rzeczywistość kresowej prowincji. Lektura prawie 30 utworów przenosi czytelnika w niecodzienną przestrzeń, miejscami zbudowaną jak we śnie.

U Schulza miasto jest raz ponure, raz leniwe, brudne, a najczęściej to miejsce, gdzie można się zagubić, coś odkryć, znaleźć się w zupełnie innej okolicy. Iluzoryczność Drohobycza dobrze oddają „Sklepy cynamonowe”, gdzie bohater zaczyna błądzić uliczkami, trafiając w osobliwe miejsca. Otwiera się przed nim miasto pełne tajemnic: „Ulice podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne”. Bo to już nie rzeczywisty Drohobycz, lecz wytwór wyobraźni bohatera „oczarowanej i zmyłonej”. Pojawiają się niby te same budynki, ale jakieś inne, niby ta sama sala gimnazjalna, a jednak nie, bo nadobowiązkowa lekcja rysunku prowadzona na scenarii jasnej nocy zimowej przypomina sen: „Upływał niepostrzeżenie czas i biegł nierównomiernie, robiąc niejako wężły

w upływie godzin, połykając kędyś całe puste interwały trwania”. Nocna wędrówka niesie obrazy dorożek i przejażdżki pełnej dziwów (koń nagle zmałał i przemówił), gęstego parku, zarośli o „włochatej sierści”, i wreszcie odkrywa tajemnicę tytułowych

ny, własny, nieprzystający, cofnięty, z drugiej ręki – tak opisuje go autor. W utworze „Samotność” wyznaje: „Nie potrafię wytłumaczyć faktu, że jest to dawny mój pokój z dzieciństwa”.

Opisane historie mają swoich wyraźnych, soczyście opisanych bohaterów na czele z ojcem, który wraz z narratorem spaja dwa zbiory opowiadań, od pierwszej do ostatniej strony. „Ostatnia ucieczka ojca” tak się kończy: „Ugotowany, gubiąc nogi po drodze, powłókł się ostatkami sił dalej, w bezdomną wędrówkę, i nie ujrzał go więcej na oczy”. Z tej perspektywy twórczość Schulza można zinterpretować jako pożegnanie z ojcem, rzecz o powolnym, ale ciągłym odchodzeniu: „Umierał wielokrotnie, zawsze jeszcze nie doszczętnie”.

Także utracie, właściwie wszystkiego, co najważniejsze i co istotne, o powolnym godzeniu się ze zmianami. Bohaterki Schulza, przeciwnie niż mężczyźni, są praktyczne i pozbawione dylematów egzystencjalnych. Czy to matka, ciotka Agata „wielka i bujna”, służące Adela, która „wracała w świetliste poranki”, i Genia „anemiczna, blada i bezkostna” czy wreszcie Bianka z „Wiosny”, którą zauroczony bohater „studiuje z uporem, z zaciekleścią”.

Oczami narratora-bohatera czytelnik ogląda tę osobliwą przestrzeń utkaną językiem prozy poetyckiej, pełną dźwięków, obrazów i kształtów, by wraz z nim doświadczać emocji związanych z dorastaniem, fascynacją życiem małym miasteczkowym i przemijaniem. Również odchodzeniem pewnej epoki. I może czytelnik zapytać, tak jak bohater „Sanatorium pod Klepsydrą”: „Gdzież jestem? Co się tu dzieje? W jaką matnię wpłatałem się?”.

Marta Graf

„Czy mam zdradzić, że pokój mój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jakiż sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli nie ma zapory, intensywniej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi, jak w kuchni mego dzieciństwa, z żelazną klamką i rygłem. Nie ma pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, by mu je zainsynuować”

Bruno Schulz, „Sanatorium pod Klepsydrą”

sklepów. Cynamonowymi nazwał je bohater, gdyż kolor drewna, z którego zbudowano wnętrza sklepów, kojarzył mu się z barwą cynamonu. Ich właściciele są dostojni, dyskretni, milczący i oferują swoim klientom towary niezwykle i egzotyczne, takie jak „szkatułki czarodziejskie”, „korzeń Mandragory” czy „jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliuszki”.

Narrator pierwszoosobowy, zarazem bohater o imieniu Józef, snuje opowieści, częściej statyczne, choć zdarzają się dynamiczne z wyraźną akcją („Wiosna”, „Sanatorium pod Klepsydrą”), najczęściej osadzone w mieście i na jego peryferiach; w ciemnych pokojach mieszkania pełnego „wielkich szaf, głębokich kanap, bładych luster i tandetnych palm sztucznych” („Nawiedzenie”). Opowiadania są wspomnieniami, powrotem do lat dzieciennych, czemu służy swoiste, jakby odrealnione ujęcie czasu. Odręb-

Międzywojenna groza Stefana Grabińskiego

I wojna światowa, którą wtedy nazywano wielką wojną i pokładano w niej nadzieję na zakończenie wszystkich konfliktów, stała się dla artystów czynnikiem zmieniającym obraz sztuki. Wobec tego traumatycznego doświadczenia nie można było utrzymać estetycznych i etycznych postaw młodopolszczyzny, epoki, którą to historyczne wydarzenie ewidentnie kończyło. Powojenna rzeczywistość wymagała przepracowania doznanych i wyrządzonych krzywd także na płaszczyźnie artystycznej. Pisarze XX-lecia międzywojennego odpowiadali na nową sytuację w rozmaity sposób. Katastrofiści wieścili upadek cywilizacji, futuryści z optymistycznym zachwytem patrzyli w technologiczną przyszłość, witaliści cieszyli się życiem, a dadaiści eksplorowali jego niezwykły absurd. Wśród tych nurtów rozwijała się polska fantastyka grozy, z jej niekoronowanym królem – Stefanem Grabińskim. Czerpała po trochu ze wszystkich trendów, ale szybko ustaliła własne reguły gry.

Wielka wojna była złem, które wymagało jeśli nie usprawiedliwienia, to przynajmniej wyjaśnienia. Wskazania źródła, by można mu przeciwdziałać. Polityka dostarczała swoich odpowiedzi, religia swoich. Jednak kwitnąca w tym czasie psychoanaliza była nieubłagana: Freud (a także jego uczniowie, wśród nich zwłaszcza Wilhelm Reich) był pewien – istnieją w człowieku siły psychiczne, które nie są ani racjonalne, ani moralne. Zło takie, jakim je odbieramy, bierze swój początek w nas samych. Możemy mu zaprzeczać, możemy je odrzucać (w psychoanalitycznej terminologii nazywa się to wyparciem), ale w końcu wróci, wymierzone przeciwko nam, w potwornej postaci. Tę lekcję psychoanalizy odrobiło wielu polskich pisa-



Stefan
Grabiński

rzy, ale jeden z nich znalazł dla niej szczególne zastosowanie. Stefan Grabiński, który w roku zakończenia I wojny światowej wydał pierwszy zbiór opowiadań pod swoim nazwiskiem – „Na wzgórzu róż” (wcześniej, w 1909 r., wydał tylko pierwsze próby krótkiej prozy pod pseudonimem Stefan Żalny) – połączył psychoanalityczne ujęcia ludzkiej kondycji z teorią literatury zaczerpniętą od amerykańskiego mistrza grozy Edgara Allana Poe’go, by zbudować założenia własnej, niezwykle oryginalnej twórczości.

Grabiński podzielił fantastykę grozy na dwa typy: zewnętrzną i wewnętrzną. Zewnętrzna opierała się na konwencjonalnych rekwizytach i schematach straszenia znanych czy to z germańskiego romantyzmu (np. opowiadań E.T.A. Hoffmanna), czy z literatury gotyckiej. Fantastyka wewnętrzna natomiast sięgała do ludzkiego wnętrza (podświadomości), skąd wydo-

bywała potwory i demony dużo bardziej przekonujące i dużo lepiej znane jego czytelnikom. Nadal mogły one przybierać kształty żywiołaków, widm czy nawet wampirów, jednak nie pochodziły z legend ani mitów, ale z zakamarków ludzkiej duszy. Straszdyła Grabińskiego były projekcją treści psychicznych.

Dorobek literacki Stefana Grabińskiego to przede wszystkim opowiadania. Poza wspomnianym wydał jeszcze „Demonu ruchu” (1919), „Szalonego pątnika” (1920), „Niesamowitą opowieść” (1922), „Księgę ognia” (1922) i „Namiętność” (1930). Trzymając się ogólnych założeń wewnętrznej fantastyki grozy, Grabiński eksperymentował z różnymi rozwiązaniami także

tematycznymi. „Demon ruchu” był na przykład zbiorem utworów kolejowych, to znaczy takich, których akcja związana była z pociągami czy pracownikami kolei. Pociągi widmo, nieistniejące stacje, maniakalni maszyniści, tory prowadzące donikąd – mimo ograniczonej tematyki, jej realizacja okazała się bardzo różnorodna. I pod tym względem Grabiński był prekursorem nie tylko na skalę rodzimę, lecz i światowej literatury. Nowele kolejowe dziś jednak nie robią takiego wrażenia, jakie musiały wywierać na jemu współczesnych, dla których doświadczenie podróży koleją było czymś stosunkowo nowym i fascynującym. Mimo to o Grabińskim nadal często myśli się jako o autorze właśnie tych utworów.

Zdecydowanie rzadziej mówi się natomiast o Grabińskim jako o powieściopisarzu, choć ma w swym dorobku cztery powieści („Salamandrę”, „Cień Bafometa”, „Klasztor i morze”, „Wyspę Itongo”). W przeciwieństwie do opowiadań jego powieści nie przetrwały raczej próby czasu. Pełne są modernistycznego okultyzmu, pod którego naporem fabuła często schodzi na dalszy plan, ustępując magicznej erudycji, a narrację wypełnia wykładnia ezoterycznych prawideł, na których opiera się stworzony świat. Opowiadania Grabińskiego szczęśliwie wolne są od tego rodzaju wykładni, a ich współczesne wydania czytelnicy literatury niesamowitej coraz chętniej stawiają na półkach obok Edgara Allana Poe’a, H.P. Lovecrafta czy Thomasa Ligottiego. Nie tylko polscy czytelnicy zresztą, bo do tej pory Grabiński doczekał się już przekładów na język niemiecki, angielski, portugalski, czeski, a ostatnio także japoński.

Choć w XX-leciu międzywojennym Grabiński nie cieszył się przesadną popularnością, a przez kilka następnych dekad pozostawał pisarzem raczej zapomnianym, wydaje się, że dziś jego popularność jest większa niż kiedykolwiek. Częściowo jest to zasługą przejścia pisarza do domeny publicznej, co znaczy, że jego utwory mogą być publikowane swobodnie, bez względu na autorskie prawa majątkowe. I rzeczywiście: praktycznie cały dorobek Grabińskiego można legalnie i za darmo znaleźć w internecie. Autor „Demona ruchu” stał się też ważną postacią w środowisku polskich fanów literackiej grozy, czemu dali wyraz m.in. obierając go na patrona nagrody środowiskowej

(Nagroda Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego) przyznawanej od 2014 r.

Stosunkowo szybko wszedł Grabiński w świat kinematografii. Fascynat pociągów pałał miłością także do nowego medium, a uczucie to odwzajemniono już za jego życia. W 1927 r. polskie studio Kolos wyprodukowało film „Kochanka Szamoty” w reżyserii Leona Trystana, na podstawie opowiadania Grabińskiego o tym samym tytule. Erotyczno-nekrofilską histo-

ria, w której główny bohater nawiązuje płomienny romans, by odkryć ostatecznie, że jego tajemnicza kochanka zmarła jakiś czas wcześniej, stymulował wyobraźnię filmowców niezwykle intensywnie, bo oprócz adaptacji Trystana (niestety nie zachowała się do dziś) doczekała się jeszcze kilku prób przeniesienia na ekran: amerykańskiej („Szamota’s Mistress”, 1998, reż. Joseph Parda), niemieckiej („Szamotas Geliebte”, 1999, reż. Holger Mandel) i ponownie polskiej („Kochanka Szamoty”, 2016, reż. Adam Uryniak), choć w ostatnim przypadku niewiele zostało z oryginalnego opowiadania.

Po II wojnie światowej nastąpiła pewna zmiana postrzegania literatury grozy. Jej symboliczny charakter nie był po linii programowej nowej, socrealistycznej estetyki. To, co wcześniej rozumiano jako metaforę ludzkiego wnętrza, stało się irracjonalnym głupstwem niegodnym poważnego traktowania, a nawet niebezpiecznym, bo prowadzącym do równie irracjonalnych zachowań. I choć estetyka socrealizmu już przebrzmiała, to z konsekwencjami uznawania pewnych gatunków za niepo-

ważne zmagamy się do dziś. Na szczęście sytuacja się zmienia, a po takich twórców jak Grabiński sięgają coraz częściej i chętniej nie tylko czytelnicy, lecz także badacze literatury. Ostatnim tego dowodem jest wydana w tym roku praca zbiorowa „Czytanie Grabińskiego”, która zbiera teksty naukowe poświęcone temu pisarzowi, a wśród autorów znaleźli się m.in. Tadeusz Ślawek, Wojciech Gutowski i Dariusz Brzostek.

Na różne sposoby: od środowisk fanowskich, przez ekraniizacje, po odczytania profesjonalne – Stefan Grabiński zajmuje w literaturze polskiej miejsce, którym nigdy nie mógł się cieszyć za życia. Miejsce, które jak najbardziej mu się należało. Miejsce, które należy się i teraz.

Krzysztof Grudnik

**„Nowy dorzut węgla zniknął
w czeluści pieca i prysnął snopem
krwawych iskier – nowa falanga pary
wstrzyknęła ognisty war w topniejące
rury... Grot wlepił przestłonięte
gorączką oczy w rubinową gardziel
i pił jej żar, wsysał jej krew...
Wtem... zakotłowało coś, zawyło
szatańskim skowytom – rozległ się
huk, jak z tysiąca armat, zaryczał
grzmot, jakby stu piorunów...
Wytrysnął w górę ognisty, splątany
kłęb, zgmatwany słup odłamków,
żelaznych skorup, pogiętych blach
– prysnęła pod niebo rakietą szczątów,
rozprutych przesęt, rozpekłych
dzwon... Rozdarł kiry nocy purpurowy
finał Grota”**

Stefan Grabiński, „Maszynista Grot”

Przystąp do Programu VITAY!



Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!

Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!

Sprawdź na vitay.pl

CLUB
VITAY


ORLEN

SIECI na **MAJÓWKĘ**

Nocleg w baszcie na wulkanie

Czy byliście kiedyś sami w średniowiecznym zamku? Ja byłam. No nie sama – z mężem i półroczną córcią. Kiedy mąż wrócił z bagażami na szczyt baszty, w której nocowaliśmy, był z lekka przerażony. „Coś się stało?” – spytałam. „Nic, nic – odpowiedział. – Ale chyba słyszałem pogawędkę średniowiecznych wojów”. To nie żart. Wybierzcie się do Grodzca, a sami poczujecie oddech historii

Dolny Śląsk zamkami stoi

Kiedy ostatnio na historii pani zadała temat: „Opisz średniowieczny zamek”, zatarłyśmy z córcią ręce. Ten, kto regularnie jeździ na Dolny Śląsk, takie wypracowanie napisze z zamkniętymi oczami. Wystarczy powspominać wakacyjne wypady. Albo wybrać się dla odświeżenia pamięci na majówkę, choć tłum gości będzie pewnie nieznośny.

Pogranicze czesko-niemieckie ma burzliwą historię. Zamki obronne budowano tu niemal na każdej solidnej górze, z której było jak na dłoni widać trakt i przemierzających się jeźdźców, zarówno zbrojnych, jak i karawany kupców. Często zachowywano odległość wzrokową, jak między Bolkowem i Świnami. Gdy jedna załoga wypatrzyła niebezpieczeństwo, alarmowała także drugą i łatwiej było się bronić. Twierdze przechodziły jednak z rąk do rąk jako łupy wojenne i lenna. W niektórych zakotwiczyli się nawet zbójnicy, którzy rabowali okolice.

Epizod bandycki miał na przykład Grodziec, który należał do Piastów Śląskich i strzegł bezpieczeństwa ku-

pieckich karawan. Przynajmniej teoretycznie, bo gdy w XVI w. pokłócili się o niego jedni z ostatnich regionalnych Piastowiczów, bracia Henryk XI i Fryderyk IV, zmienił nieco charakter. Bracia, bijąc się, tracili majątek, więc musieli jakoś podreperować nadszarpnięty budżet. Książę Henryk – pan na Grodziecu – pomagał więc sobie, napadając jak pospolity zbój na karawany zmierzające do Wrocławia (przez pobliski Tomaszów prowadziła via regia) albo zabierając magistratowi Lwówka Śląskiego 250 baranów, czy okradając należące do brata stawy rybne pod Milkowem.

Gdy pozna się historię Dolnego Śląska od takiej rycersko-awanturniczkiej strony, nudne zwiedzanie kolejnych ruin zamienia się w pasjonującą przygodę.

ZA WROTAMI CZASU

Na polu, niemal płaskim, wyrasta góra. Wygląda jak namalowana mało wprawną ręką dziecka. Jest porośnięta lasem tak gęstym, że przypomina zielone futro. Na samym czubku błyska



Grodziec

coś czerwono – to nowiułkie dachówki. Podjeżdżamy jeszcze kilkadziesiąt metrów i baszty znikają za drzewami. Droga na szczyt kręci się dokoła wąską serpentyną. Dwaj rycerze na koniach może by się zmieścili obok siebie, ale dwa samochody raczej niekoniecznie. Choć pali ostre wiosenne słońce, kilkusetletnie drzewa nie dopuszczają do ziemi światła. Jest półmrok, jakbyśmy nagle przekroczyli wrota czasu i znaleźli się w innym świecie. Jakimś dziwnym i mniej obeznanym. Średniowiecznym.

Grodziec leży najbliżej autostrady A4, na Pogórzu Kaczawskim. Widać go dobrze, bo stoi na bazaltowym powulkanicznym wzgórzu o charakterystycznym stożkowatym kształcie. Był jedną z najpiękniejszych gotyckich rezydencji w tej części Polski, rycerze zjeżdżali tu na turnieje i polowania. Zniszczony w czasie wojny 30-letniej przez 300 lat nie podniósł się z ruin.

Dziś na dziedzińcu stoją oczywiście grille i ławy, ale biega też jakiś Tatarzyn z łukiem i bose dzieciaki w białych gielach. Grodziec to jedno z ulubionych miejsc grup rekonstrukcyjnych i wszelkiej maści pasjonatów średniowiecza. Możesz się więc znaleźć nagle w centrum pojedynku – jak my. Byliśmy w lekkim szoku, bo woje się nie oszczędzali, a spod prawdziwych mieczy sywały się prawdziwe iskry!

Budowę średniowiecznej twierdzy można podziwiać bez skrępowania – ludzie wchodzą na mury obronne, maszerują po blankach, wciskają się we wszystkie zakamarki. Nie wolno tu spuszczać z oczu dzieci, bo sceneria może podsunąć różne głupie pomysły. Nie tylko im zresztą, z wieży spadali



Bolków



także dorośli. Zgodnie z dawnymi opisaniami zamek to sześciobok z basztami w pięciu narożach i potężną kwadratową wieżą. Główny budynek – palatium – pokryty był dwuspadowym dachem, była winiarnia, a nad nią komnaty z oknami i pokój kominkowy. Zamek miał kuchnię z jadalnią i łazienką, własną piekarnię z dwoma piecami, studnię i okrągłą wieżyczkę-więzienie. W wielkiej wieży – donżonie – mieścili się zbrojownia i magazyn zboża. Odbudowany dopiero na początku XX w. według projektu słynnego architekta Bodo Ebhardta w czasie II wojny światowej skrywał skarby Biblioteki Berlińskiej i łupy, które zrabowali Niemcy.

Chociaż Grodziec już w XIX w. był obiektem turystycznym i zwiedzać tę malowniczą ruinę przyjeżdżali ludzie z całej Europy, nie został prawie w ogóle

ucywilizowany. Owszem, w wieży jest kilka pokoi, ale warunki panują w nich raczej pionierskie. Nic dziwnego, że szwedzka telewizja wybrała ten właśnie zamek, żeby nakręcić w nim średniowieczne reality. Pokonał 200 innych obiektów.

Mieliśmy okazję spędzić tu parę lat temu niezwykle dni. Mieszkaliśmy w wieży sami z córcią, a jedynym naszym towarzystwem był czarny kot, zaprzyjaźniony z kasztelanem, który włóczył się po nocy i wydawał dziwne pomruki, wyrzucając nas ze snu. A kasztelan na pożegnanie poczęstował nas miodem pitnym, ulubionym napitkiem polskiego rycerstwa, i wsiadając do samochodu, rzucił: „Strzeżcie zamku”. Światła na dziedzińcu nie było, więc wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Po dwóch nocach nie dziwiliśmy się, że w czasach mroków średniowiecza ludzie bali się ciemności i wierzyli w diabły.

ZAMEK NA KWISIE

Bodo Ebhardt odbudował na Śląsku jeszcze jeden zamek – Czocha w Suchej nad Zalewem Leśniańskim w polskiej części Łużyc. Zbudowany z rozkazu króla czeskiego Wacława I na skalistym półwyspie wcinającym się w rzekę Kwisę jest do dziś jednym z najpiękniejszych i najbardziej malowniczych zamczysk w Polsce. W porównaniu z rezydencją, jaką jest Czocha, Grodziec to

maleństwo. Przechodził z rąk do rąk, jak to na pograniczu. Był i polski, i czeski, i niemiecki. Wreszcie w 1909 r. kupił go producent cygar Ernst Gütschow i przebudował zgodnie z wyglądem na rycinie z 1703 r. Zamierzał w zamku eksponować zgromadzone przez siebie dzieła sztuki, liczył też na to, że cesarz w uznaniu za budowanie potęgi kraju nada mu tytuł szlachecki. Wspólnie z architektem oddali ducha przeszłości perfekcyjnie. Wykorzystano bowiem mnóstwo zachowanych detali, kominki sprowadzono specjalnie z Włoch, biblioteka nawiązywała do stylu Tudorów. Po przebudowie zrobiła się bardziej średniowieczna niż w średniowieczu – czytamy na stronie zamkipolskie.com.

Właściciel rzadko tu pomieszkiwał, biznesy trzymały go w Rzeszy. Dopiero pod koniec wojny sprowadził się z rodziną na Dolny Śląsk, który był bezpieczniejszy niż bombardowane przez aliantów niemieckie miasta. Uciekł przed armią sowiecką, zabierając co cenniejsze skarby, resztę rozszabrowano.

Podobno w czasie II wojny światowej mieściła się tu szkoła szyfrantów Abwehry, na pewno zaś w zamkowych skrytkach ukryto insygnia koronacyjne Romanowów, z którymi przyjaźnił się właściciel zamku. W pobliskich fabrykach eksperymentowano z pociskami V-1 i V-2, a na zamku gościł w czasie wojny Wernher von Braun, ojciec



Chojnik



Zamek Czocho w Suchej nad Zalewem Leśnińskim

niemieckiej broni rakietowej, po wojnie współpracujący z Amerykanami przy budowie rakiet kosmicznych, wynoszących na Księżyc statki Apollo. Czocho wciąż skrywa niejedną tajemnicę.

ROGATY CHOJNIK I BOLKÓW

Do kolejnego nie dojedziesz. Stoisz nad urwiskiem wznoszącym się nad Piekelną Doliną i prowadzi do niego czarny szlak. To karkonoski Chojnik, owiany legendami o złej Kunegundzie, która każe kandydatom na męża objeżdżać go konno po stromych skałach. Dwór zbudował tu w XIII w. książę legnicki, syn Henryka Pobożnego, Bolesław II Łysy, jeden z najgorszych piastowskich awanturników, wnuczek świętej Jadwigi. Nieodpowiedzialny i zajęty własnymi przyjemnościami. Podobno tak uwielbiał dworskie zabawy, że w 1241 r., kiedy na Śląsk ruszyli Mongołowie, wyprawiał właśnie turniej, zamiast pomóc ojcu, który zginął na Polach Legnickich.

Jak to w czasie rozbicia dzielnicowego, ten dziedzic Dolnego Śląska nieustannie walczył z braćmi o schedę po ojcu. Zdarł też z biskupem wrocławskim, którego wsadził do lochu i zakął w kajdany. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy papież zagroził mu klątwą i zapowiedział, że wyśle na niego krucjatę. Do Chojnika Rogatka przyjeżdżał ukoić skołatane nerwy – na polowania i ucztę w męskim gronie. Trzeba przyznać, że przypominający orle gniazdo zamek miał prawo przypaść do gustu temu zbójowi.

W trudną do zdobycia kamienną twierdzę (każdy doświadcza tego na sobie, idąc pod górę), strzegącą granicy księstwa świdnicko-jaworskiego, zamienił Chojnik syn Rogatki – Bolko I Surowy. Budynek mieszkalny, okrąglą wieżę, pręgierz, mury – tyle potrzebowała stacjonująca tu drużyna. Nie było nawet studni; gromadzono wodę opadową. Późniejsi właściciele, zamiast bronić granic, poczynali sobie zupełnie jak Henryk XI, czyli napadali

z niedostępnej twierdzy na karawany kupieckie, bo szlak widać było z wieży.

Łysemu zawdzięczamy też Bolków – kolejną warownię zbudowaną w strategicznym miejscu – dziś przecinają się niemal pod zamkiem drogi nr 5 i 3, wiodące z Wrocławia czy Legnicy do przejść granicznych w Lubawce i Jakuszycach. Ten kasztel oparł się nawet dwa razy Janowi Luksemburskiemu, który chciał wspomóc Krzyżaków walczących z Władysławem Łokietkiem. Zdobyl go dopiero czeski król Jan z Podiebradu i osadził swojego margrabiego. Ten zaś, nie mogąc stracić takiej okazji, zaczął rabować kupców. Trafił znowu w polskie ręce, gdy królem Czech był Władysław Jagiellończyk, ale nasz król oddał go Czechom w zastaw za ponad 3 tys. praskich groszy.

Nazwę Bolków zawdzięcza fundatorowi, który nosił imię dynastyczne zarówno u Piastów, jak i Przemyślidów. Nasz Bolesław Chrobry dostał je po dziadku, Bolesławie I Srogim – tatusiu Dobrawki i teściu Mieszka I. Tak na każdym kroku splata się na tych ziemiach polsko-czeska historia. Jej szlakiem można zdobyć niejedną zamek.

Anna Monicka

Wykorzystałam: zamikipolskie.com,
astrahistoria.pl, Mariusz Olczak,
„Grodziec”

Miasto jak szlachetna szkatułka

Kiedyś jedna ze stolic Europy, dziś – najmniejsze miasto w Polsce, od wieków zagubione wśród nadrzecznych łąk. Swoją historią mogłoby obdzielić kilka metropolii



Istnieją miejsca nieco zapomniane, rzadko odwiedzane, których historia i krajobrazy zapierają dech w piersiach, a złoto leży niemal wprost na ulicach. I nie chodzi bynajmniej o kruszec, ale o metaforyczne złoto znacznie od niego cenniejsze.

Kto na lekcjach historii choć trochę się przysłuchiwał, ten wie, że istnieją, teraz byśmy powiedzieli „geopolityczne”, pojęcia, które charakteryzują się tym, że po pierwsze, są bardzo ważne, po drugie, od setek lat funkcjonują wyłącznie jako pojęcie, a po trzecie, niehistoryk ma o nich kiepskie, eufemistycznie mówiąc, wyobrażenie. Są to m.in.: „Grody Czerwieńskie”, „Ruś Halicka”, „Księstwo Wiślickie” i wiele innych. Same nazwy wymienia się łatwo – towarzyszą każdemu z nas od początków edukacji historycznej.

LEGENDA JEST PRAWDZIWA

Legendarna Wiślica istnieje nadal i leży zaledwie 70 km od Krakowa, o czym łatwo się przekonać samemu, podążając nieco dziką drogą numer 776 na północny wschód. Jest urokliwa urokliwością odkrywana w prowincjo-



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

nalnych, francuskich miasteczkach przez Herbertowskiego „Barbarzyńcę w ogrodzie”. Jest wszystkim tym, o czym marzy człowiek, myśląc o idyllicznych, utraconych rajach dzieciństwa. Jest zatopioną w zieloności kwintesencją małego miasteczka i wielkiej historii. A metaforyczne złoto? Tu jest nim wybrukowany każdy zaułek: to najwspanialsze dziedzictwo europejskiej kultury średniowiecza.

Zanim opiszę wnętrze tej romańsko-gotyckiej szkatułki, chciałbym się na chwilę zatrzymać przy ciemnozielonych meandrach dziko rozlanej Nidy, odwiecznej towarzyszkii Wiślicy. A więc proszę sobie wyobrazić podmokłe rozległe łąki, ogłowione wierzby, kaczeńce, nieprzebrane trzcinowiska, firletki i fiołkowe bodzisзки, różowy rdest wężownik żywiący motyle modraszki,

brodzące w trawach bociany, pokrzykujące derkacze i krążące szybowcowym lotem błotniaki. Czy możliwe byłoby istnienie tych toposów przyrody wzdłuż rzeki wtłoczonej w betonowe lub ziemne wały? Czy uregulowany ciek może zaoferować takie bogactwo doznań? W Wiślicy nie trzeba się nad tym zastanawiać. Nikt nie wpadł tam jeszcze na pomysł, aby wyprostować koryto, a nadbrzeżne zarośla zaozać jako zagrożenie powodziowe. Nida meandruje więc tam leniwie i swobodnie poprzez krajobraz mogący zilustrować antyczny Złoty Wiek ludzkości w wydaniu słowiańskim.

ODWIECZNA SZLACHETNOŚĆ

Prowincjonalność przysłużyła się Wiślicy. Zakonserwowała szlachetność krajobrazu, o którą w okolicznych miastach wojewódzkich walczą bez skutku miejscy architekci krajobrazu. Wprowadzone przeze mnie określenie „miasto” przed 1 stycznia 2018 r. w przypadku Wiślicy byłoby użyte w sposób nieuprawniony. Wiślica prawa miejskie utraciła po powstaniu styczniowym. Nie chce się mieścić w głowie,

że ta perła gotyku z XIV-wieczną kolegiatą przywodzącą na myśl francuskie katedry oraz z innymi cudami architektury i sztuki, wprawiającymi maluczkich w osłupienie, do niedawna była wsią. I chociaż Wiślica wsią już nie jest i z pewnością – pomimo administracyjnych rozporządzeń – tak naprawdę nigdy nie była, to trudno scharakteryzować ją jako tętniącą życiem metropolię. Cóż, obecnie jest to najmniejsze miasto w Polsce z 503 mieszkańcami. Chcąc przejść z jednego końca na drugi, trzeba się przygotować na pokonanie 800 metrów. To w przypadku podróży z krańca południowego na północny. W przypadku przeprawy wschód–zachód jest to metrów 400. Sądzę, że cała tkanka miejska zmieściłaby się na jednym chińskim kontenerowcu.

BYŁO KIEDYŚ KSIĘSTWO

Nietęgość przestrzenna łączy się z pewnym wyhamowaniem dynamiki miasta, które nastąpiło jakieś 400 lat temu. W miarę całościowy spis instytucji przedstawia się następująco: kiosk z gazetami, szkoła,

zacja, zakład wodno-kanalizacyjny, piekarnia, apteka, sklep z artykułami rolniczymi, biuro nieruchomości, ludowy klub sportowy i kilka sklepów. Za mało, aby zapełnić jedną aleję centrum handlowego. Czy wystarczająco, aby wchłonąć hufce garnących się do pracy mieszkańców – było nie było – stolicy gminy? Żadnego udawania, nadęcia i pretensjonalności w stylu „splendore spa” czy „cafe toscana”. Po prostu, gdy się jest głodnym, można na rynku w Barze u Gieny, hołdującym dobrym tradycjom wystroju wnętrz z lat 90., zjeść zapiekankę. Wiślica do niczego nie musi pretendować. Była najprzedszytniejszą stolicą europejskiego księstwa, a niewiele brakowało, by była stolicą państwa. I niejedna ze stolic chciałaby być w posiadaniu chociaż ułamka wiślickich precjozów.

Nawet bilans remontu typowego małomiasteczkowego rynku wyszedł na plus. Na plus trawie – w którym w zestawieniu po stronie „winien” jest brukowa kostka (winę tę popełnia większość gmin), a po stronie „ma” – zieleni. Dzięki takiemu wynikowi rynek tonie w zieleni starych lip.

nie rzeczy przygodnych; w sprawach ponadczasowych Wiślica cechuje się wielkością.

PIEŚŃ WIŚLICKICH MINSTRELI

Skoro do naszkicowania szlachetnej prowincjonalności zostały wymienione wiślickie instytucje, niech za świetnością przemówią fakty z przeszłości: pozostałości trzech kościołów romańskich z bezcennymi romańskimi dziełami sztuki, zaginiona wyspa Regia, na której znajdowało się królewskie palatium, gotycka bazylika kolegiacka, ceglany Dom Długosza, XV-wieczna dzwonnica, grodzisko... Już nawet nie wspominam, że wiślicka świątynia to najstarszy w Polsce kościół dwunawowy, że odkryta w latach 60. Płyta Orantów to jedyny na świecie tego typu obiekt sztuki romańskiej, że odsłonięta w czasie wykopalisk misa chrzcielna przyprowadza o zawrót głowy historyków, gdyż została wykonana – uwaga, uwaga! – sto lat przed chrztem Polski. Kościołowi św. Mikołaja, w którego posępnym ruinach misa się znajduje, bliżej jest do architektury karolińskiej niż romańskiej. W Wiślicy istniały dwa książęce pałace, wciąż czekające na śmiałka, który odkryje ich położenie; podczas rozbicia dzielnicowego miasto to było jednym z większych w Polsce, a książęcy dwór promieniował kulturą na cały kraj. Pieśń o Walterze i Helgundzie – dzieło wiślickich minstrelów – to unikat. Synowie króla Jagiellończyka w tutejszym ośrodku pobierali nauki, a gmach ten (Dom Długosza) do dziś stoi tuż przy bazylice, jakby żywcem przeniesiony z rynku któregoś z wielkich miast. To w Wiślicy odbywały się zjazdy szlachty i wybory królów. We wnętrzu średniowiecznej świątyni znajduje się intrygująca rzeźba – otoczona kultem Madonna Łokietkowa, u której stóp modlił się nie tylko niskorosły król, lecz także św. Jadwiga oraz Jagiełło; twarz gotyckiej Madonny rozpromienia niespotykany uśmiech. Gdyby komuś było mało, przypomnę tylko, że pośród łąk otaczających dawną stolicę Wiślan przycupnięte jest tajemnicze, porośnięte trawą grodzisko – słowiański ośrodek kultu, który daje się namierzyć przy



Nida pod Wiślicą

ośrodek zdrowia, kwiaciarnia, zakład nagrobkowy, warsztat samochodowy, dentysta, fryzjer, bank spółdzielczy, bankomat, straż pożarna, poczta, zakład energetyczny, przedszkole, kościół, dwa stowarzyszenia przyjaciół miasta, urząd gminy, bar, wulkani-

Kto jest spragniony obcowania z najprawdopodobniej największym zagęszczeniem wszelkiej możliwej postaci artefaktów historycznych przypadającym na metr kwadratowy, w Wiślicy na pewno znajdzie ukontentowanie. Tutaj bowiem niepokażność dotyczy wyłącz-

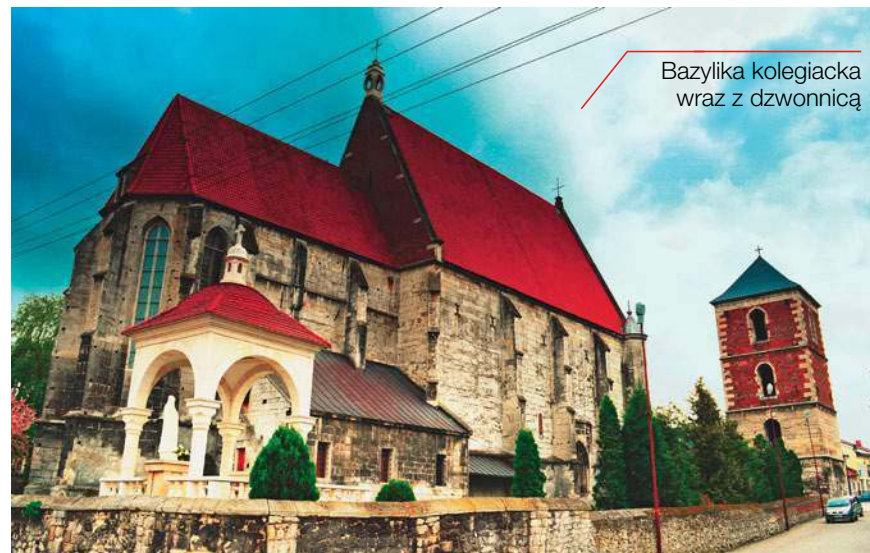
użyciu Google Maps – i nawet takie, zdalne, doświadczanie tego miejsca powoduje nieokreślone ciarki na plecach. Cóż dopiero, gdy naprawdę stoi się na tym wietrznym, porośniętym trawą wyniesieniu, które kiedyś było murem tętniącej życiem osady!

PAŁAC Z ZAGINIONEJ WYSPY

To skrótowne przybliżenie niewielkiej tylko części wiślickich tajemnic ma zachęcić do samodzielnego eksplorowania historii miasta, której skrupulatne opracowanie w tego typu publikacji byłoby zadaniem karkołomnym, z góry skazanym na porażkę. Tym bardziej trzeba się wybrać tam osobiście. Posiedzieć na rynku i nieśpiesznie ogarnąć wzrokiem nienarzucające się pierzeje, tworzące odpowiednią przestrzeń do kontemplacji jakby przeskalowanej gotyckiej grupy: dzwonnicy, Domu Długosza i kolegiaty. W przypadku bazyliki kolegiackiej adekwatna jest parafraza powiedzonka związanego z innym miasteczkiem: „Rzeczy nie są tym, czym się wydają”. Aby zrozumieć, co cytata z „Twin Peaks” ma wspólnego ze średniowiecznym kościołem, warto wstać z ławki i udać się, mijając dzwonnice, wprost do jego podziemi.

Po wyjściu ze stanu osłupienia, w jaki wprawia tajemnica podziemi, warto wnikać w chłodne, tchnące trudną do zdefiniowania pradawnością, wewnątrz stojącego nieopodal budynku, o którym już wspominałem, że spokojnie mógłby stać na rynku w Toruniu czy na jednej z uliczek Hagi. Dom Długosza jest bowiem wielkomiejski w sposób nieprzystawalny z otoczeniem.

Niewiele jest obiektów w Polsce, które pełnią swoją funkcję nieprzerwanie przez wieki (po wyłączeniu z konkurencji kościołów oczywiście). Dom Długosza się do nich zalicza. Ufundowany został w 1460 r. przez królewskiego kronikarza jako dom dla wikariuszy kolegiaty i nadal jest domem dla wikariuszy kolegiaty. Muzeum znajdujące się w jednej części ma pobudzające wyobraźnię eksponaty. Dzięki wizycie dowiedziałem się np.,



Bazylika kolegiacka wraz z dzwonnica

Po wyjściu ze stanu osłupienia, w jaki wprawia tajemnica wiślickich podziemi, warto wnikać w chłodne, tchnące trudną do zdefiniowania pradawnością, wewnątrz Domu Długosza

jak wygląda obecna na kartach Trylogii hetka. Same eksponaty błędną w obliczu zjawiska odkrytego niedawno na ścianach. Wpatrywałem się w nie – aż w końcu ujrzałem samego Długosza. Mogłoby to być objawienie na polu metafizyczne, gdyby nie to, że miało sporo wspólnego z estetyką komiksową. Uderzyło mnie, że klęczący Długosz zilustrowany na zadziwiająco barwnej polichromii sprzed 560 lat, zwraca się do Pana łacińskim tekstem „Boże, zmiłuj się nad nami” umieszczonym w najprawdziwszym dymku.

Wiślica składa się z zaskoczeń i zaskowań. Przed opuszczeniem muzeum począłem niby od niechcenia, niczym czarny charakter z „Pana Samochodzika” – niemiecki poszukiwacz polskich skarbów, wypytując przewod-

niczkę o palatium na tajemniczej wyspie Regi. Nida, jak zostało powiedziane, jest szczęśliwą rzeką i według siebie tylko znanego planu zmienia i kształtuje bieg. Gdzie zatem była wyspa tysiąc lat temu? I to właśnie mi przewodniczka zdradziła największą tajemnicę Wiślicy: książęcych pałaców skrywających bogactwa należy szukać za pocztą! Zanim skorzystałem z tej wskazówki, udałem się innym tropem. Prowadził on na tyły kolegiaty, wprost do łuszczącego się baraku z epoki późnego Gierka. Barak nawet za sto tysięcy lat nie będzie zabytkiem, w przeciwieństwie do tego, co skrywa w swoich czełściach: białe ruiny przemawiające z nieprawdopodobnej głębokości. De profundis. Głębokość dziejów, która odkrywa czasy Wiślan, Cyryla i Metodego, dopowiadając strofy Legendy Panońskiej.

Uparcie nasuwające mi się skojarzenia z Francją w końcu znajdują wyjaśnienie. Przeglądałem w aparacie wiosenne zdjęcia wiślickiego rynku i uświadamiam sobie, że polski gotyk to cegła: gdańska Bazylika Mariacka, Ratusz we Wrocławiu, poznańskie kościoły. Tymczasem świątynia z Wiślicy to gmach z lokalnego, białego kamienia w odcieniu niemal identycznym, jak ten z katedry Beauvais czy Reims, emanujący tym samym kamiennym chłodem.



Pożegnanie z... Europą

Od kilku lat trwa ucieczka mieszkańców Afryki do Europy. A może by tak pójść pod prąd i przenieść się z Europy na Czarny Ląd? Polacy mieszkają w prawie każdym z 54 państw tego kontynentu. Szlaki zostały przetarte. I mam w tym swój udział. Czy więc warto tu, w Afryce, żyć? A jeśli tak, to gdzie i za jaką cenę?

Europa ma mnóstwo kuszących atrakcji, ale nie jest pozbawiona wad. Społeczeństwo się starzeje, ekonomiści straszą kolejnym wielkim kryzysem, z którego nie wydźwigniemy się przez dziesiątki lat, zanieczyszczenie powietrza wielokrotnie przekracza i tak mocno zawyżone normy. Życie jest drogie, a jedzenie nafaszerowane chemią. Afryka, choć nie wszędzie, jest tańsza. To wciąż biedny kontynent, ale kilka państw, jak Etiopia, Ghana, Wybrzeże Kości Słoniowej, Rwanda, Senegal, Kenia czy Uganda należą do najszybciej rozwijających się gospodarek świata. Oczywiście daleko im do nawet najuboższych państw Unii Europejskiej, ale ponad 10-procentowy ubiegłoroczny wzrost PKB Etiopii robi wrażenie. Nigeria i Afryka Południowa to rynki od lat konkurujące ze światowymi potęgami. Żaden kontynent nie został równie szczerze obdarzony



TADEUSZ BRZÓZOWSKI

bogactwami naturalnymi. Ropa, gaz, diamenty, złoto, platyna, kobalt, można wymienić całą tablicę Mendelegiewa. Klimat także przemawia za Afryką, bo co najmniej nie trzeba się martwić zimą o odzież czy ogrzewaniem domu, a są takie miejsca, gdzie ciepła woda jest za darmo, bo słońce cały rok zasila baterie.

Z podjęciem decyzji emigracji do Afryki trzeba się jednak śpieszyć, bo, choć taka wielka, jest tu coraz ciśniej. Gdybym chciał zostać farmerem, miałbym już znikome szanse na zakup ziemi. Chińczycy wykupują każdy nadający się

pod uprawę skrawek. W Zambii wykupili 2 mln ha, na których uprawiają jatrofę, przypominającą winny krzew roślinę przeznaczoną do produkcji biopaliw. W sąsiedniej Demokratycznej Republice Konga są właścicielami niemal 3 mln ha ziemi, w Tanzanii na 300 tys. ha uprawiają ryż. Ale głodni afrykańskiej ziemi są nie tylko Chińczycy, Szwedzi wykupili w Mozambiku ponad 100 tys. ha ziemi, w Tanzanii obok Chińczyków wielkimi posiadaczami gruntów uprawnych są też Anglicy i królewska rodzina Saudów.

MÓJ PIERWSZY WYBÓR: ZAMBIA

Ludzie są tu wyjątkowo życzliwi i pogodni, to chyba efekt braku krwawych wojen, przewrótów czy rewolucji. Nawet czasy kolonialne nie były w Zambii tak brutalne jak w sąsiednim Zimbabwie, które nadal ma olbrzymi potencjał,

by stać się kwitnącym krajem. Niebo w Zambii jest niemal zawsze błękitne, przestrzenie są bezkresne. Busz wciąż daje schronienie wielu dzikim zwierzętom.

Lusaka należy do najtańszych stolic afrykańskich. Ale kupić nawet małego domku już bym tu nie mógł. Wprowadzone niedawno prawo zakazuje cudzoziemcom nabywania nieruchomości, chyba że robią to na firmę, ale 75 proc. udziałów musi mieć w niej Zambijczyk. Niestety, zdarzały się przypadki, że większościowy zambijski udziałowiec zostawał na lodzie mniejszościowego, który w całości finansował inwestycję. Mogę się tylko domyślić, jak przy tak restrykcyjnym prawie Chińczykom udaje się wciąż nabywać nowe grunty. Cóż, Zambia niemal całkowicie została przejęta przez Chiny. Przed dziesięcioma laty obligacje zambijskie były atrakcyjniejsze np. od hiszpańskich i cieszyły się sporym popytem, teraz dług Zambii sięgnął 70 proc. PKB i od ich obligacji każdy trzyma się z daleka. Łatwe kredyty przyznawane przez Chiny wpędziły kraj w trudną sytuację, choć trzeba uczciwie dostrzec mnóstwo chińskich inwestycji, szkół, szpitali, dróg, fabryk. Rząd, szukając pieniędzy, obłożył podatkiem niemal każdą aktywność, najwięcej cierpią kierowcy karani mandatami za prawdziwe czy wymaginowane przewinienia.

Posiadanie własnego domu nie jest obowiązkiem, bo można oczywiście mieszkać w Zambii, nie mając własnej nieruchomości. Ale te wynajmowane pozostawiają wiele do życzenia. W moim domu, w nie najgorszej dzielnicy w Lusace, przez zamknięte okno



przedstawiało się niemal każde stworzenie mieszkające w ogrodzie. Odwiedzały mnie węże, ptaki, jaszczurki, karaluchy, raz cienką metalową ramkę osadzoną w blaszanej futrynie próbowała sforsować małpa.

Jakość usług związanych z wynajmem mieszkań dobrze ilustruje historia mojej sąsiadki Marion, której zepsuła się toaleta. Jako samotna, zapracowana matka nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z niedziałającą spłuczką. Napisała maila do właściciela domu, którym była wielka firma ubezpieczeniowa. Po miesiącu wynajmujący zlitował się i przysłał specjalistów, którzy mieli rozwiązać problem. Wielkim terenowym samochodem przyjechało dwóch ubranych w białe uniformy Zambijczyków. Wyglądali jak chirurdzy, którzy mają rozpocząć poważną operację. Starszy powiedział, że jest menedżerem i przyjechał z asystentem zdiagnozować problem. Obaj weszli do toalety, popatrzyli na spłuczkę, wymienili między sobą kilka uwag w lokalnym bemba, młod-

szy zapisał coś w notatniku i oznajmili, że sprawa jest poważna i muszę wezwać eksperta. Korespondencja Marion z właścicielem zabrała kolejny miesiąc, po którym pojawił się, również w nienagannej bieli, technik. Spojrzał na spłuczkę, wyjął z kieszeni kuchenny nóż i obwieścił, że spłuczki nie naprawi, bo potrzebuje specjalistycznych narzędzi. Następnego dnia Marion kupiła spłuczkę, a ja założyłem ją, posiłkując się internetowymi poradami.

– Zambia, a generalnie Afryka, może być niezłym miejscem do życia, prowadzenia biznesu, pod warunkiem że masz pieniądze, nie boisz się wyzwań ani brudnej gry, braku organizacji pracy i przede wszystkim braku wykwalifikowanej i uczciwej siły roboczej – mówi Adam, który od sześciu lat pracuje w Lusace dla międzynarodowej instytucji.

Zambia, przy całej swej atrakcyjności, ma jeden poważny minus – nie ma dostępu do morza, choć nie brakuje jej rzek ani wielkich jezior. Jednak dostępu do całkiem licznych plaż skutecznie strzegą tabliczki z napisem „Uwaga, krokodyl”.

TO MOŻE NAMIBIA?

Trudno znaleźć drugi tak piękny kraj. Jest tam i ocean, i dwie pustynie, jedna z prastarymi, naskalnymi malunkami, jest też wielki busz z lwami, słoniami i żyrafami. W nocy można oglądać miliony gwiazd. Widok niedostępny z żadnego miejsca w Europie. Na płaskim jak stół pustynnym szczycie góry Gamsberg wybudowano nawet obserwatorium astronomiczne. To także jedno z bezpieczniejszych miejsc w Afryce.



Stąd wysyłane są w świat doskonałe wina, ryby i ostrygi.

Jest też coś, co mnie zainteresowało. Namibia ma otwarty i przejrzysty rynek nieruchomości. Ma też jeden z najwyższych w Afryce wskaźników PKB na mieszkańca. Niestety, z powodu skrajnie nierównego podziału tego dochodu (5 proc. najbogatszych Namibijczyków, kontroluje 70 proc. PKB), połowie ludności żyje się, mówiąc delikatnie, ciężko. Od dwóch lat zakup nieruchomości w Namibii jest ułatwiony, bo nie trzeba wpłacać depozytu. Dopiero przy zakupie drugiej nieruchomości trzeba zdeponować w banku 20 proc. jej wartości, przy trzeciej 30 proc. i tak dalej. Wprowadzenie takiego systemu oznacza, że jest mnóstwo kupujących, a to w ubiegłym roku przełożyło się na wzrost cen. Rynek był tak przegrzany, że od kilku miesięcy ceny spadają. Za metr kwadratowy mieszkania w centrum stolicy trzeba zapłacić około 3 tys. zł, za połowę tej kwoty można przez miesiąc wynajmować w Windhuk niewielkie mieszkanie. Ceny podbijają niemieccy inwestorzy, którzy w Namibii czują się jak w domu.

Nic dziwnego, w Swakopmundzie, jednym z najpiękniejszych afrykańskich miasteczek, jedna z centralnych ulic to Kaiser Strasse, w kioskach można kupić „Allgemeine Zeitung”, a w miejscowych szkołach rozbrzmiewa język niemiecki. Od 1884 r. do końca I wojny światowej Namibia była niemiecką kolonią, gdzie jednym z gubernatorów był Heinrich Göring, ojciec nazistowskiego zbrod-



niarza. Niemcy pozostawili po sobie nie tylko nazwy ulic, lecz też dziesiątki tysięcy pomordowanych członków ludów Herero i Nama. Dzisiaj mieszka w Namibii około 40 tys. Niemców, część to potomkowie dawnych kolonistów, większość jednak przybyła po 1990 r. głównie z byłej NRD. Prowadzą restauracje, kawiarnie, hotele, a Namibijczycy traktują ich z dużą życzliwością, choć oficjalnie rząd od kilku lat żąda od kanclerz Angeli Merkel 30 mld euro odszkodowania za horror z czasów kolonialnych.

– Dobrze znamy swoją historię, ale przez lata zabiłoby się wiele ran, pozostała jednak sprawa rekompensaty i ona zostanie ostatecznie załatwiona, bo Niemcy nie zaprzeczają, że ich przodkowie dokonali na naszych ludobójstwa. Są tu mile widziani, bo są dobrymi inwestorami – wyjaśniła mi Grace, która w czasie mojej wizyty w Namibii pracowała dla prezydenta Hage Geingoba.

MAURITIUS: CZY TO NAPRAWDĘ RAJ?

Sprzedali wszystko, co mieli w Polsce, i zdecydowali się zamieszkać w tropikach. Łukasz założył szkółkę tenisa, Magda robi zdjęcia młodym parom, które przylatują tu spędzić miesiąc miodowy, sporo mieszkających tu Polaków prowadzi małe firmy turystyczne. Wszyscy wybrali życie na afrykańskim Mauritiusie, wyspie na Oceanie Indyjskim.

Rząd uruchomił niedawno program, który pozwala cudzoziemcom na posiadanie nieruchomości, ale pod pewnymi warunkami.

Dom musi być oddalony od brzegu oceanu o co najmniej 100 m i mieć minimum trzy kondygnacje, a działka nie może przekraczać 5276 m². Rzecz jasna jest to dobra oferta dla ludzi, którzy mają przynajmniej kilkaset tysięcy dolarów. Każda inwestycja w nieruchomość, w ramach rządowego programu, wiąże się z przyznaniem prawa do pobytu właścicielowi i jego rodzinie. Korzystają z tego biali „uciekinierzy” z RPA i Rosjanie.

Ci drudzy zaczynają grymasić, bo wolnych domów blisko plaż już nie ma na rynku, a mieszkanie wśród pól trzciny cukrowej ich nie interesuje. Ale wciąż przenoszą tu swoje majątki, bo tutejsza gospodarka, choć rozwija się w umiarkowanym tempie, jest niezwykle przychylna biznesowi i – co jest tajemnicą poliszynela – przymyka oczy na pranie brudnych pieniędzy. Niskie stawki podatkowe przyciągają bogaczy. Płaci się tu tylko jeden 15-procentowy podatek, nie ma opłat od zysków czy spadków. Nic dziwnego, że od 2006 r. przeniosło się tutaj niemal 300 południowoafrykańskich milionerów, którzy nie czują się bezpiecznie w swojej ojczyźnie. Dzisiaj na małym Mauritiusie żyje niemal 4 tys. milionerów i wciąż ich przybywa.

Każdy, kto tu nie był, mówi, że to raj. Po tygodniu, jeśli nie jest się plażowym turystą, okazuje się, że to raj mocno przereklamowany. Z perspektywy hotelu nie widać dyskryminacji Kreoli, fatalnej pozycji społecznej kobiet, narkomanii, niewyobraźalnych korków, hałasu, wszechobecnego szczeru, degradacji środowiska naturalnego, zaniku rafy koralowej czy wylewania ścieków wprost do oceanu. Słońca i plaż wciąż tu nie brakuje, choć te drugie pochłoną wody już za 20, 30 lat.



Polacy przylatują tu coraz chętniej i częściej. W ubiegłym roku było ich 6 tys., a pewnie przyleciałoby więcej, gdyby nie szalejący w środku sezonu cyklon, który jest utrapieniem wschodnich afrykańskich wybrzeży.

Mauritius jest pełen paradoksów. Turyści nie chcieliby stąd wyjeżdżać, a miejscowi robią wszystko, by uciec z wyspy jak najdalej. Trudno znaleźć rodzinę, która nie wyprawiłaby choć jednego bliskiego do Kanady czy Australii. – Tutaj nie ma przyszłości. Pięć rodzin rządzi całą wyspą, przekazując stanowiska swym dzieciom – mówi moja sąsiadka, której jedna córka jest już u rodziny w Montrealu, druga dołączy do siostry, gdy tylko skończy szkołę.

BYĆ PODDANYM KRÓLA

Z Mauritiusu wróćmy na Czarny Łąd i szukajmy dalej. – Suazi – podpowiada mi Shaun, który wyemigrował z RPA i twierdzi, że nie chce mieć nic wspólnego ze swoją ojczyzną. – Za niecałe 100 tys. dolarów kupiłem w Suazi farmę od króla, bo wszystko tam należy do niego. Jeśli lubisz łowić ryby, nie boisz się hien odpoczywających na drodze do twojego sąsiada, nie ma lepszego miejsca do życia – zachwala Shaun.

Nie łowię ryb, a Shaun mnie nie przekonał, bo sam wciąż mieszka na Mauritiusie, a swoją farmę traktuje jako inwestycję i chyba nigdy jej nie widział, bo kupił ją przez agenta. Przyznaję, że Suazi, od roku właściwie Eswatini, kraj położony w południowej Afryce, jest pięknym miejscem. Ale też nudnym: oglądanie lwów i słoni jest wspaniałe, ale tak do końca życia? A król, od którego wszystko zależy, może pewnego dnia mieć zły humor i odebrać obcym swoją ziemię.



TOGO: MAGIA I MEGALUMPEKS

Kiedyś mój przyjaciel Gilles, który spędził większość życia w krajach Zatoki Gwinejskiej, powiedział, że prawdziwa Afryka mówi po francusku i jest na zachodzie kontynentu. Polecał Wybrzeże Kości Słoniowej i zwłaszcza Togo, niewielki pasek lądu między Ghaną a Beninem. Zapamiętałem z tego kraju piękne plaże, jakich nie ma nawet na Mauritiusie, potężne prądy morskie – Miejscowe dzieciaki, żeby zrobić wrażenie na turystach, wrzucają do oceanu butelki plastikowe, które oddalają się od brzegu z prędkością motorówki. Mnóstwo tu lagun, bo Togo to w miejscowym języku oznacza laguny właśnie. Jeśli ktoś lubi magię, na słynnym targu Akodessewa Voodoo znajdzie wszystko, co potrzebne, by uciszyć wroga lub skierować na siebie uczucie wybranej osoby, tak przynajmniej reklamowane są tam sprzedawane gadżety. Togo mogłoby być dobrym wyborem, bo oprócz ciepłego morza ma sawannę i całkiem spory kawałek dżungli, a w niej słynne ufortyfikowane, gliniane domy, które uwielbiają oglądać turyści.

Wynajęcie mieszkania w stołecznym Lomé to jednak spory wydatek, ceny dwupokojowego zaczynają się od 2 tys. zł za miesiąc. W tym, w którym krótko mieszkalem, ciągle wybijało korki i zwykle nie było ciepłej wody. Ale jedzenie w Togo jest tanie, cena obiadu w nie-

drogiej restauracji nie powinna przekraczać 20 zł.

W Togo byłem na przełomie sierpnia i września 2017 r. Gdzieś na północ od Lomé, nieopodal granicy z Ghaną, zatrzymało mnie dwóch żołnierzy, jeden przeglądał dokumenty, drugi mierzył we mnie z łuku. Nie miałem pojęcia, że w Lomé wybuchły w tym czasie zamieszki. Ludzie wyszli na ulice, bo mieli dość rodziny Gnassingbé rządzącej krajem od ponad 50 lat. Dwa lata wcześniej na szczycie Afryki Zachodniej prezydenci Togo i Gambii jako jedyni nie zgodzili się na wprowadzenie limitów prezydenckich kadencji. Żołnierz mnie oszczędził, przykazał tylko, bym nie robił żadnych zdjęć i wracał do miasta.

W Lomé widziałem olbrzymi targ z używaną odzieżą i obuwiem z USA i Europy. Zaopatrują się tu z mieszkańcy Nigerii, Ghany, Kamerunu, Wybrzeża Kości Słoniowej, z całej chyba Afryki Zachodniej. Wyjątkiem jest Rwanda, która wprowadziła zakaz sprowadzania takiego towaru, narażając się tym samym na amerykańskie sankcje gospodarcze.

– Dzięki temu każdego w Afryce stać na markowe spodnie i koszule – usłyszałem w czasie jakiejś kawiarnianej rozmowy. Te markowe spodnie to stare szmaty, które dawno powinny być zutylizowane. Eksporterzy z Zachodu robią wielki biznes, szkoda tylko, że kosztem upadku lokalnej wytwórczości, z której słynęły niegdyś np. Ghana czy Nigeria.

To jeszcze nie koniec

Nie o to mi chodzi, szukam dalej. Po zostało jeszcze sporo miejsc, bo Afryka jest ogromna, pokazały mi to kiedyś dzieci w jednej ze szkół w Zimbabwie. Na ścianie wisiała ich praca – mapa Afryki pokryta wycinanką Chin, Stanów Zjednoczonych, Indii i kilku mniejszych państw europejskich. Wielką Brytanię z dużym luzem umieścili na Madagaskarze.



Who are you, Mister Zelenski?



GRZEGORZ GÓRNY

Jeszcze niedawno wszystko wydawało się oczywiste. Wybór prezydenta Ukrainy miał się rozstrzygnąć między dwoma gigantami tamtejszej sceny politycznej, z którymi nikt nie mógł rywalizować: Petro Poroszenką i Julią Tymoszenko. W ostatniej chwili do gry wkroczył jednak kandydat, który dosłownie zdemolował wszystkich. Pod koniec zeszłego roku w europejskich stolicach nie słyszał o nim nikt. Od miesiąca analitycy i eksperci ds. polityki międzynarodowej gorączkowo szukają wszelkich informacji na jego temat, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie: Who are you, Mister Zelenski?

POSTSOWIECKI CELEBRYTA

Wołodimir Zelenski urodził się w 1978 r. w rodzinie zasymilowanych Żydów rosyjskojęzycznych w Krzymym Rogu na Ukrainie. W dzieciństwie przez cztery lata mieszkał w Mongolii, gdzie jego ojciec, profesor cybernetyki, przebywał na kontrakcie. Jako nastolatek otrzymał stypendium na naukę w Izraelu, lecz rodzice nie zgodzili się na wyjazd syna za granicę. Skończył studia prawnicze w Kijowie, ale w wyuczonym zawodzie nigdy nie pracował.

Jeszcze w czasach studenckich pochłonęła go działalność aktorska, taneczna i kabaretowa, najpierw na amatorskim, a później na profesjonalnym poziomie. Jego marzeniem były występy w „KWN”. Kto nie wie, co oznacza ten skrót, ten nie ma pojęcia o historii

humoru w Związku Sowieckim. Żeby zrozumieć ów fenomen, należy się cofnąć do roku 1961, gdy w państwowej telewizji zaczęto nadawać audycję o nazwie „KWN” (Klub Wesołych i Zaradnych). Był to teleturniej, w którym startowały kabarety z całego kraju, rywalizując między sobą w różnych konkurencjach. Program cieszył się niebywałą popularnością, ale szybko znalazł się na celowniku władz. Najśmieszniejsze skecze i dowcipy odnosiły się bowiem do codziennej rzeczywistości Kraju Rad. Coraz częściej ingerowała w nie cenzura, aż w końcu w 1972 r. audycja została zdjęta z anteny.

Odrodziła się na fali pieriestrojki w 1986 r. i od razu zdobyła wielomilionową widownię. Kabaretów chętnych do występowania było tak dużo, że stworzono nawet rozgrywki na różnych poziomach ligowych. Program przetrwał nawet rozpad ZSRS. Dalej istniała bowiem rosyjskojęzyczna przestrzeń informacyjna, obejmująca byłe republiki postsowieckie. Jeden z jej elementów stanowił także „KWN”, którego kolejne odcinki były wyczekiwane zarówno w Moskwie, jak i w Kijowie, Wilnie, Kiszyniowie, Tbilisi, Baku czy Taszkencie. Z dowcipów opowiadanych w tym paśmie zaśmiewano się później od Tallina do Władywostoku. W latach 1999–2003 jedną z najlepszych grup kabaretowych w pierwszej lidze „KWN” stał się Kwartał 95, którego liderem i autorem większości skeczy był właśnie Wołodimir Zelenski. Zdobył wówczas dużą popularność, odbywając ze swą grupą tournée po krajach byłego ZSRS.

W 2003 r. ekipa na stałe zakotwiczyła w stacji 1+1, należącej do oligarchy Ihora Kołomojskiego. Zelenski stworzył tam „Wieczorny kwartał” – jeden z najchętniej oglądanych programów rozrywkowych w historii ukraińskiej telewizji. Był jego producentem, reżyserem i głównym

*Nowy prezydent
zapowiada, że chce
radykałnie odmienić
ukraińską politykę.
Być może jednak
chodzi o to, by „zmienić
wszystko tak, aby nic
się nie zmieniło”*

aktorem. Poza tym wygrał pierwszą edycję „Tańca z gwiazdami”, prowadził własny show kulinarny „Mister Cook”, grał w romantycznych komediach typu „Miłość w wielkim mieście” lub „Osiem pierwszych randek”. Stał się celebrytą, o którym rozpisywały się magazyny i portale plotkarskie.

W latach 2010–2012 dwukrotnie został producentem generalnym stacji telewizyjnej Inter, należącej do innego oligarchy Dmytro Firtasza. Ostatecznie jednak Kołomojski przebił ofertę konkurenta i zaproponował Zelenskiemu lepsze warunki u siebie. 16 listopada 2015 r. na antenie 1+1 wyemitowany został pierwszy odcinek serialu, który stał się katapultą do politycznej kariery kapitana „Kwartala 95”.

SAMOTNY SZERYF

„Sługa narodu” to opowieść o nauczycielu historii Wasylu Hołobrodce z Kijowa, który został potajemnie nagrany



borach na prezydenta Ukrainy. Rok później jego prawnik Iwan Bakanow zarejestrował partię o nazwie Sługa Narodu. Po raz pierwszy nazwisko komika w rankingach politycznych zaistniało w kwietniu 2018 r. Wówczas od 4 do 6 proc. respondentów zadeklarowało, że gotowych byłoby oddać na niego swój głos. Nie traktowano tej kandydatury poważnie, lecz raczej w kategoriach happeningu. Kolejne sondaże przynosiły jednak coraz lepsze rezultaty, aż w końcu w sylwestrową noc Zelenski ogłosił, że wystartuje w wyborach.

Jego trzymiesięczna kampania okazała się Blitzkriegiem, w którym zmiażdżył wszystkich konkurentów. Zastosował w niej ten sam mechanizm, który wykorzystał wcześniej w scenariuszu komedii. Wcielił się w postać swego bohatera Wasyla Hołobrodki – samotnego szeryfa, jedynego sprawiedliwego wśród skorumpowanej bandy polityków. Ukraińcy, którzy polubili uczciwego i bezkompromisowego nauczyciela historii, postanowili dać kredyt zaufania odtwórcy głównej roli.

ANTYPOLITYK

Wołodymyr Zelenski nie dał się poznać wcześniej jako polityk. Właściwie niewiele wiemy o jego poglądach. Nie wiadomo, co myśli o polityce zagranicznej, gospodarczej, finansowej, społecznej, historycznej itd. To, co w innych krajach stanowiłoby problem, na Ukrainie okazało się atutem. W odróżnieniu od Europy Zachodniej nie ma tam bowiem klasycznych partii lewicowych lub prawicowych, liberalnych lub konserwatywnych. Ugrupowania powstają nie wokół idei politycznej, lecz wokół konkretnych postaci. Tak jest np. z blokami skupionymi wokół Petro Poroszenki czy Julii Tymoszenko. Ludzie nie głosują na programy, które niewiele się od siebie różnią, lecz na silne osobowości. W tym kontekście Zelenski jest postacią rozpoznawalną i na tle ukraińskich polityków kojarzoną pozytywnie.

Jego „programowa bezprogramowość” zyskała mu w kampanii wielu zwolenników. Poparli go zarówno orędownicy wolnego rynku, jak i etatyzmu państwowego, stronnicy zbliżenia

kamerą, gdy z pasją i złością krytykował władzę państwa. Film z nagraniem zamieszczono na YouTube, gdzie w krótkim czasie zyskał wielką popularność. Uczniowie ze szkoły zorganizowali crowdfunding, by zebrać pieniądze na kampanię wyborczą swego nauczyciela. Niespodziewanie dla wszystkich historyk – wbrew wszechmocnej koalicji oligarchów i biurokratów – został wybrany na prezydenta Ukrainy. W ten sposób głową państwa stał się „jeden z nas” – prosty, uczciwy człowiek z zasadami, w odróżnieniu od całej skorumpowanej klasy politycznej.

Tytułowy bohater grany przez Zelenskiego odrzucił proponowane mu luksusy, żyjąc nadal w tym samym skromnym mieszkaniu razem z rodzicami i starszą siostrą, do pracy zaś dojeżdżając rowerem lub środkami komunikacji miejskiej. Jego nieprzystosowanie do politycznych gier stało się źródłem wielu zabawnych sytuacji, obnażających hipokryzję tamtejszych

elit władzy. Często ostrze morderczej krytyki wymierzone było w stronę obozu rządzącego, uosabianego przez prezydenta Poroszenkę.

Komedia szybko stała się najbardziej dochodowym serialem w historii ukraińskiej kinematografii. Na antenie 1+1 obejrzało ją 20 mln widzów, a w internecie – 100 mln. Film pokazały stacje państwowe w Estonii i Kazachstanie, prawa do niego kupił Netflix, u nas zaś wyemitowała go Telewizja w Polsce.pl.

Część środowisk patriotycznych nad Dnieprem skrytykowała serial jako przejaw „językowej schizofrenii”, a nawet ukraińofobii, ponieważ jego bohaterowie mówią najczęściej po rosyjsku, rzadziej zaś po ukraińsku lub tzw. surżykiem, czyli mieszaniną obu języków. Większość widzów widziała w tym jednak odzwierciedlenie rzeczywistości oraz niewyczerpane źródło humoru sytuacyjnego.

Pod koniec 2016 r. pojawiły się głosy, że Zelenski mógłby wystartować w wy-

Fot. Reuters/News/Shutterstock.com

z Rosją i zażarci przeciwnicy Moskwy, obyczajowi konserwatyści i postępowi liberałowie. Przy czym każdy z nich był przekonany, że Zelenski reprezentuje jego poglądy, on zaś nie wyprowadzał nikogo z błędu, unikając jak ognia jednoznacznych deklaracji programowych.

Jego doskonały rezultat wyborczy stał się szokiem dla opiniotwórczych elit patriotycznych. Pojawiły się głosy o zdziecinieniu i infantylnym narodu ukraińskiego oraz o realnej możliwości utraty tego, co udało się osiągnąć w ciągu ostatnich pięciu lat po wyrwaniu się z rosyjskiej strefy wpływów. Znany pisarz Jurij Andruchowycz stwierdził wprost, że Sługa Narodu jest Partią Regionów Wiktora Janukowycza tylko w wersji soft.

Sztab prezydenta przed drugą turą wyborów zorganizował z kolei akcję billboardową przedstawiającą ostateczny bój jako pojedynek między Petro Poroszenką a Władimirem Putinem, dając do zrozumienia, że Zelenski jest jedynie marionetką Kremla.

Wydaje się jednak, że jeśli ktoś miałby stać za plecami popularnego komika, to raczej jego biznesowy partner – Ihor Kołomojski – który nie jest bynajmniej człowiekiem Moskwy. Zdaniem ukraińskich dziennikarzy to właśnie on zainwestował duże pieniądze w kampanię wyborczą swego przyjaciela, nieposiadającego przecież ani olbrzymiego majątku, ani własnego zaplecza politycznego.

CIEŃ OLIGARCHY

Kołomojski jest nie tylko jednym z najbogatszych ludzi na Ukrainie, lecz także obywatelem Izraela i przewodniczącym Zjednoczonej Wspólnoty Żydowskiej – najważniejszej organizacji tej mniejszości narodowej w kraju naszych wschodnich sąsiadów. W 2012 r. wybudował w Dniepropietrowsku (dziś Dni-pro) Centrum „Menora” – największy na świecie ośrodek kultury żydowskiej,

Wołodimir Zelenski na planie serialu „Sługa narodu” emitowanego na antenie wPolsce.pl



Zelenskiego poparli zarówno orędownicy wolnego rynku, jak i etatyzmu państwowego, stronnicy zbliżenia z Rosją i zażarci przeciwnicy Moskwy, obyczajowi konserwatyści i postępowi liberałowie

mieszczący się na 50 tys. mkw. i liczący 20 pięter.

Kołomojski jako jeden z pierwszych ukraińskich oligarchów po zwycięstwie rewolucji na Majdanie poparł nowe władze w Kijowie. Gdy wybuchła wojna, mianowany został gubernatorem dniepropietrowskim. Szybko podporządkował sobie siły porządkowe w obwodzie, nie dopuszczając do starć ulicznych czy prowokacji ze strony Moskwy. Choć mieszkano tam wielu Rosjan, nie dopuścił do zamieszek i ofiar w ludziach. Już na początku swego urzędowania wyznaczył nagrodę 10 tys. dol. za każdego schwytanego w mieście prorosyjskiego separatystę (0,5 mln dol. obiecał zaś za złapanie Olega Cariowa – deputowanego Partii Regionów z Dniepropietrowska, nawołującego do rozbioru

Ukrainy). To spowodowało, że na ulice nie wyszedł tam ani jeden sympatyk Putina. Oligarcha finansował też nacjonalistyczny Prawy Sektor oraz tworzył bataliony Gwardii Narodowej, które brały udział w walkach z Rosjanami w Donbasie.

Zdaniem kijowskiego politologa Wasilija Stojakina zachowanie Kołomojskiego nie wynikało z jego patriotyzmu, lecz z biznesowej kalkulacji. Oligarchowie na Ukrainie wiążą bowiem pomyślność swego interesu z niezależnością od Moskwy. Wiedzą, że pod panowaniem Putina mogliby powtórzyć los Chodorkowskiego, Bierzowskiego czy Gusinskiego i stracić swój majątek, a nawet życie. Dlatego nie chcą dopuścić, by nad Dnieprem zapanował model władzy „siłowników” z FSB.

Początkowo Kołomojski zgodnie współpracował z Poroszenką, jednak z czasem wypadł z łask obozu rządowego, poróżnił się z prezydentem, stracił intratne kontrakty i dziś sądzi się z państwem ukraińskim na olbrzymie sumy pieniędzy. Występując pod własnym nazwiskiem, nie miałby szans na wzmocnienie swych wpływów politycznych ani odniesienie wyborczego sukcesu,

ale wysuwając i wspierając zaufanego człowieka – jak najbardziej. Oczywiście zarówno Kołomojski, jak i Zelenski zgodnie zaprzeczają, by współpracowali z sobą w trakcie kampanii, jednak dziennikarze i tak wiedzą swoje.

W wywiadzie dla portalu Ukraińska Prawda lider partii Sługa Narodu powiedział: „Nasza główna misja to wprowadzenie do polityki naszego państwa absolutnie nowych, świeżych, porządných ludzi, którym nie jest wszystko jedno”. Wiele wskazuje jednak na to, że efekty ostatnich wyborów będzie można streścić w zdaniu: „Zmienić wszystko tak, aby nic się nie zmieniło”. Pod hasłem zastąpienia obecnych elit dojdzie więc do wzmocnienia oligarchicznego układu, tylko w zmienionej konfiguracji.



Sztuczna inteligencja w twojej kieszeni

29 sierpnia 1997 r. miał być ważną datą w historii ludzkości, ale w rzeczywistości był to spokojny dzień. Tego dnia wg filmu „Terminator” sztuczna inteligencja miała doprowadzić do upadku ludzkości. Tymczasem ponad 20 lat później ludzkość ma się lepiej niż kiedykolwiek, a sztuczna inteligencja to pojęcie dalekie od maszyn z filmów science fiction. To nasz najlepszy towarzysz przy... robieniu selfie

Sztuczna inteligencja głównie przez zakorzenienie w popkulturze kojarzy się właśnie z robotami. Tymczasem większość codziennych czynności wykonywanych obecnie przez nasze telefony czy komputery bardzo mocno bazuje na tej technologii. Nowa rewolucja przemysłowa, która zamiast na maszynach parowych bazować będzie na sieci 5G, nie może zaistnieć bez niej. To, że YouTube pamięta, jakie filmy oglądaliśmy w przeszłości, i umie zasugerować, co może nas zainteresować dzisiaj, to wynik stosowania przez serwis algorytmów opierających się na sztucznej inteligencji. Ta, analizując nasze dane oraz innych użytkowników, uczy się ludzkich gustów i dobiera preferencje lepiej niż niejeden ludzki doradca.

Świetnym przykładem wykorzystania SI są najnowsze telefony chińskiego giganta Huawei. Smartfony linii P30 pozwalają wykonać fotografie nocne, zawierające więcej szczegółów niż dostrzega ludzkie oko. Inteligentnie dobierają parametry i obrabiają zdjęcie, identyfikując sfotografowane obiekty. SI wykorzystywane jest również do optymalizacji pracy baterii i całego telefonu.

To proste zastosowanie sztucznej inteligencji w naszej kieszeni. Bardziej zaawansowane funkcje mogą objąć skalę makro – wymaga to jednak więk-

szej mocy obliczeniowej, która może się stać powszechnie dostępna dzięki technologii 5G. Nowa generacja sieci mobilnych pozwoli na analizę większej ilości danych szybciej i z każdego miejsca. Oznacza to rewolucję w przemyśle i usługach. W tym przypadku złowieszcze wizje science fiction okazały się całkowicie błędne, dzięki sztucznej inteligencji możliwe będzie ratowanie życia ludzkiego. Już teraz Huawei współpracuje z firmami medycznymi i opracowuje narzędzia diagnostyczne, których zakres ekspertyzy wykracza ponad wiedzę i doświadczenie lekarzy. Zbiór wiedzy z książek, artykułów naukowych i kursów radiologii został zebrany w jednym nowoczesnym rozwiązaniu, które pozwala na wykrycie pojedynczej komórki nowotworowej w organizmie pacjenta. Co najważniejsze, ta technologia może być łatwo skalowana do dowolnej liczby pacjentów i stać się powszechnie dostępna, dając masom dostęp do zaawansowanej diagnostyki. Zdjęcia rentgenowskie analizowane są na podstawie olbrzymiej bazy danych i pozwalają wykryć nowotwór szybciej niż w przypadku tradycyjnych metod.

Do pracy nad sztuczną inteligencją Huawei powołał specjalne Laboratorium Noah. Oprócz opracowywania technologii codziennych, wykorzystywanych w smartfonach, jego celem

jest znalezienie jak największej liczby zastosowań SI w przyszłości. Sam chiński gigant korzysta z tej technologii w zarządzaniu firmą – poprzez optymalizację produkcji i procesów wewnętrznych. Wkrótce moc obliczeniowa i inteligentne maszyny mogą być dostępne dla wszystkich przedsiębiorstw, w ten sposób inicjując nową rewolucję przemysłową.

Oczywiście z zaufaniem SI wiązać się pewnie niebezpieczeństwa. Po raz kolejny fantasty nie mają za bardzo racji co do kierunku, w którym prowadzi nas przyszłość. Prawdziwe obawy nie powinny być związane z filozoficznym nadaniem maszynom świadomości – ta wizja raczej nas nie czeka – ale w powierzeniu decyzyjności inteligentnym algorytmom i próbie ingerencji w ich działanie przez osoby trzecie. Problemy, które mogą płynąć z rozwoju technologii SI, są zbliżone do tych znanych z innych przełomowych wynalazków – pozostaje pytanie o to, jak wykorzystają je ludzie. Rozwiązaniem jest otwartość dostawców technologii i powszechny dialog pomiędzy ekspertami, firmami i władzami państw w celu ustalenia norm funkcjonowania technologii. Obawy przed nowym nie mogą przyćmić korzyści, które przyniesie rozwój gospodarki opartej na sztucznej inteligencji.



Grand Prix Chin, które odbyło się w połowie kwietnia, było tysięcznym wyścigiem w historii Formuły 1. Rok 2019 zamyka siódmą dekadę istnienia tej szalonej dyscypliny sportu. Dyscypliny najszybszej, najdroższej, najbardziej elitarnej i najbardziej niebezpiecznej

Niebezpieczna formuła

Wszystko zaczęło się zaraz po II wojnie światowej. Kolebką F1 były Włochy, pierwszych pięć tytułów zgarnęli kierowcy we włoskich bolidach (czterech Włochów i Argentyńczyk). Włosi z Ferrari są także jedyną ekipą, która wystartowała dotąd we wszystkich sezonach, ale pierwszy wyścig mistrzostw świata odbył się w Wielkiej Brytanii na torze Silverstone (13 maja 1950). Zawody obserwowali osobiście król Jerzy VI i królowa Elżbieta.

Potężne konstrukcje z silnikami z przodu już wtedy były bardzo szybkie, ale nie miały żadnych zabezpieczeń (nie było kasków ani pasów bezpieczeństwa). W każdym wyścigu ryzyko utraty życia było nieprawdopodobnie wysokie. Scigali się kierowcy, którzy odznaczeni byli niesłychaną wręcz odwagą. Dopiero w 1958 r. silniki zaczęto umieszczać z tyłu pojazdu, co uznawane jest za przełom. W latach 60. rozwój technologiczny postępował jeszcze bardziej dynamicznie, stworzono pierwszy bolid skonstruowany z kompozytów, miał on aerodynamiczne, zbliżone do współczesnych kształty, powstała klasyfikacja konstruktorów. Był to czas dominacji brytyjskich kierowców. W latach 70. wprowadzono nowinkę, czyli efekt przyssania bolidu do podłoża, mnóstwo było wów-



CEZARY KOWALSKI

czas koszmarnych, także śmiertelnych wypadków. Wtedy też wyruszył na podbój wyścigowych torów Niki Lauda. Dekadę później wybitnych, a dziś legendarnych już kierowców, jak Alain Prost, Ayrton Senna pojawiło się jeszcze więcej.

W latach 90. rozpoczęła się era, która z pewnymi korektami związanymi z wprowadzaniem coraz to nowszych systemów technologicznych, ulepszeń elektronicznych, trwa do dziś. To początek zmiany priorytetów. Na pierwszym miejscu od tego czasu stawiane jest bezpieczeństwo kierowców. Zmieniło się także samo podejście kierowców. Modelem, który ukształtował współczesnych gladiatorów F1, był Michael Schumacher (zdobył pięć tytułów z rzędu). Polegał on nie tylko na samym sposobie rywalizacji na torze, lecz przede wszystkim na profesjonalnym, także fizycznym przygotowaniu się do sezonu czy kolejnych zawodów.

W PŁOMIENIACH

Formuła 1 jest jedną z najbardziej widowiskowych i najbardziej elektryzujących dyscyplin, ale w związku ze swoją charakterystyką jest pełna dramatów, ludzkich tragedii i śmierci.

Dla wielu F1 kojarzy się z Austriakiem Nikiem Laudą, ale nie z jego osiągnięciami na torze, tylko koszmarnym wypadkiem, do którego doszło w Nürburgringu w 1976 r. Lauda utknął w płonącym samochodzie, doznał rozległych obrażeń, nawdychał się toksycznych gazów. Wykazał się przy tym heroizmem, bo zdołał wrócić na tor, mimo otwartych ran (przegrał jednak walkę o tytuł). Zdeformowana twarz kierowcy do dziś jest jakimś symbolem Formuły 1.

Po ponad 12 latach bez ofiar śmiertelnych w 1994 r. na torze Imola w San Marino zginęło dwóch kierowców debiutujących w tamtym sezonie – Austriak Roland Ratzenberger i trzykrotny mistrz świata Brazylijczyk Ayrton Senna. W trakcie zawodów rannych zostało siedmiu kibiców, jeden policjant i trzech mechaników. Senna zle wszedł w zakręt przy prędkości 300 km/h, następnie uderzył w barierę ochronną. Alain Prost twierdził, że w samochodzie urwało się zawieszenie. Zawody zakończono. W historii Formuły 1 nie zdarzyło się, by po śmierci kierowcy na torze wyścigów nie kontynuowano (w San Marino wygrał Schumacher), co świadczy o tym, że tragedie są po prostu wpisane w tę rywalizację.

Straszenie wyglądał wypadek Roberta Kubicy w 2007 r. podczas Grand Prix Kanady. Gdy Polak uderzył w ścianę, jechał z prędkością 300 km/h. Kubica koziółkował w podłużnym uszkodzonym kokpicie, szczątka bolidu zasypały tor, koła potoczyły się także w swoją stronę. Wrak pojazdu z kierowcą w środku zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej. Tkwiący w stercie złomu Robert się nie poruszał. Widać było jego nogi i, na zbliżeniach, nieruchomą głowę w kasku z napisem: „Jan Paweł II”. Na miejscu błyskawicznie pojawiła się pomoc i okazało się, że Robertowi praktycznie nic się nie stało. Rozpatruje się to w kategoriach cudu, ale faktem jest, że od podobnego wypadku Senny organizatorzy zrewolucjonizowali przepisy dotyczące bezpieczeństwa. Kubicy pomógł niezniszczalny kokpit zbudowany z włókna węglowego i system chroniący głowę i szyję przed przemieszczeniem.

O śmierć otarł się też Felipe Massa dwa lata później. Spowolnione powtórki telewizyjne pokazały sprężynę, która urwała się z tylnego zawieszenia bolidu Rubensa Barrichella. Odbiła się ona kilkakrotnie od asfaltu i właśnie w nią trafił pędzący 200 km/h Brazylijczyk. Najpierw uderzyła w kokpit przed kierowcą i wbiła się w kask tuż nad plastikową osłoną oczu. Kierowca cudem przeżył.

Podobnych chwil grozy w historii F1 można wymienić mnóstwo. A wszystko to przez prędkość, czyli coś, co jest istotą tej rywalizacji i najbardziej działa na wyobraźnię fanów motorsportu. Nieoficjalny rekord należy do Fini Valtteriego Bottasa, który w 2016 r. na torze w Azerbejdżanie osiągnął 378 km/h. Pobicie 400 km/h podczas zawodów wydaje się kwestią czasu (nieoficjalny rekord prędkości F1 należy do nieistniejącego już zespołu Honda). W 2005 r. podczas testów na torze z amerykańskim Bonneville Alan van der Merwe rozpędził specjalnie zmodyfikowany bolid F1 do 413 km/h. Federacja nie uznała jednak tego wyniku. Wiele w tej kwestii zależy nie tylko



Pierwsze zwycięstwo Ferrari w Formule 1 (1951 r.)

od konstrukcji samochodu, lecz również układu toru z bardzo długą prostą.

BOGATSI NIŻ PIŁKARZE

Formuła 1 to również jeden z najdroższych sportów świata. Drużyny wydają ok. 400 mln dolarów rocznie na swoich kierowców, bolidy i logistykę związaną także z przemieszczaniem się po całym świecie. Czy jest to najlepszy sportowy biznes świata? Formuła 1 wciąż bardzo się opłaca,

choć w ostatnich latach przychody spadają (m.in. z powodu wycofania Grand Prix w Niemczech i kilku poważnych sponsorów) o kilkadziesiąt milionów dolarów rocznie. Ciągłe jednak wynoszą 1,8 mld, a procentowy wzrost z tytułu sprzedaży praw telewizyjnych szacowany jest na 40 proc., co sprawi, że przychody znów przekroczą 2 mld dolarów. Największym kosztem są wynagrodzenia dla zawodników (ok. 1 mld dolarów).

Firmy najwięcej płacą za umieszczenie swoich emblematów na kombinezonach zawodników Formuły 1. Hamilton z Mercedesa dostaje 112 mln funtów za sezon. Najwięcej płaci firma naftowa z Malezji – Petronas, ale także marki odzieżowe, producenci zegarków, napojów energetycznych i wiele innych spółek, którym zależy na takiej formie reklamy. Żaden klub piłkarski nie bierze za strategiczne miejsca na swoich koszulkach aż tyle pieniędzy.

Płaci się także za punkty zdobyte w klasyfikacji. Średnio 30 tys. dolarów za każdy punkt. Szacuje się, że wcale nie najlepszy kierowca, gdzieś ze środka stawki, jest w stanie w ten sposób w ciągu sezonu zarobić ponad 40 mln dolarów, ale umowy w przeciwieństwie do np. futbolu są tajne i bardzo rzadko ich warunki wypływają na światło dzienne.

W ELITARNYM GRONIE

Nie ma też chyba innej dyscypliny sportu, która byłaby tak elitarna jak Formuła 1. W każdym sezonie bierze udział dziesięć zespołów, w których ściga się po dwóch kierowców. Czyli tylko dwudziestu zawodników na świecie ma możliwość startu w zawodach królowej wśród dyscyplin motoryzacyjnych. To nie jest sport dla każdego. Trzeba mieć nie tylko niezwykle predyspozycje, umiejętności i szczęście, aby do tej elity trafić, lecz też wielkie pieniądze. Na początku z reguły zamożnych rodziców, którzy finansują dzieciom drogie treningi na gokartach, a później sponsorów, którzy chcą wspierać tylko największe talenty. Ojciec Roberta Kubicy, wierząc w swojego syna i nie dając wiary w pojawienie się jakichś lokalnych mecenasów, zostawił wszystko i wyjechał szukać szczęścia do Włoch. Dzięki temu w 2007 r. pierwszy raz w historii F1 wystartował polski kierowca. W tym roku dzięki Orlenowi udało mu się wrócić. Osiem lat po koszmarnym wypadku. Na razie, głównie z powodu ograniczeń technicznych bolidów, którymi dysponuje jego zespół (Williams), bez sukcesów. Ale jak sam podkreśla, całe jego życie jest jak Formuła 1, to ciągły wyścig. Czy za chwilę znów kogoś wyprzedzi...

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

*Poddają się morderczym
treningom i uczą
najdziwniejszych zachowań.*

*Na przemian chudną
i tyją. Zapuszczają włosy
i brody lub golą się na
zero. Tygodniami noszą
protezy. Zmieniają nawyki
i otoczenie. Wszystko dla roli*



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Nie wystarczy już jedno-razowy, choćby bardzo wymagający wyczyn, by stać się bohaterem spektakularnych przemian. Na czoło wybijają się więc długodystansowcy, maksymaliści. Mistrzowie skrajnie różnych ekranowych przemian. I ci, którzy granicę przeobrażeniowej wydolności wciąż przesuwają. Jakim kosztem? To odrębna sprawa.

Na szczycie kameleonowej listy pozycję numer jeden wciąż utrzymuje Christian Bale (choć po piętach depcze mu Jared Leto). Wśród kobiet nie daję o sobie zapomnieć Charlize Theron. To absolutny, światowy szczyt aktorskich transformacji i poświęcenia. Dla roli wydają się znieść każde wyrzeczenie.

A w Polsce Dawid Ogrodnik, Sebastian Fabijański czy Olga Bołudz, ale też powracający do pierwszej ligi Borys Szyc.

PAMIĘĆ CIAŁA

Kiedy Robert De Niro, powołując się na stosowaną w teatrze metodę Stanisławskiego, budował filmową postać w filmie Martina Scorsese „Wściekły byk” (1980),

Co potrafi aktor



Fot. Adam Golic/adamgolic.eu



Borys Szyc jako Tadeusz Kantor („Kantor. Nigdy tu już nie powrócę”),
Józef Piłsudski („Piłsudski”) oraz Silny w „Wojnie polsko-ruskiej”

wyznaczał nowe szlaki. By pokazać rozciągnięte w czasie życie głównego bohatera, pięściarza Jake’a La Motty, De Niro najpierw wiele godzin spędził w ringu. Budował siłę, muskulaturę, sprawność i charyzmę (w ramach przygotowań do filmu stoczył trzy profesjonalne walki na ringu – dwie z nich wygrał). Potem przytył 30 kg. Ponoć na tym etapie zdjęcia na jakiś czas zawieszono, bo z powodu nadwagi aktor miał kłopoty z oddychaniem.

Wiarygodność i mistrzostwo, także w fizycznym tworzeniu postaci, doceniła Amerykańska Akademia Filmowa (AAF), przyznając De Niro pierwszego Oscara za główną rolę. Na koncie miał już statuetkę za drugi plan w „Ojcu chrestnym II” (1974) i nominacje za plan pierwszy w „Taksówkarzu” (1976) i „Łowcy jeleni” (1978). Już w tamtych filmach pokazał, jak jest aktorsko plastyczny. Jednak „Wściekły byk” wszedł w jego życie totalnie. I został. Po zakończeniu zdjęć walczył, by zrzucić nadwagę. Nie udało się. Pamięć ciała okazała się mocniejsza.

Po wyczynie De Niro zmiany fizyczności na potrzeby filmu przestały być już czymś wyjątkowym, choć nadal są doceniane. Szczególnie przez AAF, o czym przekonał się w tym roku m.in. Viggo Mortensen, nominowany za rolę rozbudowanego fizycznie, prostackiego Tony’ego w filmie „Green Book”. Oscarową rywalizację przegrał z Ramim Malekiem (ekranowym Freddie Mercurym z „Bohemian Rhapsody”). Podobnie jak poruszająco zmieniony fizycznie Christian Bale w filmie „Vice”.

OD CHUDZIELCA DO BATMANA

Aktorski kameleon nr 1, by zagrać byłego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Dicka Cheney’a, musiał mocno przytyć (o codziennym poddawaniu się postarzającej charakteryzacji na filmo-

wym planie nie wspominając), ale co to dla niego. Bale przyzwyczaił widzów do spektakularnych działań na swojej fizjonomii. Choć lekarze nie raz dawali mu ostrzeżenia, dla kolejnych, często skrajnie różnych filmowych postaci, był w stanie wystawić swój organizm zarówno na ogromne przeciążenia, jak i wielkie osłabienia.

Budzące grozę zdjęcia z filmu „Mechanik” (2004) pokazują wychudzonego do granic możliwości człowieka. Efekt obciągniętych skórą kości aktor uzyskał, zrzucając w trzy miesiące 28 kg. Doszedł do 55 kg z dzienną porcją żywieniową, którą stanowiło: jabłko, puszka tuńczyka, filiżanka czarnej kawy i witaminy. Jednocześnie intensywnie trenował. Lekarze diagnozowali: skrajne wyczerpanie i odwodnienie. Aktor był w takim stanie, że między ujęciami przysypiał. Starczyło mu jednak sił, by ostro zareagować na uwagi mediów: „To żalosne, że dziennikarze uważają ten cały proces za chwyt reklamowy albo coś, co przychodzi z dnia na dzień, bez wysiłku. Na Boga, czy ludzie nie rozumieją, jaka to trauma? Myślą sobie: »O, ten to na pewno chudnie bez problemu, bo robił to już kilka razy«. Stanowczo podkreślam, że nie jest to ani łatwe, ani przyjemne. To okropne” – mówił w jednym z wywiadów. I wciąż robił swoje.

Po zakończeniu zdjęć do „Mechanika” nie dał organizmowi czasu na porządną regenerację. Wahadło poszło w drugą stronę. Przyjmując rolę w filmie „Batman. Początek” (2005), zobowiązał się w ciągu pół roku zbudować odpowiednią dla herosa masę mięśniową. Oznaczało to przybranie kilkudziesięciu kilogramów, ale też odpowiednie wyrzeźbienie sylwetki.

Efekt osiągnął dzięki specjalistycznej diecie i treningom, które odbywał trzy razy dziennie.

Warto dodać, że zaledwie dwa lata przed „Mechanikiem”, wchodząc do fantastycznego świata „Władców ognia”, gdzie jego bohater musiał się mierzyć ze smokami, ważył 83 kg i miał sylwetkę wojownika. „Mroczny rycerz” z 2008 r., czyli powrót do roli Batmana, znów wymusił przyrost masy mięśniowej i wagi. Wytrenowana sylwetka, siła i sprawność przydały się w „Terminatorze: Ocaleniu” (2009), ale już na potrzeby „Fightera” (2010), w którym zagrał byłego boksera, który po odsiadce zostaje trenerem, musiał znowu wagę zrzucić (do 66 kg). I za tę drugoplanową rolę dostał Oscara.

Na koncie ma też nominacje za pierwszy plan w „American Hustle” (2013) i wspomnianym już „Vice” (2018). W stworzeniu postaci finansowego oszusta pomogło mu 20 dodatkowych kilogramów, spory brzuch, długie włosy i zarost (tu ważył ponad 100 kg, gdy rok wcześniej, jako Batman w filmie „Mroczny rycerz powstaje”, miał pięknie wyrzeźbioną sylwetkę).

Dla roli Dicka Cheney’a znów poszedł na całość. Choć Oscara nie zdobył, to wśród licznych nagród znalazł się m.in. Złoty Glob.

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Christian Bale zachowuje się tak, jakby transformacyjna huśtawka była czymś oczywistym, przynależnym do zawodu, który intensywnie uprawia od... 32 lat. To wtedy Steven Spielberg zobaczył w 13-letnim Christianie Jima „Jamiego” Grahama z „Imperium słońca” (1987). Tamta piekielnie trudna produkcja niejako wyznaczyła standardy pracy

przyszłego aktora, dziś 45-latką, który bez taryfy ulgowej gra swoim organizmem.

Wysoko podniesiona poprzeczka aktorskiej determinacji, poświęceń i metamorfoz nie odrasza innych. Dramatycznie eksploatuje swoje ciało i wydolność Jared Leto, zagorzały wyznawca metody Stanisławskiego, który bez oporów (choć z odnotowanymi przez prasę problemami zdrowotnymi) na zmianę chudnie, tyje, a chcąc jak najlepiej zrozumieć bohatera, potrafi np. przez dwa tygodnie żyć na ulicy czy na co dzień nosić specjalne soczewki, by wiarygodnie zagrać niewidomego bohatera. Dla roli zabójcy Johna Lennona w „Rozdziale 27” (2007) Leto przytył 37 kg, ale Oscara (za rolę drugoplanową) dostał za udział w „Witaj w klubie” (2013), gdzie wcielił się w chorego na AIDS transwestytę (zrzucił wtedy 18 kg).

Ten sam film statuetkę Oscara za pierwszy plan przyniósł Matthew McConaugheyowi. Blond włosemu przystojniakowi, któremu wróżono jedynie karierę w romantycznych komediach. A on zecydował się na spektakularną metamorfozę. Zarażonego wirusem HIV bohatera zagrał po zrzuceniu 25 kg (żywił się głównie rybami, owocami morza i warzywami). Dodatkowa charakterystyka odebrała mu atut urody, ale poświęcenie – jak widać – się opłaciło.

Od hollywoodzkiego wizerunku złotego chłopca postanowił się też w pewnym momencie odciąć Leonardo DiCaprio, który na planie „Zjawy” (2015) spał w zwierzęcych zwłokach, tarzał się w błocie, jadł surowe mięso i o mało nie utopił się w lodowatej rzece. Warto tu jednak przypomnieć, od jakich ról zaczęła się przygoda Leo z kinem. Ponad 20 lat wcześniej, w 1993 r., zachwylił krytyków, grając u boku Roberta De Niro i Ellen Barkin w „Chłopięcym świecie”, ale w prawdziwe osłupienie wprowadził oglądających film „Co gryzie Gilberta Grape’a?”, w którym stworzył niezwykle przekonującą postać upośledzonego nastolatka.

AŻ POLEJE SIĘ KREW

Szok przeżyli też widzowie „Mojej lewej stopy” (1989), za którą pierwszego Oscara dostał Daniel Day-Lewis, rozpo-

czynając karierę hollywoodzkiego aktorskiego kameleona. By przygotować się do roli malarza urodzonego z mózgowym porażeniem dziecięcym, aktor nie schodził z wózka inwalidzkiego i nauczył się malować stopami. Gdy miał zagrać w „Ostatnim Mohikaninie” (1992), wyruszył samotnie na pustynię, spał pod gołym niebem i jadł jedynie to, co udało mu się znaleźć lub upolować. Przed wejściem na plan „W imię ojca” (1993, druga nominacja do Oscara) dał się na dwie doby zamknąć w więzieniu i prosił, żeby strażnicy budzili go co 15 minut i polewali zimną wodą. Oswajanie świata „Czarownicy z Salem” (1996) zaczął od zbudowania domu, w którym mieszkał jego bohater, po czym, dostosowując się do realiów XVII-wiecznej osady, przestał się myć.

„Gangi Nowego Jorku” (2002, trzecia nominacja do Oscara) sprawiły, że zatrudnił się jako pomocnik rzeźnika. Potem, już na planie, nie nosił ciepłych ubrań, a gdy nabawił się zapalenia płuc, nie chciał korzystać ze współczesnych leków. Każde aktorskie zadanie oznaczało dla niego pełne wpasowanie się w świat bohatera. Kolejnego Oscara otrzymał, tworząc główną rolę w rozgrywającym się na przełomie XIX i XX w. filmie „Aż poleje się krew” (2007). Podczas zdjęć do „Lincolna” (2012) zażył sobie, by także Steven Spielberg zwracał się do niego... „panie prezydencie”. Efekt? Trzeci Oscar za pierwszoplanową postać.

GRYMAS JOKERA

Daniel Day-Lewis dla roli zrobiłby wiele, ale to Joaquin Phoenix przesunął granice tak daleko, że zaskoczył nie tylko kinowych widzów. 11 lat temu wyprowadził w pole najbardziej dobiegliwych tropicieli plotek. Zaczęło się od talk-show Davida Lettermana. Z długimi włosami i brodą, niechlujny, dziwnie się zachowujący, w którymś momencie wymamrotał, że zaczyna nowe życie... hip-hopowca! Rzeczywiście zaczął jeździć z koncertami, na spotkaniach wyglądał tak, jakby był pod wpływem używek. Media miały używanie, a Phoenix nie wychodził ze swojej „roli” przez blisko rok, do czasu premiery mockdokumentu (można to

przetłumaczyć jako dokument pozorny lub iluzoryczny) „Jestem, jaki jestem” w reż. Caseya Afflecka, w którym „zagrał” siebie. Kolejne etapy maskarady miały udowodnić, jak łatwo media mogą manipulować ludźmi.

Na polskim gruncie happening w stylu Joaquina Phoenixa, choć z innych pobudek, przeprowadził Bartłomiej Topa; w 2012 r. w sieci pojawiły się nagrania dziwnie zachowującego się aktora, a gdy media „zdiagnozowały” już jego psychiczne zaburzenia, okazało się, że nagrania to element kampanii społecznej na rzecz osób dotkniętych autyzmem.

W październiku tego roku premierę będzie miał film „Joker”, w którym Phoenix wcielił się w tytułową postać, przekłęta od śmierci Heatha Ledgera. 28-letni wtedy aktor tak mocno wszedł w kreowanego w „Mrocznym rycerzu” (2008) bohatera (wcześniej grał go m.in. Jack Nicholson), tak bardzo pragnął, by jego Joker był autentycznie przerażający i obłąkany, że tego nie udźwignął. Po zakończeniu zdjęć nie ukrywał, że zadanie „wykończyło go mentalnie i psychicznie”. Wiele czytał o szaleńcach, obserwował ich, ćwiczył zachowania i odruchy, naśladował głos. To podobno wtedy rozpoczęły się jego problemy ze snem. Zmarł po przedawkowaniu leków. Ostatnia rola przyniosła mu... Oscara.

PIĘKNA I BESTIA

Trzeba być niezwykle silnym, by zostać za sobą filmowy świat, zwłaszcza gdy tak mocno łączy się on z życiem. Charlize Theron jest niewątpliwie piękną kobietą. Dla roli potrafi jednak stać się bestią. Jak w najgłośniejszej jej metamorfozie – w filmie „Monster” z 2003 r.

Theron zagrała – aktorsko rewelacyjnie – prostytutkę i autentyczną seryjną morderczynię (scenariusz był oparty na faktach). By upodobnić się do postaci, przytyła 14 kg, zgoliła brwi, dała sobie przerzedzić włosy, a jej szczeka została rozsunięta specjalną protezą, która imitowała zepsute zęby. Dodatkowa charakterystyka twarzy sprawiała, że 28-letnia Theron straciła urodę i „zyskała” co najmniej 10 lat więcej. Amerykańska Akademia Filmowa nie mogła nie docenić takiego poświęcenia.



Charlize Theron w filmach „Monster” (powyżej) oraz „Tully”

Aktorka dostała Oscara. Potem znów zachwycała urodą, jednocześnie szukając trudnych, spektakularnych ról. Jak udawało się jej łączyć tak różne światy?

Wychowywała się na farmie w pobliżu Johannesburga w RPA. Miała 14 lat, gdy matka wysłała ją do szkoły z internatem, by chronić przed ojcem alkoholikiem. W 1991 r., gdy 17-letnia Charlize przyjechała w odwiedziny, pijany ojciec, wraz ze swoim bratem, wdarł się z bronią do domu. Matka ruszyła z odsieczą. Sąd uznał, że zabijając męża i raniąc szwagra, działała w obronie własnej. Z tak traumatycznymi doświadczeniami na koncie trudno być egocentryczną lalką. Theron to osoba świadoma siebie. Nie żyjąca jednak tylko dla siebie (aktorka wychowuje dwoje adoptowanych, czarnoskórych dzieci, córkę August, ur. 2012, i syna Jacksona, ur. 2015).

Przestaje dziwić, że posągowa zimna piękność z filmu „Królowna Śnieżka i łowca” (2012) oraz jego kontynuacji z 2016 r. z ogoloną głową potrafiła zagrać też Cesarzową Furiosę w megaprodukcji „Mad Max: Na drodze gniewu” (2015). I że wyprodukowała szpiegowską „Atomic Blonde” (2017), w której pięknie wyglądając, tak widowiskowo

się biła (by osiągnąć wiarygodny efekt, przez trzy miesiące intensywnie ćwiczyła azjatyckie sztuki walki, przeszła też długi trening z ekipą kaskaderów). Równocześnie w niskobudżetowym filmie „Tully” (2018) potrafiła zagrać ociążoną, nieradzącą sobie ze stresem i obowiązkami związanymi z narodzinami trzeciego dziecka matkę.

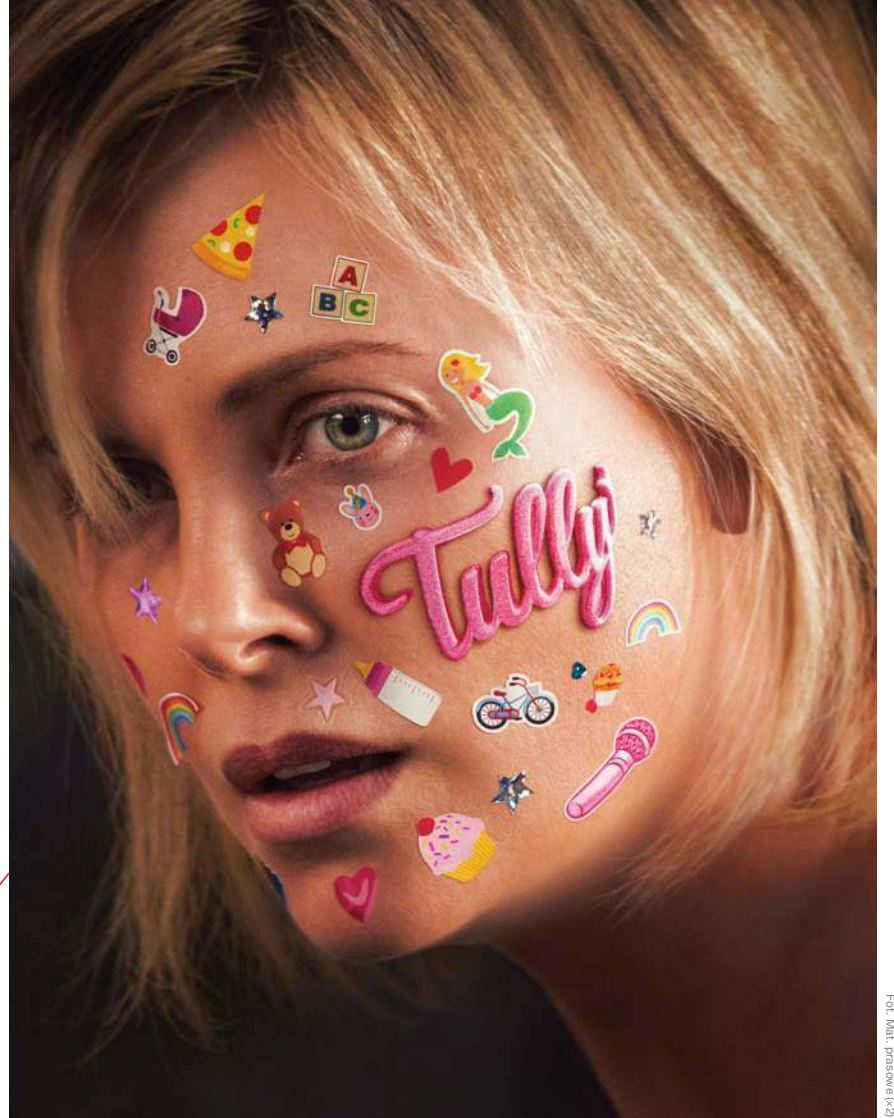
RADOŚĆ I TRAUMA

Na potrzeby „Tully” przytyła ponad 20 kg i rozmawiała z kobietami, które przechodziły poporodową depresję, by przekonująco zagrać totalnie przemęczoną, zmienioną fizycznie po ciąży Marlo. Zajadającą stres nachosami i wpatrzoną w telewizyjny ekran, ale też wzruszającą w relacji z dziećmi.

Ciekawskim dziennikarzom odpowiadała: „Tak, jestem teraz gruba, ale jak wiele jest ról, w których zakłada się spektakularną, długą suknię i na tym kończy się historia?”.

Theron uważa metamorfozę za ważny element uprawianego zawodu. Po premierze „Tully” mówiła: „Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy dla roli nie chcą poddać się transformacji. Dla mnie to cała radość wynikająca z tej pracy. Masz okazję wejść w ciało zupełnie nowej osoby. Nie chodzi tu o odwagę. Nie wyobrażam sobie wcielenia się w tę postać bez przybierania na wadze. To nieustanne zmęczenie, to jak czujesz się ze swoim ciałem, jak zmienia się twoja twarz. Wszystko, dłonie, palce, rozmiar buta.

Pełne, także fizyczne, oddanie roli przynosi jednak konsekwencje. Szczególnie dla kobiety, która przekroczyła czterdziestkę. Drastyczna zmiana diety i spory przyrost wagi doprowadziły aktorkę do depresji. Walka o przywrócenie ciała i psychiki do wcześniejszego stanu – tym razem nie obyło się bez pomocy lekarzy – zajęła jej prawie półtora roku. Jak dziś wygląda Charlize Theron? Można samemu ocenić.



Fot. Mat. prasowe (x2)



Fot. Malt, prasowe (2)

10 maja wchodzi do kin komedia romantyczna „Niedobrani”.

W ŻYCIU JAK W FILMIE

Aktorek, które decydują się na przybieranie kilogramów, nie ma zbyt wiele. Wolą inne ekstremalne zmiany fizyczności. Szlaki przetrwała Demi Moore, gdy dla roli żołnierki „G.I. Jane” (1997) pozwoliła na planie ogolić sobie głowę i przeszła katorżnicze szkolenie bojowe.

Utrata włosów – zwłaszcza przed kamerą – to dla wielu aktorek traumatyczne doświadczenie. Mówiła o tym Katarzyna Figura po scenach zrealizowanych do filmu „Summer Love” (2006) Piotra Uklańskiego. Katarzyna Warnke, gwiazda produkcji Patryka Vegi, sama ogoliła głowę, by jak najlepiej przygotować się do roli zawodniczki MMA. Oczywiście z gotowością na najcięższy trening. Takiemu poddała się Olga Boładź przed wejściem na plan „Służb specjalnych” (2014).

O spektakularnych scenach walki w filmach „Kill Bill” i „Kill Bill 2” (2003, 2004) Quentin Tarantino mówiło się i po premierze, wspominając siniaki i wybite palce Umy Thurman, jednak dopiero niedawno do mediów przedostały się informacje o tym, że aktorka o mało nie straciła na planie życia. W udzielonym w ubiegłym roku wywiadzie mówiła, że reżyser zmusił ją do nakręcenia sceny, w której bohaterka jedzie kabrioletem przez pustynię. Thurman nie opanowała samochodu

i uderzyła w drzewo. Wspomina: „Poczułam ostry ból i pomyślałam: »Boże, już nigdy nie będę chodzić«”. Do dziś, co podkreśla, ma z powodu tamtego wypadku problemy zdrowotne.

GRANICE

Każda rola musi kosztować – uważa Sebastian Fabijański, perfekcyjny w sportowo-tanecznych układach („#Wszystkogra”), poruszający jako psychopatyczny Cukier z „Pitbulla. Niebezpiecznych kobiet”, który dla roli w „Kamerdynerze” nauczył się grać na fortepianie i jeździć konno (ta druga umiejętność przydała mu się do stworzenia głównej postaci w filmie „Legiony”, premiera 20 września). Fabijański mówi: – Fascynuje mnie w aktorstwie dochodzenie do swoich granic, pokonywanie oporu materii, świadomość walki, jaką muszę stoczyć.

Opór materii pokonuje też mistrzowsko Dawid Ogrodnik. Jak daleko potrafi dotrzeć w metamorfozie aktor, od niedawna noszący tytuł European Shooting Star 2019, pokazał w filmie „Chce się żyć” (2013). Przez osiem miesięcy stał się bohaterem. Schudł ponad 10 kg. Ćwiczył ciało, by „każda żyła i każdy mięsień cięły ekran”. Podwijał palce, wykrzywił stawy, by zrozumieć fizyczność cierpiącego na mózgową porażenie chłopaka. Wchodził w jego psychikę, przebywając z niepełnosprawnymi.

We wrześniu, znów w filmie Macieja Pieprzycy, zobaczymy aktora w kolejnej metamorfozie (ma już na koncie m.in. głośne role w „Jesteś Bogiem” i „Ostatnia rodzina”). „Ikar. Legenda Mietka Kosza” to opowieść o genialnym niewidomym pianinie, który 66 lat temu popełnił samobójstwo, skacząc z okna mieszkania przy ul. Pięknej.

Doceniając efekty determinacji Ogrodnika i Fabijańskiego, trudno – przy temacie o aktorskich metamorfozach – zapomnieć o Borysie Szycu. W sinusoidzie jego ról wciąż mocną pozycję ma spektakularnie przygotowany Silny z „Wojny polsko-ruskiej” (2009). A, jeśli wierzyć zapowiedziom i kadrom z planu, wzbił się na aktorskie wyżyny, wchodząc głęboko w świat Tadeusza Kantora (zdjęcia do filmu realizowane były w... 2015 r.), jak i tytułowego „Piłsudskiego” (oba filmy będą mieć premiery najprawdopodobniej jesienią). Dodatkowo aktor dopisuje do ról mocny prywatny kontekst. W czasie oscarowej gali (na której znalazł się z ekipą „Zimnej wojny”) jako szalejący selfowicz zwrócił na siebie uwagę. Ponoć negocjuje teraz zawodowe kontakty w Stanach. W Polsce całkiem niedawno rozliczył się publicznie z alkoholizmem, którym opłacił szybkie wejście na zawodowy szczyt. Tamtego złotego chłopca już nie ma. Przeszedł życiową metamorfozę.

W życiu jak w filmie – wszystko jest możliwe.

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Wieczernik”, czyli twarz Dałkowskiej

Wieczernik” Ernesta Brylla widziałem trzy razy. Najpierw ten sławny, Andrzeja Wajdy, z kościoła Miłosierdzia Bożego na warszawskim Muranowie w roku 1985 albo 1986. Potem telewizyjny „Wieczernik” w reżyserii Grzegorza Królikiewicza z roku 2001. Teraz Teatr Telewizji pokazał go ponownie w poniedziałek po Niedzieli Palmowej.

Bryll, człowiek wielkiego talentu, ale o skomplikowanej biografii ideowej, napisał go z potrzeby chwili. Opowiada o uczniach Jezusa pogubionych po Jego ukrzyżowaniu i nie dowierających w zmartwychwstanie. Ale tak naprawdę tekst wzywał do nadziei polską wspólnotę po nocy stanu wojennego. To niezwykle, że religijna historia stała się trochę kostiumem dla sprawy jak najbardziej ziemskiej, politycznej.

Po dziesięcioleciach ten kontekst zsunął się ze sztuki niczym zużyte ubranie. Okazało się jednak, że ten tekst, napisany piękną, poetycką polszczyzną, nadal o czymś mówi. O poszukiwaniu sacrum. O ludzkiej kruchości, ale i o twardości w obronie najbardziej podstawowych wartości. Bardziej podstawowych niż opór wobec PRL. Choć gdzie pozostało w tle pytanie o niezwykłość wspólnoty Polaków. I o obowiązki wobec swojej ziemi.

Ktoś zadał sensowne pytanie: czego dziś mają się obawiać wyznawcy Jezusa zamknięci w wieczniku? W dobie wypychania religii poza przestrzeń już nie tylko publiczną? „Wieczernik” mniej odwołuje się do rozumu, ba, rozumowe argumenty przedstawiane przez Nieznajomego traktuje cokolwiek podejrzliwie. To sztuka o wierze, choć i o prawie do wątpienia, o dojrzeniu w do prawdy i do odwagi.

Wystawiona w roku 2017 w kościele Najczystszego Serca Maryi na placu Szembeka, potem była grana w Teatrze Oratorium przy bazylice na Kawęczynskiej. Reżyser Krzysztof Tchórzewski zadbał o wysoki poziom tego rapsodycznego teatru i najlepszą obsadę. W surowych kościelnych murach można wyrazić coś nieobecnego na zwykłej scenie.

W wersji telewizyjnej, mimo ascetyczności formy, reżyserowi

udaje się wykrzesać pewien rodzaj nerwowości, dramatycznego napięcia, choć przecież wiemy, co będzie dalej, znamy finał zdarzeń. Sprzyja temu funkcjonalna scenografia Joanny Walisiak i dynamiczna praca operatorska Jarosława Żamojdy. Także wysmakowane tło muzyczne dobrane przez Małgorzatę Przedpelską-Bieniek.

Aktorzy grają we współczesnych ubraniach, choć za oknem mamy widoki z Palestyny. To my jesteśmy zamknięci w tych pomieszczeniach. Prostota gry Marcina Kwaśnego (Piotr), debutanta Kamila Studnickiego (Jan) i Radosława Pazury (Tomasz), także Jana Marczewskiego i Ryszarda Jabłońskiego (Uczniowie) zaciera granice między widowiskiem a rozmową z nami. Zaskakująco sugestywny okazuje się też Ksawery Szlenkier jako ironiczny Nieznajomy.

Niezwykłą jest postać Marii Magdaleny – Ewy Dałkowskiej. Starsza wiekiem, niż nakazuje tradycja, i sam tekst, chwilami wydaje się być prymitywistką, z wysiłkiem składającą zdania, a przecież znamy bogactwo aktorskiego warsztatu Dałkowskiej. To zamierzone, ona odziera tę postać z blichtru, nawet



z psychologicznych komplikacji. Ona najbardziej przemawia wprost do nas, z pominięciem teatralnego instrumentarium.

W „Imieniu róży” przywołanym przez Canal+ pod postacią włoskiego serialu William z Baskerville objaśnia, skąd wiemy, co Bóg sądzi o roli kobiety. Wiemy to m.in. stąd, że Jezus po zmartwychwstaniu objawił się jako pierwszej właśnie Marii Magdalenie. Obserwując skupioną twarz Dałkowskiej, rozumiemy ten fenomen.

Piotr Zaremba

**Wojciech Stanisławski**

Dybuk w blokowisku

Już w pierwszej książce Ewy Różyckiej moc dały niedopowiedzenia. Bez wiary w ich siłę nie zrozumiemy tajemnicy kryjącej się w „Regule Kłajna”

Wydate przed rokiem „Bałutki” były odkryciem nie tylko nowych światów, nowych „twarzy głodów człowieka”, lecz i nowego sposobu pisania – powściągliwego, za pomocą zwięzłości i niedopowiedzeń trzymającego ogromne emocje w herbertowskich ryzach. Dla wielu czytelników zafascynowanych tamtą prozą nowa książka Ewy Różyckiej może być zaskoczeniem. Minipowieść „Reguła Kłajna” jest na pozór znacznie bardziej potoczna, więcej w niej scen, słów i sentymentów. Dwutorowo prowadzona narracja, pozwalająca jak w grze luster czy listów śledzić na przemian oboje bohaterów, mały realizm wycinki drzew na podwórzu, zdawkowej uprzejmości w spa, nerwowych chwil przed lustrem i szafą – wszystko to wydaje się należeć do instrumentarium jednej z „powieści o uczuciu”, które, nawet celne i trafne, nikną gdzieś na półkach obficie zastawionych konfekcją sentymentalną.

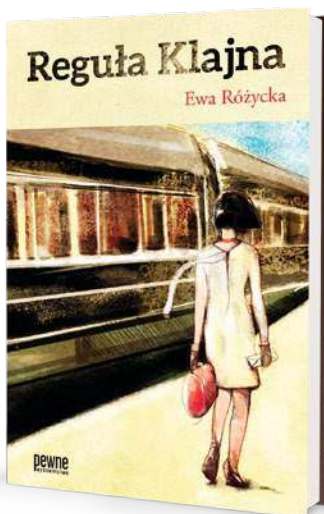
Lęki kobiety stojącej w perspektywie upływu czasu, zdrady, opuszczenia – takie zawiązanie dramatu może nas prowadzić w stronę heroin Undset czy Dąbrowskiej, ba, nawet „Nieznosnej lekkości bytu”, ale i romansów. Zgoła niespodziewane wątki, choćby opisane ze sporą dawką realizmu wszystkie te trochę śmieszne, a trochę kłopotliwe sposoby, w jakie ciało mężczyzny reaguje na urodę kobiet, pchają nas do jeszcze innych skojarzeń literackich; bodaj czy nie z figlami Lawrence’a Sterne’a, który jak nikt umiał opisać konfuzję wywo-

laną przez gorący ziemniak lądujący w pludrach?

To wszystko jednak tylko przebranie, ukrycie. Gdyby było inaczej, zrzedliwy recenzent mógłby może wydziwiać nad opisami sopockiego Grand Hotelu i cierpko prostować, że kruszony lód podawany jest zwykle do mojito, nie do whisky. Ale to nieważne, bo świat „Reguły Kłajna”, choć fabuła toczy się na pozór w innym mieście, jest światem „Bałutek” – i zaczynamy to rozpoznawać od jednego z pierwszych akapitów, w którym omiotą nas pamiętne z zapisów Różyckiej czarne loki. Będziemy szli dalej tropem tych podobieństw, przez zaniedbany blok z czasów PRL,

lodowaty przeciąg, dziwną, sparzoną nieszczęściem podmiejską wioską, ukrytą za gęstym lasem wyrosłym jak z bajkowego grzebienia, a autorka prowadzi nas coraz dalej, kładąc jak święta z fresku palec na ustach. Jestem przekonany, że mamy do czynienia z bliźniaczem w stosunku do pierwszej książki zabiegiem. To, co jest tak bolesne, że niemożliwe do opowiedzenia wprost, jak krzywdy dzieci – a Ewa Różycka pozostawia daleko w tyle wszystkie wdzięczne, wielkookie, zapłakane stworzenia, dostrzega krzywdy najstraszniejsze i największe – można dać do zrozumienia tylko półsłówkami, jeśli nie milczeniem. Czytelnicy „Bałutek” opanowali ten tryb lektury.

„Reguła Kłajna” już tytułem daje do zrozumienia, jak mocno zanurzona jest w różnych duchowościach. To rzeczywistość, w której zakonnik wskazuje drogę ocalenia – ale też taka, w której krążą wśród nas dybuki: zmarli, którzy nie są w stanie do końca się pożegnać z tym światem. Nie dzieje się to w trybie popkulturowego horroru, lecz głębokiej, ciemnej metafory mówiącej o tym, jak trudne są rozstania z życiem, w którym pozostają niezamknięte wierności, przysięgi, tęsknoty. Między Warszawą, Sopotem a Łodzią śmigają zresztą nie tylko klasyczne dybuki, jak z powieści An-skiego czy z przedwojennego, urzekającego filmu Michała Waszyńskiego. Czytając „Regulę...”, miałem chwilami poczucie obecności na eksperymentalnym przedstawieniu, w którym jeden aktor zmuszony jest odtwarzać rolę



Ewa Różycka, „Reguła Kłajna”, Pewne Wydawnictwo, Kielce, 2019

kilku postaci. To nie błąd obsadowy autorki! Kilka godzin lektury i już wiedziałem: to gilgul nieszczęść, stan, w którym dawno nieobecni odradzają się w niemowlętach, „krążenie dusz”, o którym marzyli smutni kabaliści z Miropola i Jarmolińców.

Ewa Różycka, idąc najzupełniej osobną ścieżką, kierując się tylko wrażliwością, dotarła do prawdy przez lata wypartej i zapomnianej, kilka dekad temu – rozwadnianej i cukrowanej, a od kilku już lat rozgrywanej przez pieśniarzy z obu stron w sposób nieznośny

i niegodny. Autorka „Reguły Klajna” potrafiła sięgnąć ponad łbami żydów i polakożerców do prawdy o Zagładzie, która dokonała się właśnie tutaj. Wiadomo, nie był to polski wybór, a winy Sprawiedliwych i szmalcowników, jakkolwiek by je przeliczano, nie ważą tyle, ile chcieliby ignoranci. Nie znaczy to jednak, że nie padł na nas cień żaloby.

Ta powieść jest także o żalobie – i o tym, czy możliwe jest przyjęcie jej w miejsce ucieczki przed zbyt trudnym losem. O szczególnej, niechcianej, straszliwej bliskości polsko-żydowskiej,

narzuconej przez czas wojny i Zagładę. Elegijna fraza Antoniego Słonimskiego o „dwóch najsmutniejszych narodach na ziemi” cytowana była w sentymentalnych latach 80. tak często, aż stała się nieznośna. Nic jednak nie poradzę na to, że wraca do mnie po skończonej lekturze „Reguły Klajna”, a brzuch jednej z bohatererek („Brzuch: duży, pękaty, twardy. Kończówka ciężka”) staje się w mojej wyobraźni, na prawach rządzącej tą powieścią wędrownicy dusz, brzuchem Wiktorii Ulmy. Tym z ostatniego zdjęcia, jakie jej zrobiono. 

Listy z Urugwaju i Monachium

Powrót do kosmosu znajomych sytuacji może być źródłem otuchy: Tadeusz Słowacki z dzieciną radością ciągnął za sznurek kulantowego zegara, rzesze widzów siadały przed telewizorami, by obejrzeć kolejny odcinek serialu. Można też jednak sięgnąć po kolejne zbiorki korespondencji Jerzego Giedroycia.

Też same widać sprzęty, też same obicia! Czy będzie to Gombrowicz, czy Parnicki, zawsze znajdziemy się w tym samym wirze: w ślad za nagłówkiem „Drogi Panie” pojawiają się eleganckie i twarde prośby o tekst dla „Kultury”; garść informacji o domowych troskach. Zawsze pojawi się w tle Józio (Czapski) i Nowak (Jeziorański), jakiś oszczędny rusycyzm czy archaizm. Śledzić będziemy dynamikę korespondencji: zacieśnianie więzów, fascynację, zażyłość, wygasanie kontaktu w miarę upływu lat i znużenia wszystkich, prócz redaktora „Kultury”. Niczym w przekrojach geologicznych w każdym zbiorze listów rozpoznawać będziemy wstrząsy, których doświadczał Instytut Literacki, i drgania docierające z Polski. I nawet korespondenci, choć takie indywidualności, w jednym są podobni: ludzie pióra stale zlaknieni są zachęty i ostrogi.

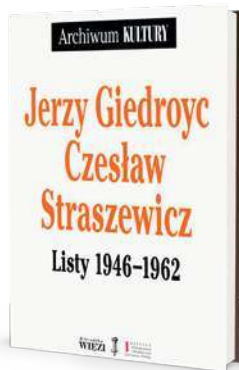
Dla niewielu okazały się one tak sprawcze jak dla Czesława Straszewicza. „Listy 1946–1962” czyta się trochę jak XIX-wieczną, naiwnie optymistyczną opowieść Dickensa lub Verne’a o sukcesie osiągniętym dzięki pracy, talentowi

i szczęściu. Przedwojenny literat, żołnierz Maczka, rzucony na wygnanie do Urugwaju milczy – i na kolejne listy Giedroycia odzywa się po raz pierwszy dopiero po pięciu latach, w 1951 r. Jego wydany u Giedroycia minizbiór opowiadań osiąga niewiarygodny, jak na emigracyjne warunki, sukces. A po „Turystach z bocianich gniazd” – znów lata ciszy.

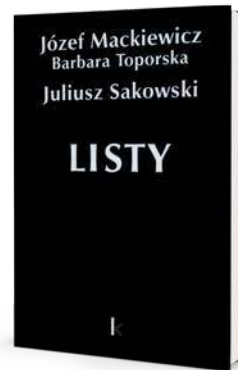
Czytam tę korespondencję z kontrastującym nawet kolorem okładki innym zbiorem listów – wymianą myśli między Józefem Mackiewiczem (i, okazjonalnie, jego żoną) a ich londyńskim wydawcą, wiernym im Juliuszem Sakowskim. Trochę późniejszy czas (1961–1977), podobnych kilkanaście lat trosk, skrajnie inny temperament pisarza. W listach Mackiewicza, z konieczności rozpiętych

między triviami a twórczością, wyraźniej może niż w esejach dostrzec można jego skupienie, spójność poglądów, ale też skłonność do stawiania spraw na ostrzu noża, lęk przed wszystkim, co mogłoby być poczytane za ustępstwo już nie wobec Sowietów czy PRL, lecz i letniego odlamu „polskiego Londynu”. Sakowski, zbyt mało obecny w pamięci zbiorowej, jawi się w tym zbiorze jako najważniejszy bodaj pośrednik między małżeństwem Mackiewiczów a światem: łagodzący spory, dodający ducha, spod ziemi zdobywający fundusze.

Te dwa tomy kiedyś służyłyby jako obraz dwóch biegunów emigracji pojałtańskiej; ile musiało się wypalić, żeby czas pojednał i postawił obok siebie tak różnych autorów. 



Jerzy Giedroyc, Czesław Straszewicz, „Listy 1946–1962”, opr. Maciej Urbanowski, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2018 [Tom XX Archiwum „Kultury”]



Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, Juliusz Sakowski, „Listy”, opr. Nina Karsov, Wydawnictwo Kontra, Londyn, 2019 [Tom XXVII „Dzieł”]



Adamski poleca



Ikona zbrodni



Był ikoną zbrodni. Przystöjny, charyzmatyczny i inteligentny. Sam bronił się podczas sądowego procesu, z którego zrobił medialny show. W ciągu kilku lat zabił ponad 30 kobiet. Udowodniono mu 21 morderstw. Zginął na krześle elektrycznym 24 stycznia 1989 r. w Raiford na Florydzie. Na Netflixie jest dostępny dokumentalny serial „Rozmowy z mordercą: Taśmy Teda Bundy’ego”. Złożony z jego wyznań i archiwalnych nagrań serial jest porażającym obrazem zła. Zła czystego. Demonicznego. Niezrozumiałego.

Autorem dokumentu jest Joe Berlinger, który teraz dał nam wersję fabularną tej historii. W mordercę wcielił się znany z ról przystojniaków w komediach Zac Efron. Doskonale wybór. Za delikatną i ładną buzią Bundy’ego krył się demon pożerający kolejne kobiety. Mimo że swoim ofiarom obcinał głowy i zostawiał odciski zębów na ich ciałach, w czasie procesu na salę rozpraw przychodziły kobiety, by mu kibicować. Efron tworzy najlepszą rolę w karierze. Doskonale wyciąga mroczną charyzmę mordercy i podkreśla jego ujmującą otoczenie bezczelność. Berlinger nie pokazuje mordów Bundy’ego. Zamiast krwawej jatki skupia się na grozie jego technik manipulacyjnych i braku empatii maskowanej inteligencją oraz reżyserowaną dobrocią.



„Podły, okrutny, zły” nie jest tak przenikliwy jak 10-odcinkowy dokument na Netflixie, ale za to ustawia makabryczne działanie Bundy’ego w kontekście jego związku z Liz Kloepfer (Lilly Collins), co nie wybrzmiało w dokumencie. Bundy związał się z kobietą i wychowywał jej córkę. Tak bardzo ją od siebie uzależnił, że niemal do samej egzekucji nie była pewna jego winy. Bundy miał magnetyczną moc, którą zarażał całą salę rozpraw. Jako niedoszły prawnik radził sobie na niej nadzwyczaj sprawnie.

Sędzia Edward Cowart (w filmie gra go John Malkovich), wydając wyrok śmierci, powiedział, że zbrodnie Bundy’ego były podle, złe i okrutne. „Trzymaj się, młody człowieku. Mówię to szczerze – trzymaj się. Obserwowanie przez ten sąd takiej utraty człowieczeństwa jest wielką tragedią. Jesteś bystrym młodzieńcem. Byłbyś dobrym prawnikiem.

Bardzo bym chciał widzieć twoją praktykę w tej sali sądowej, ale wybrałeś inną drogę, kolego. Nie czuję do ciebie żadnej urazy. Chcę, byś to wiedział. Trzymaj się” – powiedział sędzia Cowart i posłał Teda na elektryczne krzesło. Ta mowa doskonale symbolizuje, jaką postacią był Bundy.

„**PODŁY, OKRUTNY, ZŁY**”, REŻ. JOE BERLINGER, DYSTR. BEST FILM

Osobowe zło



Krzysztof Zanussi dobiegający osiemdziesiątki nie jest w swojej szczytowej formie artystycznej. Autor takich pereł polskiego kina jak „Barwy ochronne”, „Constans” czy „Rok spokojnego słońca” dawno nie nakręcił dzieła równie mocno poruszającego emocjonalnie i intelektualnie jak jego nagradzane w Cannes i Wenecji moralitety. Jednak to on pozostaje dziś jedynym europejskim spadkobiercą religijnych poszukiwań w kinie takich artystów jak Andriej Tarkowski. Opowiadający o robiącym na Podolu eksperymenty medyczne lekarzu (Jacek Poniedziałek)

na początku XX w. „Eter” jest filmem dotyczącym najważniejszych egzystencjalnych pytań, jakie zadawać musi sobie katolik. Zanussi tym razem mocuje się z mitem Fausta i dosłownie (wielu krytyków mu zarzuca taki finał filmu) pokazuje osobowe zło. „Eter” jest też filmem o scjentyzmie i postawieniu nauki w miejscu Boga. Zanussi dał nam traktat o zaprzędaniu duszy diabłu, który wzmówił dziś ludziom, że nie istnieje. Warto wysłuchać starego mistrza polskiego kina.

„**ETER**”, REŻ. KRZYSZTOF ZANUSSI, DYSTR. AGORA

DVD





Kuriozalny film



To jeden z najbardziej kuriozalnych filmów, jakie miałem przyjemność obejrzeć w swoim życiu. Tak, to nie pomyłka w druku. Seans tego dziwnego i absurdalnego filmu sprawił mi sporą frajdę. Czy to produkcja tak zła, że aż dobra? Nie do końca. Twórcy naprawdę próbowali nakręcić poważne kino z twistem akcji godnym samego Hitchcocka czy wczesnego Finchera. Mnie jednak film Stevena Knighta przypomina zapomniany dziś hicie lat 90. „Dzikie żądze”.

Oba filmy pozują na kino noir osadzone w upalnym klimacie południa USA. Oba są naszpikowane wielkimi gwiazdami i oba mają przewrótkę narracyjną tak niewiarygodnie szaloną oraz nonsensowną, że aż... magnetyczną. W przypadku „Przynęty” jest to o tyle interesujące, że scenariusz napisał jeden z dzisiejszych najciekawszych scenarzystów Stephen Knight, który odpowiada za teksty do seriali „Tabu” i „Peaky Blinders” czy filmu „Wschodnie obietnice” Davida Cronenberga. Sam wyreżyserował ciekawego „Kolibrę” z Jasonem Stathamem i Agatą Buzek oraz słynny „Locke”. Film z Matthew McConaugheyem i Anne Hathaway miał być wielkim hitem. Skończyło się finansową katastrofą i fatalnymi recenzjami oraz gniewem McConaugheya utrzymującego, że produkcja nie została odpo-

wiednio wypromowana. U nas wychodzi od razu na DVD.

Baker Dill (McConaughy) mieszka w malowniczym, ale dosyć tajemniczym miejscu, wyglądającym jak Key West na Florydzie. On jest zaś tajemniczy jak Humphrey Bogart w „Key Largo” Johna Hustona. Baker to rybak polujący wraz z prawiącym moralę Dukiem (Djimon Hounsou) na wielkiego rekina. Wtedy w jego mozołnie budowanym raju pojawia się była żona o uosobieniu klasycznej femme fatale (Hathaway). Nie chce już żyć z brutalnym Frankiem (Jason Clarke), do którego odeszła, gdy Baker walczył w Afganistanie. Karen chce

śmierci obecnego partnera. W imię dobra dziecka, które ma z Bakerem. Tak się zaczyna opowieść, której twisty wywracają do góry nogami akcje mniej więcej od połowy filmu.

Te przewrótki są na tyle bezczelne i nietypowe, że można je albo przyjąć z pewną dozą zrozumienia przez mądrą wymowę filmu, albo trzeba od razu zbierać z podłogi szczękę, uznając, że „Przynęta” to jeden z najgłupszych filmów, jakie można było nakręcić. Do tego dochodzi problem samego Matthew McConaugheya, który od kiedy dostał Oscara za wspaniałą rolę w „Witaj w klubie”, w każdym kolejnym filmie (wyluczając z tego serial „Detektyw”) jest... Matthew McConaughyem. Już kiedyś wpadł w szufladkę, wcielając się seryjnie w blond przystojniaka o ciele greckiego boga ze zniewalającym teksańskim akcentem. Odmianę przeszedł, szpecąc się do ról w ciekawych i trudnych filmach, jak „Mud” i „Killing Joe”. Potem wyśmiał swój wizerunek w „Magic Mike” Soderbergha i stanął z Oscarem w rękę za rolę chorego na AIDS kowboja. Teraz wpadł do szuflady z napisem: „mroczny i tajemniczy dzik”. Mam nadzieję, że niewypał „Przynęty” spowoduje kolejny pozytywny skręt w jego karierze.



DVD

„PRZYNĘTA”,

REŻ. STEVEN KNIGHT, DYSTR. MONOLITH

Cuchnąca, katolicka Polska



Kino



Młoda dziewczyna (Sandra Drzymalska) zostaje zmuszona przez swojego chłopaka do prostytucji w Niemczech. Udaje jej się w końcu uciec i powrócić do rodzinnego, prowincjonalnego miasteczka w Polsce B. Tutaj czeka na nią jeszcze większy koszmar. Jej rodzina jest bowiem katolicka. A to ma oznaczać, że dom jest przepełniony obłądą, zakłamaniami i zdradą. Ojciec jest tchórzem. Matka (Agnieszka Warchulska) to okropna dewotka, woląca córkę zamknąć w psychusze, zamiast pomóc jej zwalczyć traumę. Ula kiedyś była chlubą rodziny. Śpiewała pięknie w chórze kierowanym przez księdza erotomana i alkoholika (Tomasz Sobczak), ma-

jącego nawet dziecko z własną bratową. Polska B jest brudna, śmierdząca i wszyscy chodzą w niej nawaleni. Nie ma nic o 500+, ale pewnie bierze je po kryjomu nawet „zły klecha”. Żenująco plakatową i szelerszczącą papierem filmową publicystykę nakręciła Magdalena Łazarkiewicz, dającą nam kiedyś takie filmy jak „Ostatni dzwonek” i „Na koniec świata”. Artystka zamieniła się w radykalną publicystkę. Efekt widoczny jest na ekranie tej czarno-czarnej wizji „moherowej Polski”.

„POWRÓT”,

REŻ. MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ,
DYSTR. HOLLY PICTURES

Benedykt XVI przerywa milczenie



Po raz pierwszy po swym ustąpieniu w 2013 r. papież senior zabrał publicznie głos w sprawie kryzysu w Kościele. Za jego główne źródło Benedykt XVI uznaje przeniknięcie postulatów rewolucji seksualnej do wnętrza Kościoła

Dwa tygodnie temu media katolickie na świecie przedrukowały esej Benedykta XVI, który ukazał się w czasopiśmie archidiecezji bawarskiej „Klerusblatt”. Papież senior przerwał milczenie, by zabrać głos w sprawie obecnego kryzysu w Kościele, związanego z nadużyciami seksualnymi popełnianymi przez katolickich duchownych. W pierwszych zdaniach swego tekstu odniósł się do konferencji przewodniczących episkopatów z całego świata, która odbyła się w Watykanie w dniach 21–24 lutego, by przedyskutować ten problem.

REWOLUCJA SEKSUALNA, NIE KLERYKALIZM

Tym, co najbardziej uderza czytelnika po lekturze eseju Benedykta XVI, jest to, że



GRZEGORZ GÓRNY

wspomniany kryzys postrzega on zupełnie inaczej niż hierarchowie zebrani na konferencji w Rzymie. W całym tekście ani razu nie pojawia się np. słowo „klerykalizm”, które w trakcie watykańskiego szczytu było odmieniane przez wszystkie przypadki jako główna przyczyna molestowania nieletnich przez duchownych. Widać, że dla Josepha Ratzingera nie ma to żadnego znaczenia.

Zamiast tego papież senior wskazał inne zjawisko, które uznaje za główne

źródło kryzysu, mianowicie przeniknięcie postulatów rewolucji seksualnej do wnętrza Kościoła. Takich diagnoz na próżno szukać u hierarchów, którzy nadawali ton konferencji w Watykanie, jak kard. Reinhard Marx, kard. Blaise Cupich czy abp Charles Scicluna.

Benedykt XVI przedstawił proces mentalnej kolonizacji Kościoła przez rewolucję seksualną na przykładach tych, którzy porzucili tradycyjne nauczanie Kościoła na rzecz „nowoczesnie pojmowanego katolicyzmu”. Jeden z nich zorganizował np. pokaz filmów pornograficznych dla swych kleryków, by ich rzekomo uodpornić w ten sposób na zachowania sprzeczne z wiarą. Papież senior opisywał, że w niejednym seminarium studenci przyłapani na czytaniu jego książek byli uważani za niezdolnych do kapłaństwa. W re-

zultacie klerycy musieli czytać prace Ratzingera w ukryciu przed swoimi nauczycielami.

Benedykt XVI w kontekście skandali pedofilskich wspominał też o zjawisku, wokół którego podczas watykańskiego szczytu panowała swoista zmowa milczenia, czyli o lobby gejowskim w Kościele. Przyznał, że w wielu seminariach powstały homoseksualne kliki, które – działając mniej lub bardziej otwarcie – znacząco zmieniły klimat w tych placówkach. Wizytacje apostolskie, które tam przeprowadzono, nie przyniosły rezultatów, ponieważ – jak pisze Benedykt XVI – „połączyły się różne siły, by ukryć prawdziwą sytuację”.

Autor przywołał też inne negatywne czynniki mające wpływ na obecny kryzys, o których również nie dyskutowano podczas konferencji w Rzymie. Chodzi o odejście w praktyce nauczania Kościoła od kilku zasadniczych pojęć. Po pierwsze, od prawa naturalnego, czyli niezmienności ludzkiej natury. Po drugie, od etyki absolutnej na rzecz etyki

sytuacyjnej, co oznacza, że nie ma już nic, co byłoby absolutnie dobre lub absolutnie złe, a więc wszystko pozostaje względne i zależne od czasu oraz okoliczności. Po trzecie, od męczeństwa, co znaczy, że nie ma już wartości większej niż fizyczne przetrwanie i zachowanie życia doczesnego. W tej sytuacji nic dziwnego, że doszło do rozpadu chrześcijańskiej koncepcji moralności, załamania autorytetu nauczycielskiego Kościoła oraz kryzysu formacji duchowej w seminariach.

W tekście Benedykt XVI dwukrotnie przywołał postać Jana Pawła II, i to w pozytywnym kontekście. Po pierwsze, encyklika polskiego papieża „Veritatis splendor” stanowiła odtrutkę na relatywizm poznawczy i moralny wsączający się do Kościoła. Po drugie, dzięki dokumentowi „Delicta maiora contra fidem” stało się możliwe usuwanie ze stanu kapłańskiego duchownych odpowiedzialnych za molestowanie nieletnich.

Na najgłębszym poziomie jednak, zdaniem Benedykta XVI, ostatecznym

powodem tego, że pedofilia w Kościele osiągnęła tak duże rozmiary, jest brak Boga. Chrzęścianie, a nawet księża wolą dziś nie rozmawiać o Bogu, ponieważ jest to niepraktyczne. Przestają Nim również żyć. Nie czynią już z Niego fundamentu swego życia ani osobistego, ani wspólnotowego. Zagubili też rozumienie Eucharystii, degradując ją do zwykłego ceremonialnego gestu. Nawet biskupi postrzegają dziś Kościół jako rodzaj aparatu politycznego. Mówią o nim wyłącznie w kategoriach politycznych jak o projekcie, który mogą wymyślić na nowo. „Ale własnoręcznie zmagistrowany Kościół – jak pisze Benedykt XVI – nie może stanowić nadziei”.

GDZIE MY JESTEŚMY?

Reakcje na tekst były rozmaite. Redaktor naczelny „First Things” R.R. Reno przyznał autorowi rację, że rewolucja '68 wtargnęła do Kościoła. Dodał, że połączyła ona dziś także lewicę i prawicę w świecie zachodnim w swoistym

REKLAMA

SALTUS

UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl

eprasa.pl 7e1a859e5a

neoliberalnym konsensie, którego filarami pozostają konsumpcjonizm, hedonizm oraz pragnienie emancypacji. Amerykański dziennikarz Jay McNally odkrył z kolei, że hierarchą, który wyświełtał klerykom filmy pornograficzne, był bp Kenneth Untener w seminarium archidiecezji Detroit.

Niektórzy z komentatorów nie odnieśli się jednak w ogóle do zawartych w esej argumentów, dystansując się zarazem od jego treści. Rzymska dziennikarka Stefania Falasca dała do zrozumienia, że papież senior w ogóle nie powinien się wypowiadać, bo tylko wnosi zamęt do Kościoła. Włoski teolog Massimo Faggioli uznał, że „esej szkodzi niestety wizerunkowi Benedykta, który w swym artykule prezentuje idiosynkratyczną i ograniczoną wizję genezy kryzysu nadużyć oraz stanu wiedzy naukowej na temat tego problemu”. Chiński watykanista Luis Badilla napisał, że papież senior, borykający się z trudną starością i ciężką chorobą, został wykorzystany przez przeciwników Franciszka w walce o władzę, wpływy i karierę w Kościele. Inny watykanista, Gianfranco Svidercoschi, zapytał wprost, czy Joseph Ratzinger jest na pewno zdrowy i czy rzeczywiście napisał swój tekst samodzielnie. Dodał, że esej jest odbierany powszechnie jako krytyka rezultatów watykańskiego szczytu.

Okazało się jednak, że sekwencja wydarzeń była odwrotna. Jak ujawnił włoski publicysta Massimo Franco na łamach „Corriere della Sera”, Benedykt XVI rozpoczął pracę nad swym esejem we wrześniu 2018 r., a więc zaraz po tym, jak Franciszek ogłosił, że zwołuje w Rzymie konferencję na temat pedofilii wśród duchownych. Papież senior zakończył pisanie tekstu jeszcze przed watykańskim szczytem i wysłał go do sekretarza stanu kard. Pietro Parolina.

Intencją Benedykta XVI było to, aby jego tekst został potraktowany jako jeden z głosów w toczącej się dyskusji biskupów. Sam wspominał, że chciał im „ofiarować jedną lub dwie uwagi, aby wspomóc w tej trudnej godzinie”. Okazało się jednak, że 18-stronicowy esej nie

Chrześcijananie, a nawet księża wolą dziś nie rozmawiać o Bogu, ponieważ jest to niepraktyczne. Przestają Nim również żyć. Zagubili też rozumienie Eucharystii, degradując ją do zwykłego ceremonialnego gestu. Biskupi zaś postrzegają dziś Kościół jako rodzaj aparatu politycznego

dotarł do uczestników watykańskiej konferencji. Być może potoczyłaby się ona zupełnie inaczej, gdyby zebrani w Rzymie dostojnicy mieli możliwość zapoznania się z refleksjami papieża seniora, tak bardzo odbiegającymi od narracji dominującej w trakcie ich spotkania. Trudno uznać też jego tekst za atak na urzędującego biskupa Rzymu, skoro składa w nim Franciszkowi gorące podziękowania.

Ponieważ esej pozostał nikomu nieznany, Benedykt XVI zdecydował się upublicznić go za pośrednictwem niszowego czasopisma teologicznego. Jego analiza i diagnozy nie znajdują co prawda odzwierciedlenia w oficjalnych dokumentach będących pokłosiem wspomnianej konferencji, jednak dobrze, że zostały ujawnione. Rzucają bowiem snop mocnego światła na jeden z najbardziej nabrzmiałych problemów współczesnego Kościoła.

Tak uważa m.in. kard. Gerhard Müller, który twierdzi, że niektórzy „chcą uciszyć Benedykta XVI, ponieważ mówi prawdę”. W wywiadzie dla portalu La Nuova Bussola Quotidiana niemiecki purpurat powiedział: „Niestety w Kościele jest wielu ludzi, którzy nie znają alfabetu teologii katolickiej. Wypowiadają się jak politycy, jak dziennikarze, bez znajomości Pisma Świętego, tradycji apostolskiej, Magisterium Kościoła.

Jak można mówić, że papież senior nie ma prawa się wypowiadać o fundamentalnym kryzysie Kościoła? Mamy nawet skandal z takim ateistą jak Eugenio Scalfari, który może bezkarnie głosić własne interpretacje tego, co papież mówi mu na prywatnych spotkaniach, i jest traktowany jako autorytatywny interpretator Ojca Świętego, a zamiast tego taka postać jak Ratzinger powinna się zamknąć? Gdzie my jesteśmy?”

No właśnie: gdzie my jesteśmy?



Więcej energii na to, co ważne

Grupa Energa realizuje rozwiązania dla odbiorców energii elektrycznej, przewidziane przez ustawodawcę.

Ceny prądu w taryfie G za 1 kWh w 2019 roku pozostają na poziomie cen z 2018 r.

STABILNE

CENY

PRĄDU



Energa

T jak tabloid (znów niemiecki)

Mówi się o nim brukowiec, szmatławiec... szmata – ma wymiar poręcznego prostokąta, czyli 40 × 27 cm. Wygodny w czytaniu, w środku sensacja, kryminał, skandal, seks, afery, zbrodnie, opowieści z alkowy celebrytów. Na szpaltach obok – opis krzywdy tzw. ludzi prostych. Krzykliwe tytuły w rodzaju: „Niemowlę ze złotym zębem!”, intensywna grafika, krótkie zdania, język pełen przesady o faktach podkreśnianych, inscenizowanych albo całkiem zmyślonych. Redaktorzy tych „newsów” przypominają kłoszarda w śmietniku. Zanurzeni tkwią w odpadkach i zatęchłych resztkach zdarzeń przerabianych na produkt pierwszej świeżości. Brak tu jakości, smaku i dobrego gustu. Zwulgaryzowany język banalizuje tragedie, przekształca osobisty i intymny smutek w publiczne pranie brudów. Takie są tabloidy na całym świecie. Na tym rynku prym wiodą Brytyjczycy i Niemcy. A jak jest u nas?

Także dominuje podobna, wypracowana przez wielkie zagraniczne koncerny stylistyka. I chodzi o podobne funkcje. Obecnie na rynku są dwa tytuły. Pierwszy – „Super Express”, w 1991 r. wprowadzał na rynek Grzegorz Lindenberga, teraz wydaje go Grupa ZPR Media SA. Jego średnia sprzedaż obecnie niewiele przekracza 100 tys. egzemplarzy. Drugi – „Fakt” – na polskim rynku istnieje od 16 lat: od 2003 r. Wydawany na początku przez koncern niemiecki, a potem z pomocą Szwajcarów, w zamyśle od pierwszego numeru jako kalka niemieckiego „Bilda”. Gazeta przeszła już swoje koleje losu. Przez 11 lat kierował nią Grzegorz Jankowski. Był zaufanym człowiekiem Axela. W okresie 2006–2008 pracował w „Dzienniku” (należącym do Axel Springer), a przed „Faktem” był zastępcą redaktora naczelnego „Newsweeka”, od 2001 r. na polskim rynku (też Axel Springer). Przed pracą z Niemcami zatrudniony w dzienniku „Życie” prowadzonym przez Tomasza Wołkę, a także w dzienniku „Życie Warszawy” i w Programie III Polskiego Radia.

O jego losach jako naczelnego – wszystko na to wskazuje – zadecydowała feralna data: 17 kwietnia 2014 r. Tego dnia w lokalu Amber Room w pałacu Sobańskich odbyło się spotkanie milionera Jana Kulczyka i polityka Platformy Obywatelskiej Pawła Grasia. Nieco ponad miesiąc później Jankowski przestał pełnić swoją funkcję. O tym, że utracił posadę szefa pisma, jego redakcyjni koledzy dowiedzieli się rano 29 maja 2014 r. 1 czerwca zastąpił go już nowy redaktor, Robert Feluś, który też jak Jankowski praco-

wał w gazecie od początku. Kierował wydaniem lokalnymi, w 2007 r. awansował na zastępcę redaktora naczelnego pisma. Wcześniej związany był z „Dziennikiem Polskim”, „Echem Krakowa” i „Super Expressem”.

Gdy Jankowski odchodził, średnia sprzedaż gazety wynosiła ok. 350 tys. egzemplarzy. Do tego poziomu, do chwili obecnej, pismo już nie wróciło. Informacja o spotkaniu Kulczyk–Graś wypłynęła dwa lata później jako odprysk, wraz ze stenogramami jednej z wielu afer związanych z politykami Platformy Obywatelskiej, zwanej „aferą taśmową”. Z nagrań wynikało, że biesiadujący w ekskluzywnej restauracji omawiali „problem »Faktu«”. Gazeta była coraz częściej krytyczna wobec rządu

Donalda Tuska, a lada chwila ruszała kampania wyborcza. Jak tłumaczył Paweł Graś, główny problem stanowiła okoliczność, że „pisiorem jest naczelny. To na pewno. Naczelny »Faktu« – Jankowski. To jest, ja z nim



gadałem parę razy, to jest raz, to jest jeden powód taki, wiesz... mega na tym poziomie najwyższym”. Polityk relacjonował sprawę, informując, że temat już ruszył, choć wciąż nieskutecznie. Jan Kulczyk dopytywał: „A Merkelowa nic tam nie może?”. Graś odpowiadał: „Myśmy gadali z nimi. I tak, i siak”. Kulczyk uspokajał, postanowił użyć swoich wpływów, przede wszystkim podczas spotkania z Friede Springer, wdową po założycielu wydawnictwa, Axelu Springerze. „Ja spróbuję, ja nie obiecuję, Paweł, ale ja wiem, jak do niej dotrzeć, bo to nic innego nie wymyślisz...” – zapowiadał.

Na odejście Grzegorzowi Jankowskiemu uroczystie i solennie podziękowano ustami Ralpha Büchiego, prezesa rady nadzorczej Ringier Axel Springer Media AG, „za ogrom pracy, którą od 2001 r. wkładał w budowanie pozycji Axel Springer Polska, a od 2010 Ringier Axel Springer Polska na polskim rynku mediów [...]”. A w redakcji, można rzec, rozegrała się czystka. Szybko odeszli najbliżsi współpracownicy Jankowskiego. W ciągu kolejnych tygodni w piśmie przestali pracować szef działu wydarzeń i wydań lokalnych Wojciech Biedroń, szef kanału wideo Michał Wodziński, a także wiceprezesa Joanna Niedziela-Dąbrowska i Piotr Bugajski. Był to jeden z najdramatyczniejszych zwrotów w redakcji.

Tymczasem sprzedaż gazety powoli, lecz systematycznie, spadała. Wejście na rynek miała bardzo agresywny. W latach 2004 i 2005, rok po roku, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich przyznało „Faktowi” dwukrotnie tytuł Hieny Roku: „za wyróżnienie się szczególną nierzetelnością i lekceważeniem zasad etyki dziennikarskiej”. „Nagrode”, jeszcze raz za to samo, powtórzono w roku 2009. Gazetę wielokrotnie oskarżano o kreowanie faktów i publikacje oparte na spekulacjach. W redakcji istniał nawet specjalny dział (czy istnieje dziś?) fabrykujący informacje. Czytelnicy mogli śledzić na łamach m.in. historie o zapłodnieniu kobiety przez UFO, o latających krowach, o lądowaniu UFO czy wielorybie płynącym do Warszawy itd. Materiały ilustrowano zdjęciami „świadków” zdarzeń.

Niewypałem w 2007 r. była sprawa publikacji rzekomego listu samobójczego byłych siostr z zakonu betanek z Kazimierza Dolnego. Tekst w całości okazał się fikcyjny. Wcześniej, w 2006 r., inny artykuł naruszył dobre imię redaktora naczelnego „Przeglądu Konińskiego”. Sąd orzekł zadośćuczynienie w kwocie 100 tys. zł. Suma ta wiązała się m.in. z wysokością uposażenia redaktora naczelnego Grzegorza Jankowskiego, które wówczas wynosiło 65 tys. zł.

Nowy naczelny, Robert Feluś, po czterech latach wyleciał z hukiem z redakcji, po publikacji we wrześniu 2018 r. okładowego artykułu „Ojciec wybrał politykę, a syn sznur”. Chodziło o opis samobójczej śmierci syna polityka SLD Leszka Millera. Pozwał on gazetę i redaktora Roberta Felusia. Poruszony komentował publikację: „Najbardziej mnie zdumiewa to, że – tak jak dochodzą do mnie sygnały – ta okładka się bardzo spodobała w zespole »Faktu«”.

Stery redakcji od grudnia 2018 r. przejęła Katarzyna Kozłowska. Obecnie gazeta sprzedaje się w ok. 200 tys. egzemplarzy. Tabloid stał się nieco mniej agresywny, co pewnie niektórych zdziwi, wobec obecnego rządu i jego ministrów. Gazeta otwiera się na konserwatywnych komentatorów, wkracza

w nowy etap zawiadowania uwagą czytelników i budowania nieco odmiennej niż dotychczas narracji o Polsce i Polakach. Prawdopodobnie zbliża się moment trudniejszy, wymagający więcej – jakkolwiek by to brzmiało – wyrafinowania. Za to z niezmienną siłą cepa pismo wytyka wciąż politykom ich pensje i „szalone” premie. Mając na uwadze uposażenie redaktorów „Faktu”, przytyki dotyczące zarobków rządu i posłów wydają się czystą hipokryzją.

Choć sprzedaż „Faktu” spada, Niemcy i ich medialny biznes mają się tu jak nigdy dotąd. Od początku wkroczyli bardzo zdecydowanie i pracują z właściwą sobie, niemiecką precyzją. Dziś mamy tego skutki. Rynek prasy regionalnej od kilku lat w 90 proc. jest w rękach jednego koncernu z Pasawy – Passauer Neue Presse. Całą lukratywną kobiecą i poradnikową prasę zdominowały koncerny Burdy, Bauera, Bertelsmanna. Polski komercyjny rynek radiowy przejął koncern Bauera. Po niemal trzech dekadach koncerny medialne zachodnich sąsiadów we wszystkich segmentach (może poza telewizją) w Polsce i w całej Europie Środkowo-Wschodniej zbudowały własne eldorado. Sam Axel Springer SE jest obecnie właścicielem ok. 150 gazet i magazynów w ponad 30 krajach świata. To ponad 10 tys. zawodowej kadry, roczne obroty sięgające ponad 2,5 mld euro. Niemieckie aktywa medialne w kraju nad Wisłą rosną jak grzyby po deszczu.

Czy na polskim rynku mediów znajdzie się siła, która zatrzyma ten walec?

Hanna Karp

REKLAMA



Odkryj piękno Mierzei Wiślanej.
Nowo otwarty historyczny
Cesarski Dwór – KAISERHOF
zaprasza do Krynicy Morskiej

Luksusowe pokoje i apartamenty.
Prestżowa lokalizacja w bezpośredniej
bliskości plaży i promenady.
Pobyty wakacyjne, imprezy, szkolenia.

Hotel Rooms & Apartments Polaris s.c. Tel.: 690 025 194 570 060 918
e-mail: kontakt@krynicamorska-hotel.pl, www.krynicamorska-hotel.pl

Z samorządowcami o cukrzycy

Problem finansowania służby zdrowia był jednym z najważniejszych tematów dyskusji podczas krakowskiego V Europejskiego Kongresu Samorządów. Uczestnicy debat, korzystając z obecności przedstawicieli resortu zdrowia, z ministrem Łukaszem Szumowskim na czele, chętnie wskazywali na główne trudności związane z ochroną zdrowia. Pytano o to, jak dzielone są środki NFZ między województwa, czy sprawiedliwie traktowane są poszczególne regiony, jak samorządy mają realizować wskazane w rozporządzeniu ministerstwa priorytety zdrowotne, zwłaszcza te dotyczące profilaktyki

Zmniejszenie zapadalności i przedwczesnej umieralności z powodu cukrzycy” to jeden z głównych priorytetów polityki zdrowotnej państwa. Nie powinno zatem dziwić, że właśnie ta przewlekła choroba przyciągała uwagę uczestników i panelistów kongresu. Podkreślano też znaczenie ciekawej inicjatywy w ramach projektu „Razem ścigamy się z cukrzycą”. To ogólnopolska kampania społeczno-edukacyjna zainicjowana przez kluczowe organizacje pacjenckie działające na rzecz osób z cukrzycą. Celem akcji jest zwrócenie uwagi na wczesną profilaktykę, skuteczne leczenie zmniejszające ryzyko rozwoju powikłań, a także rolę edukacji i aktywności fizycznej w kontroli choroby. Mecenasem kampanii jest firma Novo Nordisk, która jako lider w leczeniu cukrzycy od lat aktywnie wspiera działania edukacyjne prowadzone dla tej grupy pacjentów.

Na specjalnie przygotowanym stoisku każdy mógł szybko i bezpłatnie zmierzyć stężenie cukru we krwi i dowiedzieć się, czy nie powinien skonsultować stanu zdrowia ze specjalistą.

Podczas tegorocznego kongresu zaprezentowano też niezwykle interesujący raport „Programy polityki zdrowotnej w zakresie cukrzycy”, opracowany przez Fundację Ekspertów dla Zdrowia. Raport stanowi swego rodzaju poradnik tworzenia programów polityki zdrowotnej, ze szczególnym uwzględnieniem tych dotyczących cukrzycy, a oparty został na wytycznych opracowanych przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). Zawiera on także wykaz wszystkich programów z zakresu cukrzycy, które zostały zaopiniowane przez agencję w roku 2018 oraz przytacza je w dosłownym brzmieniu (w formie załączników).

Podczas krakowskiego kongresu Maciej Wośko rozmawiał z jednym z autorów raportu – dr. Jerzym Gryglewiczem z Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego – pytając, jak skutecznie realizować w lokalnych społecznościach programy profilaktyczne

Panie doktorze, po co sprawdzamy stężenie cukru we krwi?

Jerzy Gryglewicz: Cukrzyca jest chorobą, która w początkowej fazie nie daje żadnych objawów. Jedynym niepokojącym parametrem może być podwyższone stężenie cukru. Wykonanie takiego badania jest o tyle istotne, że wskazuje, czy jesteśmy zagrożeni cukrzycą, czy cukrzycę już mamy. To choroba wykrywana często w sposób przypadkowy, np. w czasie

badan okresowych wykonywanych w ramach medycyny pracy, w czasie pobytu w szpitalu z innego powodu.

Zwykle jest to ten moment, gdy pacjent się dowiaduje, że zapadł na chorobę przewlekłą. A trzeba wiedzieć, że stany przedcukrzycowe, zwane nietolerancją glukozy, można wyleczyć, choćby dokonując korekty stylu życia, zwiększając np. aktywność fizyczną lub wprowadzając zmiany w nawykach żywieniowych.

Bo cukrzyca bezpośrednio wiąże się ze stylem życia – złą dietą, brakiem ruchu. Czy to dlatego do samorządów kierują państwo zaproszenie do zaangażowania się w profilaktykę tej choroby?

Nasz system ochrony zdrowia zakłada, że programy profilaktyki prozdrowotnej finansowane są z budżetów samorządów. Ten rodzaj świadczeń dedykowany jest właśnie samorządom, które powinny dbać o zdrowie



swoich mieszkańców. Są bliżej ludzi. Jakkolwiek to brzmi, zdrowy obywatel to też wymierne korzyści finansowe dla lokalnego samorządu. Aktywny zawodowo mieszkaniec powiatu, gminy czy miasta płaci podatki – PIT, CIT. To wyjaśnia doskonale sformułowanie „inwestycja w zdrowie”.

To jasne, liczba osób zdrowych, aktywnych zawodowo wpływa na finanse samorządu. Stawiam jednak pytanie: czy nie jest tak, że od lat próbujemy się uporać z finansowaniem leczenia, opieki nad osobami chorymi, finansowaniem szpitali, a o profilaktyce trochę zapominamy albo zwyczajnie nas na nią nie stać?

Od wielu lat obserwujemy coraz większą aktywność w działaniach kierowanych do osób zdrowych, które nie czują się chore – to jest profilaktyka. Są programy związane z profilaktyką nowotworów – choćby szyjki macicy czy piersi. Te badania profilaktyczne realizowane są ze środków NFZ od kilkunastu lat. Obecnie coraz więcej programów realizowanych jest w zakresie profilaktyki osteoporozy, chorób serca czy właśnie cukrzycy – chorób, które w początkowej fazie nie dają widocznych objawów. O ile osoba, która czuje się chora, szuka pomocy u lekarza,

o tyle pacjenci nieodczuwający choroby niechętnie się badają. To tendencja panująca na całym świecie. I drugi trend: jeśli programy profilaktyki prozdrowotnej organizuje państwo, zgłaszalność do badań jest niewielka. Ale jeśli realizowane są na najniższym szczeblu – w gminie, programy dają świetne efekty. Dlatego już dwa lata temu Ministerstwo Zdrowia w porozumieniu z ekspertami i samorządami podjęło decyzję o dofinansowaniu ze środków NFZ programów polityki zdrowotnej realizowanych właśnie przez samorządy.

Co wynika z prezentowanego podczas kongresu raportu „Programy polityki zdrowotnej w zakresie cukrzycy”?

Jest on przede wszystkim poradnikiem dla samorządów. Istotne jest bowiem opracowanie przez samorząd profesjonalnego programu i raportu końcowego, w którym zawarte zostaną wyniki programu. Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji ocenia wszystkie raporty i jeśli program nie otrzyma pozytywnej rekomendacji, samorząd nie może go realizować. PPZ muszą być oparte na aktualnej wiedzy medycznej, na wytycznych przygotowanych przez

towarzystwa naukowe w danej dziedzinie medycyny, które określają, jakie „interwencje” powinny zostać zrealizowane. Ustawa bardzo precyzyjnie określa rolę agencji, a także wzory dokumentów, analiz, badań. W przypadku cukrzycy jest pewne ułatwienie, bo przez Ministerstwo Zdrowia została opracowana mapa potrzeb zdrowotnych w zakresie tej choroby, z danymi dla poszczególnych powiatów. To, co jest też ważne i bezwzględnie wymagane, to prowadzenie szeroko zakrojonej akcji edukacyjnej i informacyjnej w mediach, także o danej jednostce chorobowej – by osoby zdrowe miały świadomość zagrożenia. Mobilizacja daje efekty zdrowotne, które oczywiście również należy zbadać w ramach prowadzonego programu.

Choć w przypadku cukrzycy poza samą przewlekłą chorobą mamy do czynienia z niebezpiecznymi następstwami i powikłaniami.

Tak, są one bardzo poważne. Pacjenci z cukrzycą bardzo często zapadają na zawał mięśnia sercowego, dochodzi do udarów mózgu, do utraty wzroku, w końcu też do amputacji kończyn. To elementy, które wpływają na długość życia chorego, ale też na



powstanie niepełnosprawności. Często pacjenci potrzebują opieki osób trzecich, opieki socjalnej. Tymczasem niewielkie środki zainwestowane w profilaktykę cukrzycy i zapobieganie powikłaniom pozwalają budować bardziej aktywne społeczeństwo. Te programy aktywizują też po prostu lokalną społeczność.

Wśród 10 priorytetów zdrowotnych wymienianych w rozporządzeniu MZ zapobieganie cukrzycy znalazło się w pierwszym priorytecie wraz z chorobami układu sercowo-naczyniowego, nowotworami i przewlekłymi chorobami układu oddechowego. Jest pan przekonany, że uda się zmienić styl życia i dietę Polaków dzięki takim programom profilaktycznym?

Podam dwa przykłady, dwa państwa – Stany Zjednoczone i Kubę. W USA odsetek osób chorych na cukrzycę sięga prawie 20 proc. Na Kubie mówimy o 1 proc. To oczywiście wynika z zachowań Amerykanów. Z poziomu cywilizacyjnego i ekonomicznego w USA, a ten przekłada się m.in. na zły styl życia, brak wysiłku fizycznego, negatywne nawyki żywieniowe. Tymczasem na Kubie, gdzie wciąż mamy

kartki żywnościowe i kłopoty z transportem zmuszające obywateli do aktywności ruchowej, paradoksalnie niski poziom życia wpływa na niski poziom zachorowalności na chorobę cywilizacyjną, jaką jest cukrzyca. Wzrastająca liczba chorych w Polsce też wynika z dobrobytu, stajemy się ofiarami własnego sukcesu. Jeszcze 30 lat temu nie każdy miał samochód, a w telewizji były dwa programy. Ba, żeby z kimś porozmawiać, trzeba było się do niego pofatygować, bo nie mieliśmy telefonów. Zmienia się poziom cywilizacyjny – rośnie liczba chorych na cukrzycę. Profilaktyka może temu zapobiec, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży.

Mieliśmy wielką kampanię i debatę dotyczącą żywienia w szkolnych sklepikach.

Tak. Dobrze, że została wywołana. Ale trzeba walczyć ze zwolnieniami z WF-u, zwracać uwagę podczas zakupów na menu, promować sport. Mamy problemy z uzależnieniami dzieci od komputerów i komórek – to też ogranicza aktywność ruchową. I dopiero kolejnym etapem jest wykrywanie cukrzycy. Zakłada się, że w Polsce jest prawie milion osób niemających

świadomości, że są chore. A trzeba powiedzieć, że z cukrzycą można żyć, ale trzeba ją odpowiednio kontrolować. Problem społeczny dotyczy cukrzycy typu 2 – musimy podjąć kompleksowe działania w celu ograniczenia liczby potencjalnie zagrożonych obywateli i równocześnie leczenia chorych.

Szacunki wskazują na 8 proc. Polaków. Co już udało się zrobić i na jakie efekty tych programów państwo liczą?

To ważne pytanie, bo do niedawna nikt nie mierzył efektów prowadzonych programów zdrowotnych. Dopiero od roku, zgodnie z rozporządzeniem ministra, każdy program zdrowotny musi zawierać raport końcowy. W przypadku cukrzycy będziemy oczywiście badać liczbę pacjentów, u których wykryto chorobę. Miernikiem może być liczba zawałów, udarów czy amputacji kończyn – czy te dane spadły w danej populacji w wyniku prowadzonej akcji. Możemy to dosyć dobrze zmierzyć w skali szerszej populacji, w ciągu kilku lat, zwłaszcza w społeczności lokalnej. Dzięki temu możemy zyskać poczucie, że uratowaliśmy kogoś od choroby, ciężkich powikłań i w konsekwencji śmierci.

Jak dopaść odpady?

Jesienią polskie samorządy ogłoszą i rozstrzygną przetargi na prowadzenie gospodarki odpadami, która – dzięki rosnącym normom unijnym – staje się coraz bardziej zyskownym przedsięwzięciem. Do podziału w Polsce jest rynek, który szacuje się dziś na ponad 7 mld zł, a stały przyrost jego wartości rok do roku wynosi 12 proc. W tej branży nie ma kryzysów, a tak gigantyczne środki do podziału sprawiają, że mamy już pierwsze odłony prawdziwej wojny o wizerunek firm trudniących się odbiorem i przetwarzaniem odpadów

Z punktu widzenia spółek zajmujących się gospodarką odpadową najbardziej atrakcyjnymi rynkami są duże aglomeracje. Widać to wyraźnie na przykładzie danych Głównego Urzędu Statystycznego za 2017 r., który wyliczył, że w Polsce średnio na głowę mieszkańca jest produkowanych 312 kg odpadów, ale jedynie 222 kg przypadają na mieszkańca wsi i aż 371 na mieszkańca miasta. Najwięcej odpadów na głowę produkują średnio mieszkańcy województwa dolnośląskiego – 374 kg rocznie.

Wartość „śmieciowego” rynku samej stolicy województwa dolnośląskiego – Wrocławia – będzie określona w jesiennych przetargach na ok. 250 mln zł. Do walki o te pieniądze staną spółki, które będą w stanie zabezpieczyć regularny odbiór odpadów od mieszkańców, a także doprowadzić do osiągnięcia narzuconego od 2020 r. poziomu 50 proc. odpadów poddawanych recyklingowi. Sprostanie tym wymogom będzie bardzo trudne, zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, że dziś poziom ten w Polsce wynosi ledwo 20 proc. Wzrost wymogów pociągnie oczywiście za sobą konieczność podwyżki kosztów obsługi gospodarki odpadami, co z kolei sprawi, że rynek stanie się jeszcze bardziej atrakcyjny dla funkcjonujących na nim firm.

WOJNA O ŚMIECI

Wzrost atrakcyjności rynku niestety ma też swoje ciemniejsze oblicze. To właśnie Wrocław stał się areną pierwszej brutalnej odłony walki o pozycję przed jesiennymi przetargami. Konkretnie trwa próba wyeliminowania z rynku jednego z największych graczy, międzynarodowego koncernu ALBA, który prowadzi działalność we Wrocławiu pod marką WPO ALBA SA.

– Jako spółka doświadczyliśmy w ostatnim czasie bezprecedensowego ataku medialnego na nasz wizerunek, składającego się z pomówień, którego początek wiązał się z pożarem nielegalnego składowiska odpadów znajdującego się w pobliżu naszej siedziby – mówi Krzysztof Gruszczyński, prezes Zarządu ALBA Polska Sp. z o.o. – Ponieważ sami byliśmy bezpośrednio zagrożeni przez pożar, zdecydowaliśmy się udzielić strażakom wszelkiej pomocy, w tym sprzętu, aby poradzić sobie z tym problemem. Jakież było nasze zaskoczenie, gdy się okazało, że pomoc przy likwidacji pożaru, a także wielokrotne starania naszej spółki o zapobieżenie istnieniu



Fot. Shutterstock

takich nielegalnych wysypisk zostały wykorzystane przeciwko nam w przekazach medialnych.

Firmie ALBA zarzucono niewłaściwe gospodarowanie odpadami, brak segregacji i obarczono ją odpowiedzialnością za pożar, mimo że doszło do niego poza terenem dzierżawionym przez spółkę. Jednocześnie poczynania pracowników firmy ALBA zostały poddane iście szpiegowskiemu nadzorowi z wykorzystaniem dronów, nadajników GPS (które miały śledzić trasy śmieciarek), a nawet... pracowników agencji detektywistycznych, którzy starali się dowieść niezgodnych z prawem działań.

Tymczasem – jak podkreślał w rozesłanym do mediów oświadczeniu prezes Gruszczyński – tylko w 2018 r. w spółce przez 87 dni trwały kontrole, które nie wykazały żadnych uchybień ani nadużyć w gospodarce odpadami. Ponieważ jednak zaangażowane po stronie konkurencji firmy ALBA media pozostawały głuche na jakiegokolwiek żądania publikacji sprostowań, sprawa trafiła do sądu.

CZEKAJĄC NA PRZETARG

– Działania te były inspirowane przez jednego z naszych konkurentów. Będziemy bronić naszego dobrego imienia na drodze prawnej. Jestem pewien naszych racji i jestem spokojny o werdykt. Dziwię się natomiast, że gra rynkowa może przybrać aż tak drastyczne formy i że można do niej używać metod opartych na łatwych do obalenia kłamstwach i pomówieniach – dodaje prezes Gruszczyński.

Warto śledzić dalszy bieg wypadków na „wojnie” o wrocławski rynek odpadów i sprawdzać, czy do podobnych zdarzeń nie zacznie dochodzić także w innych dużych miastach w Polsce, w miarę zbliżania się rozstrzygnięć przetargowych.

Często żartuję, że choć kuchnia jest najważniejszym pomieszczeniem w moim domu, wolę smakować, niż gotować – deklaruje Katarzyna Dowbor w książce „Apetyt na życie”, która 24 kwietnia trafi do czytelników. Jednocześnie pokazuje, że i gotować po trafi smakowicie.

W rozpisany na wiele rozdziałów „poradniku dojrzałej kobiety” – jak reklamuje książkę wydawca – w toczącej się płynnie opowieści o życiowych doświadczeniach (i wynikających z nich wnioskach), wśród bezpośrednich zwrotów do czytelniczek, które autorka traktuje serdecznie, jak zaproszone do domu dobre znajome, znalazło się też miejsce na kulinarne opowieści.

„Zamiłowanie do dobrego jedzenia odziedziczyłam po tacie, który był naszym szefem kuchni i prawdziwym smakoszem” – przyznaje autorka. „Ojciec w ogóle uwielbiał przebywać w kuchni, gdzie miał zwyczaj czytać, siadając przy wąziutkim stole. To był jego azyl. Potrawy, które »przy okazji« wychodziły spod jego ręki, były mistrzowskie. Dania te nie należały co prawda do najłżejszych – tata był poznaniakiem i miał niemieckie korzenie, ale jako dziecko uwielbiałam jego potrawy”.

Wśród kulinarnych wspomnień na pierwszym miejscu staje zupa pomidorowa. Z prawdziwych pomidorów – gęsta, aromatyczna, podawana z ryżem. Rozrzewnienie budzą zrazy wołowe (z buraczkami i kaszą gryczaną). Przypominają się też stawiane codziennie pod drzwiami dwie butelki mleka – chudego ze srebrnym kapslem i tłustego ze złotym. „Ojciec wlewał tłuste mleko do wielkiego słoja i po pewnym czasie zbierał z niego śmietanę. Reszta mleka zsiadała się i była przerabiana na pyszny ser twarogowy” – opowiada pani Kasia.

Za sprawą wychowanej we Francji mamy (i dojszciom taty zoologa) w rodzinnym menu pojawiały się też bynajmniej nie peelerowskie dania. Na przykład ślimaki. Szkolnym koleżankom Kasia nie chwaliła się jednak takimi nietypowymi potrawami, bo – jak tłumaczy – i tak uchodziła za odmienca.



Fot. Wojciech Olszanek, Shutterstock

Kulinarne skrzydła rozwinęła dopiero po urodzeniu córki, gdy miała już za sobą lata wypełnione rozwijaniem telewizyjnej kariery, w którą próbowała wpasować pierwsze macierzyństwo. Dzięki Marysi zwolniła, znalazła czas, by odnaleźć m.in. przyjemność w gotowaniu. Przy czym do dziś stawia na potrawy łatwe w przygotowaniu, ale też dające pole do własnej inwencji. Tu sprawdza się kuchnia włoska, którą autorka poznawała w zaprzyjaźnionych włoskich domach.

Nauczyła się tam m.in. używania tylko dobrej jakości oliwy z oliwek. Dodatkowo ją uszlachetnia, przelewając do butelki o grubszej szyjce, dokładając obrane ząbki czosnku i świeże zioła. Najczęściej te, które akurat ma w ogródku.

Znajoma, żona byłego ambasadora Włoch, przekazała jej zwyczaj „rozmaiwania” z makaronem. Od momentu wrzucenia do wrzątku, aż do chwili

odlania na sitko, nie odstępowała garnka. Dzięki temu zawsze uzyskuje efekt al dente.

Włoska kuchnia oznacza dla Katarzyny Dowbor dużą dowolność, więc sosy do makaronu robi wedle fantazji oraz tego, co ma pod ręką – a to z cukinii, innym razem z duszonych pomidorów czy z tuńczyka. W lodówce zawsze ma kawałek parmezanu zawinięty w folię (by nie obsychał). Ściera go na chwilę przed podaniem.

Dziś jej popisowym daniem są kremetki. Spróbowała ich pierwszy raz, gdy miała 20 lat. Odwiedziła wtedy tatę, który dostał pracę na uniwersytecie w Algierii. Podczas uroczystej kolacji zamówił dla niej owoce morza. Jej opór wzbudziło „coś, co jeszcze na talerzu ma oczy i wąsy”. Przełamała się jednak i dzięki tamtej kolacji nauczyła, że zawsze warto próbować. Również nowych smaków.

Jolanta Gajda-Zadzworna

Makaron z cukinią

Składniki: czosnek, cukinia, sól i pieprz, oliwa, łyżka śmietany, makaron, parmezan.

Wykonanie: „To również moja wariacja na temat kuchni włoskiej – zaznacza Katarzyna Dowbor – bardzo smaczna i szybka. Podgrzej trochę oliwy, na niej czosnek i kiedy po domu rozejdzie się piękny aromat, dorzuć startą na grubej tarce cukinię. Dodaj sól i pieprz, duś przez 2–3 minuty, a na koniec dołóż łyżkę śmietany, która sprawi, że sos zrobi się gęsty i kremowy. Na koniec dorzuć ugotowany al dente makaron, zetrzyj parmezan. Proste, pyszne i zdrowe”.



Bądź jak Daniel

ANNA MONICKA

Swięta wielkanocne poprzedza 40-dniowy post. Dlaczego musi trwać akurat tyle dni? 40-dniowe pokuty lub ascezy znane były od dawna. Nie tylko Jezus pościł przez 40 dni, kuszony przez diabła na pustyni. Tyle też trwał potop, oczyszczający ziemię z grzechów, a naród wybrany 40 lat wędrował po ucieczce z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Czterdziestka – dni czy lat – znana jest od czasów biblijnych. Dziś możemy się zastanawiać, jakie znaczenie miał taki post.

Leczenie głódówkami, w których organizm zjada wraz z tłuszczem wszystkie nagromadzone latami toksyny, też ma długą tradycję, a i dziś zalecają ją lekarze. W ortodoksyjnej wersji pije się tylko wodę, a w bardziej kontrolowanej – nie je mięsa ani nie pije wina, wzorem młodzieńca Daniela, który żył na dworze króla Nabuchodonozora II i raz przez dziesięć dni, a raz przez trzy tygodnie odmawiał odżywiania się na bogato. Jadł tylko jarzyny i pił wodę, a do historii przeszedł dlatego, że w zdrowiu dożył setki.

Zaraz, zaraz, ale dlaczego ja wciąż o postach, skoro już po świętach? Ano dlatego, że w trzy dni każdemu przybyło pewnie w pasie kilka centymetrów. Poza tym post rytualny to jedno, a zdrowotny – drugie. I ten zdrowotny powinien się zacząć po wielkim rodzinnym obżarstwie. Dopiero teraz rusza czas sezonowych warzyw, spowolniony przez kilkudniowe przymrozki w środku kwietnia. Można więc wziąć się za siebie i bez drastycznych głódówek zrzucić kilka kilogramów, odzyskując lekkość i dobre samopoczucie.

40-dniowy post Daniela polega na jedzeniu warzyw i owoców z małą zawartością białka i węglowodanów, a dostarcza przecież 600 kalorii dziennie. To nie tak źle. Nie musimy się zresztą katować aż tyle dni. Może wystarczy 21 dni albo siedem, jeśli oszczędzaliśmy wątrobę w święta?

Co więc wolno? Marchew, buraki, seler, pietruszka, rzodkiew, rzepa, kalarepa – w każdej postaci. Jabłka, grejpfruty i cytryny – także. Do tego świeże zioła, takie jak majeranek czy kminek. Do picia woda i napary ziołowe z mięty, rumianku, tymianku. Unikamy roślin strączkowych i ziemniaków, a także bardzo słodkich i kalorycznych owoców, takich jak na przykład winogrona czy banany.

Polecam zwłaszcza warzywa pieczone – posypane curry i podlane octem balsamicznym. Bukiet tego, co dozwolone, ale okraszone dobrymi przyprawami smakuje tak dobrze, że z przyjemnością pościmy. Koniecznie dorzućcie do brytfanny pierwsze szparagi – nasze z polą już są. Chociaż zawierają białko, są to wybitnie niskokaloryczne warzywa (tylko 18 kcal w 100 g), które przy okazji oczyszczają nerki i regulują pracę jelit. Smacznego!

Małże i Księżyc

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Nasi przodkowie korzystali z mięczaków jako źródła pożywienia już od czasów najdawniejszych. Kiedy człowiek zjadł pierwszego ślimaka lub małża, nie wiadomo. Odnaleziono jednak liczne, gromadzone podczas uczt kolejnych pokoleń, stopy muszli małży np. z rodzajów ostryga *Ostrea*, sercówka *Cardium* oraz omulek *Mytilus*, piętrzące się przy osadach ludzkich z epoki kamiennej. Nie tylko zresztą tych gatunków, jednak morskie małże mają w tej historii szczególne znaczenie.

Do wspólnej historii ludzi i mięczaków należy dołączyć Księżyc. Z jednej strony ten naturalny satelita Ziemi był kluczowy dla zbieraczy morskich mięczaków; z drugiej zaś poznanie aspektów diety naszych przodków wskazuje na jedno z możliwych wyjaśnień odwiecznej fascynacji ludzi Księżycem. Fascynacji równie niezaprzeczalnej, co trudnej do racjonalnego wytłumaczenia. Chociaż bowiem od tysięcy lat filozofowie, badacze, medycy i astronomowie przypisywali Księżycowi przemożny, niemal magiczny wpływ na człowieka, jego psychikę i organizm, jak dotąd nie udało się tego wpływu potwierdzić. Co więcej – wiele wskazuje na to, że wpływu takiego raczej nie ma. Jednym z wyjątków, kiedy wpływ ten wydaje się widoczny, wyjątkiem specyficznym i tym bardziej ciekawym, iż zamiast do sfer lunarno-magicznych odwołuje się do zjawisk istotnych w życiu ludzi już od czasów prehistorycznych, jest kwestia odżywiania się morskimi mięczakami. Według niektórych badaczy obserwacje faz Księżyca i przypisywanie mu wielkiej mocy mogło się zacząć w niezmiernie odległych czasach epoki kamiennej.

Jak twierdzi amerykański archeolog Curtis Marean, rola morskich mięczaków w wyżywieniu ludzi wzrosła, kiedy wewnątrz kontynentu stało się suche i niegościnne. Dla niewielkich populacji ludzi, odizolowanych od siebie na odległych punktach wybrzeża, którzy musieli zbierać jedzenie na odsłaniającym się morskim dnie, obserwacje Księżyca, a raczej obserwacje cyklicznych, wywoływanych przez niego przypliwów i odpływów były niezwykle ważne. Kto nie orientował się w ruchach wód (a więc ten, kto nie obserwował Księżyca) – tonął. Kto zaś potrafił zdobywać pożywienie dzięki umiejętności interpretacji zależności Księżyc-wody morskie, przeżywał.



Fot. Shutterstock (x2)

Biało-czerwoni w swoim korowodzie

Dziś, dzięki Bogu, krwi przelewać nie musimy, ale walczyć o Polskę – niestety tak. W mediach i na forach międzynarodowych, ale przede wszystkim w głowach i sercach Polaków. Także naszych rodzin, naszych sąsiadów. Wielu z nich dało sobie wmówić, że polskość to zakurzony, zbędny bibelot, do fajnego życia zbędny



ale odkupiony ofiarami tysięcy, setek tysięcy powstańców obojga płci oraz wszystkich, którzy na różne sposoby o utraconą Polskę walczyli.

Dziś, dzięki Bogu, krwi przelewać nie musimy, ale walczyć o Polskę – niestety tak. W mediach i na forach międzynarodowych, ale przede wszystkim w głowach i sercach Polaków. Także naszych rodzin, naszych sąsiadów. Wielu z nich dało sobie wmówić, że polskość to zakurzony, zbędny bibelot, do fajnego życia zbędny. Ale też niektórzy z nich – zapatrzonych w matkę naturę – przekonują się, że nawet silne jednostki wyrwane ze swej gleby szybko zamieniają się w zwidłe ochłapy. Wielu Polaków wie, że są szczęściami. Byleby czerpali ze źródeł, byleby zrozumieli, że polskość ich upiększa, wzmacnia i wyposaża na drogę w nowoczesność.

W organizację Biało-Czerwonego Korowodu zaangażował się Instytut Muzyki i Tańca oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Mamy też dwóch sponsorów. Pierwszy to Orlen SA, a drugi – Jadwiga Broma z Warszawy. Pani Jadwiga ma 87 lat. Jej ojciec Jan Broma w roku 1919 jako 19-latek zgłosił się „do naboru”, został przeszkolony w Łazienkach warszawskich. Po trzech miesiącach, już jako ułan, został wysłany na front, by bronić Polski przed bolszewicką nawałą. 20 sierpnia 1920 r. jego oddział starł się z armią konną Budionnego. Gdy koń pod nim padł od kul, on otrzymał dwa cięcia szablą w głowę. Stracił przytomność na wiele dni, cudem przeżył. Dziś jego 87-letnia córka w Biało-Czerwonym-Korowodzie sponzoruje paradę chorągwi polskich. Dziękuję, Pani Biało-Czerwona Jadwigo. **Maciej Pawlicki**

W dobrej sprawie upór ma sens. Niedawno opisałem tu pomysł radosnej patriotycznej parady, na której cieszyć się będziemy, żeśmy Polakami. Ale opis skończyłem znakiem zapytania, czy Biało-Czerwony Korowód w ogóle wyruszy, czy uda się pokonać tysięczne trudności. Dziś wiemy już, że się uda, że 2 maja Biało-Czerwony Korowód przez Warszawę przejdzie. Trudności opisywać nie będę, bo lubię komendę: „Zadanie wykonać, o trudnościach nie meldować”. Mam poczucie, że właśnie taki rozkaz dostałem. W gronie kilkorga entuzjastów, wśród których jest kolega z łamów Janek Pospieszalski, rozpędzamy wydarzenie, które ma szansę stać się ważnym spotkaniem Polaków w sprawie Polski. Czyli w swojej własnej sprawie, bo poczucie przynależności do pięknej wspólnoty wzmacnia, buduje, daje nadzieję i napęd na cztery koła. Wspólnoty pięknej duchowo i pięknej artystycznie, pięknej w różnorodności i wielowiekowej tradycji. Jak ocenił nasz pomysł inny kolega z łamów Darek Karłowicz, „Biało-Czerwony Korowód to nadawanie formy polskości”. To właśnie robimy 2 maja na Krakowskim Przedmieściu. Czyli tam, gdzie tyle się w polskiej sprawie wydarzyło – i dobrego, i złego.

Niszczenie w Polakach ducha wspólnoty trwa od 300 lat i na nowo od 30 lat. Od pruskiego Fryderyka do wybor-

czego Adama wmawiają nam wstyd, kompleksy, gorszość i ustawiają w niemieckich i brukselskich przedpokojach w pozycji usłużnie zgiętej i błagającej o protekcyjne poklepanie. Szczytem marzeń ma być wolność ucieczki z domu, u obcych pucowanie garów i bycie poklepanym przez brukselskiego alkoholika. Wmawia się nam, że mamy od polskości uciekać, wyzwalać się, a może nawet myć się z niej. Obrzydliwe, ale ta maszyna działa z nieubłaganą konsekwencją. Polskojęzyczne, ale antypolskie media codziennie przynoszą setki takich tekstów i impulsów.

I właśnie w takim pejzażu rusza Biało-Czerwony Korowód – wielka, spontaniczna, radosna, nieoficjalna, oddolna i regionalna manifestacja dumy z polskości. Pewnie jakiś gender-osobnik zapyta: a właściwie po co nam ona, owa polskość? Więc mu odpowiadam z troską, że nie rozumie: w globalnym świecie, gdzie w sekundę możemy być w Andach, Himalajach, w sercu Afryki, czy mieście Świętego Franciszka (San Francisco), wmawia się nam, że ideałem nowoczesności jest nieprzynależenie nigdzie. A nam wydaje się, że przynależenie ma głęboki sens, daje stabilność i siłę. A już zwłaszcza przynależenie do tak pięknej zbiorowości jak Polacy, jak Polska. Nasza historia jest pasmem triumfów moralnych, kulturowych, państwowych i militarnych. Potem nastał czas dominacji błędów, siebiepaństwa i egoizmu,

Selfie z Żubrem

Autoportrety to już nie tylko dowód na narcyzm lub umiejętność służąca zarabianiu w sieci. Twoje zdjęcie to dziś sposób na wiarygodne zdalne potwierdzenie tożsamości. Gdy technologie i trendy zmieniają się jak w kalejdoskopie, nadążają za nimi tylko firmy najbardziej uważne i gotowe na zmiany dla dobra swoich klientów

Kilka lat temu „bankowanie” oznaczało wizytę w stacjonarnym oddziale i zlecenie złożone na ręce pani w okienku. Bankowość elektroniczna uprościła nasze życie. Ale dopiero bankowość mobilna pozwoliła na pełną i ciągłą kontrolę naszych finansów. A zmianom nie ma końca...Klienta zdobędzie ten, kto w cyfryzacji widzi przyszłość i odważnie sięga po dostępne narzędzia, nadając im nowe znaczenie i funkcję.

– Niedawno rozpoczęliśmy dynamiczne prace nad cyfrową transformacją Banku Pekao. Po kilkunastu miesiącach intensywnych działań nastawionych na innowacyjność, modernizację i efektywność możemy już się porównywać z największymi instytucjami finansowymi na świecie. Nie chcemy jednak na tym poprzestać. Zależy nam zarówno na zadowoleniu naszych obecnych klientów, jak i pozyskiwaniu nowych. Wierzymy, że wprowadzane innowacyjne rozwiązania odpowiedzą na zmieniające się potrzeby rynku i potwierdzą naszą mocną pozycję w polskim systemie bankowym – mówi Michał Krupiński, prezes zarządu Banku Pekao.

Bank Pekao stale udoskonala swoją aplikację mobilną PeoPay. Nowi użytkownicy mogą się stać klientami banku za pomocą... selfie! Koniec z pośrednictwem konsultanta – w okienku czy za pomocą wideocztu. Teraz wystarczy wypełnić w aplikacji prosty wniosek, a weryfikacja tożsamości zostaje przeprowadzona za pomocą selfie i dowodu osobistego – w pełni on-line.

– Bankowość mobilna to teraz niejakoś, ale i przyszłość całego sektora bankowego. Klienci oczekują coraz



nowszych i bardziej innowacyjnych rozwiązań. My takie rozwiązania im dajemy. Nasze innowacje są odpowiedzią na oczekiwania klientów, ponieważ to właśnie we współpracy z nimi je wypracowujemy – mówi Marek Tomczuk, wiceprezes zarządu Banku Pekao, odpowiedzialny za bankowość detaliczną.

Zdobyty świeżo klient się nie zawiedzie. Bank Pekao oferuje wypłaty zbliżeniowe w bankomatach za pomocą PeoPay. Dodatkowo użytkownicy aplikacji banku nie muszą już przepisywać kodu otrzymanego SMS, aby zatwierdzić transakcje w bankowości internetowej. Od teraz autoryzacja jest dokonywana bezpośrednio w aplikacji bankowości mobilnej. Już wcześniej Pekao, jako pierwszy bank w Polsce, wprowadził autoryzację transakcji do 200 zł za pomocą odcisku palca lub Face ID. Kolejne ułatwienie czeka także użyt-

kowników systemu Blik. Klienci Pekao mogą już realizować płatności powtarzalne Blik. Usługa ta pozwala szybciej zrealizować comiesięczne płatności – np. rachunek za telefon.

– Cyfrowa transformacja w Pekao to działania zmieniające bank w wielu obszarach. Wszystkie nowości, które oferujemy naszym klientom, realizują jeden zasadniczy cel: chcemy, by korzystanie z usług banku – niezależnie czy jest to smartfon, komputer czy oddział – było szybkie, wygodne i przyjazne dla klienta – mówi Bartosz Zborowski, dyrektor Departamentu Innowacji i Płatności w Banku Pekao SA.

W ostatnim czasie Bank Pekao udostępnił również nowy, innowacyjny proces umowy o terminal płatniczy, dzięki któremu przedsiębiorca wybrany przez siebie terminal od razu odbierze w placówce banku. Kluczowe jest zapewnienie klientom serwisu na najwyższym poziomie, w tym m.in. skrócenie czasu od podpisania umowy do momentu umożliwienia przyjmowania płatności. W związku z tym bank wprowadził nowy model dystrybucji terminali płatniczych, polegający na możliwości odbioru terminala w oddziale zaraz po podpisaniu umowy. Klient dostaje następnie SMS z kodem aktywacyjnym, który pozwala na aktywację urządzenia i rozpoczęcie akceptacji płatności za pomocą terminala.

Cały proces przygotowania i akceptacji umowy zajmuje mniej niż 10 minut. Obecnie terminale można odebrać już w ponad 260 oddziałach banku, czyli wszystkich obsługujących klientów Biznes.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Po Notre Dame

Jestem sceptyczny, jeśli chodzi o zapewnienia francuskiego prezydenta dotyczące odbudowy katedry



www.wojciechreszczyński.pl

Prof. Wojciech Roszkowski, do którego monumentalnej pracy „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej” zająłem, gdy tylko na ekranie zobaczyłem ogień w katedrze Notre Dame, przypomina, że do dziś nie usunięto we Francji zniszczeń powstałych po wielkiej rewolucji 1789 r., mimo restauracji monarchii i panowania dwóch cesarstw. Nie odbudowano Kaplicy Świętej ufundowanej w XIII w. przez Ludwika IX Świętego. To tam pierwotnie przechowywano relikwię korony cierniowej Chrystusa. Rewolucjoniści, prekursorzy idei dzisiejszych „wartości europejskich”, na które ciągle powołuje się prezydent Emmanuel Macron, zamienili Kaplicę Świętą w magazyn mąki, a katedrę Notre Dame w muzeum rozumu. Właśnie tego rozumu zabrakło Francuzom, gdy przystępowali do remontu katedry, skoro spłonęła nagle niczym zapalka. Nie odbudowano też założonego w 910 r. benedyktyńskiego opactwa w Cluny, największego wówczas klasztoru w Europie, zakonu, który wywarł największy wpływ na świat chrześcijański. Podobny los spotkał wiele innych obiektów sakralnych.

Jestem sceptyczny, jeśli chodzi o zapewnienia francuskiego prezydenta dotyczące odbudowy katedry. Dlatego że Francuzi, w swojej olbrzymiej wielkości, już dawno wyrzekli się wiary chrześcijańskiej. Jeszcze papież Jan Paweł II w 1985 r., wręcz dramatycznie, próbował coś zmienić, mocnym głosem wołając: „Francjo! Najstarsza córa Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?”. A Francuzi, ci od kultury, mediów, polityki, równości, wolności, tolerancji, multikulti itd., itp., czyli elity, byli oburzeni tymi słowami,

wszak od czasów rewolucji francuskiej są szczególnie dumni ze swojej laickości, z wyzwolenia się od miazmatów religii. Francuskie kościoły opustoszały, bo zabrakło wiernych. Wiernych zabrakło, bo zbyt długo państwo walczyło z Kościołem. A Kościół, duchowni francuscy, podobnie jak większość społeczeństwa, zamiast dumnej przeszłości wybrali życiową łatwiznę, która nic nie kosztuje. W pełni odbudowana i zapelniona turystami katedra Notre Dame nie sprawi, że chrześcijaństwo we Francji zacznie się odradzać. Jest ono w całkowitym zaniku, dodatkowo zagrożone przez wielomilionową diaspore islamską, która nie wypiera się swojej wiary i która nie kryje satysfakcji z tego, że w centrum Paryża spaliła się najsłynniejsza świątynia katolicka. Jest więc oczywiste, że strażacka ekspertyza, policyjne dochodzenie i polityczne decyzje w tej sprawie już zamykają się w konkluzji o „przypadkowym” zaproszeniu ognia podczas prac remontowych. A takich „zaproszeń” było we Francji tylko od początku lutego tego roku aż 12.

Miotający się w swojej polityce sprzeczności prezydent Emmanuel Macron zjawił się natychmiast na wieść o pożarze. Uderzył w narodowe tony – „nasza historia”, „nasza literatura”, ale nie zauważył tego, co przez wieki stanowiło istotę narodu, choć pewnie musiał się tego uczyć w jezuickim liceum. Chrześcijaństwo i wspólną wiarę określił jako „nasz świat wyobrażony”. Taki „wyobrażony świat” musiał zapewne dominować na forum Parlamentu Europejskiego w chwili, gdy płonęła katedra, gdyż tylko jedna eurodeputowana z Francji zabrała głos, pełen łez i wzruszenia. Reszta, jak zauważył poseł Jacek

Saryusz-Wolski, kontynuowała obrady na temat reformy bankowej.

W trąby narodowe zadął też Donald Tusk. Winniśmy w całej Europie solidaryzować się z „narodem francuskim”. Jak to więc jest z tym „narodem”? Naród jest w porządku, tylko nacjonalizm jest zły? A czy może istnieć naród bez nacjonalizmu, więcej, naród walczący z własnym nacjonalizmem?

Prezydent Francji niczego się nie nauczył, no może poza bankowością. Na wiecu w Reims, kiedy jeszcze się starał o prezydenturę, mówił: „Partie nacjonalistyczne nic nie rozumiały. To, co głoszą, jest sprzeczne z ideami republiki. Pomiędzy ciasnym nacjonalizmem a błogosławionym multikulturalizmem jest jeszcze francuski duch. I to właśnie ten duch to jest patriotyzm”.

Macron powtarza w kółko „europejskie wartości”, Wolność, Równość i Braterstwo, hasła z rewolucji francuskiej, a to równocześnie dewiza francuskiej masonerii. Nie wymyślił nawet nazwy własnej partii politycznej – En Marche (pol. Naprzód!), która wyniosła go do władzy.

Fragment refrenu „Marsylianki”: „Do broni bracia dziś. Zewrzyjcie szyki wraz. I marsz, i marsz. By ziemię krwią napoić, przyszedł czas”.

I nasza dewiza narodowa – Bóg, Honor, Ojczyzna – o której już tu pisałem. Troszcząc się o polskie katolickie świątynie, pamiętajmy: „Polski nacjonalizm, jak pisał Henryk Sienkiewicz, nie tuczył się nigdy cudzą krwią i łzami, nie smagał dzieci w szkołach, nie stawiał pomników katom [...]”. Tylko nikczemne i złośliwe indywidua lub absolutni głupcy mogą porównywać polski nacjonalizm z hakatystycznym nacjonalizmem niemieckim lub czarnosecinnym rosyjskim”. 

Etos pracy, etos pieniądza

Niegdyś cechy rzemiosł bardzo dbały o fachowość i poziom usług. Czasem nawet za bardzo. Terminujących u mistrza uczniów poddawano takim szykanom, że sam akt promocji na czeladnika nazwano... „wyzwoleniem”! Efekty pracy dawnych rzemieślników (od kowali, stolarzy, szkutników po budowniczych katedr) do dziś budzą podziw. Szacunek i majątek zdobywano wtedy ciężką, uczciwą pracą. Punktem honoru producentów żywności czy hodowców było dostarczanie na rynek smacznych i zdrowych produktów spożywczych: owoców, wędlin, nabiału, pieczywa, napojów. Uczciwość zawodowa miała mocne oparcie w Dekalogu (VII, VIII). Kościół zdecydowanie potępiał lichwę – jako grzeszną formę nienależnego bogacenia się.

Dziś liczą się tylko najtańsza produkcja i maksymalny zysk! Samochód, który przy obecnym poziomie techniki mógłby służyć nam przez całe życie, projektowany jest na coraz krótsze przebiegi. Największe fortuny wyrastają nie z pracy rąk czy umysłów, lecz dzięki marketingowym oszu-

stwom i finansowym spekulacjom. Naszpikowana chemią żywność o „zapachu i smaku zbliżonym do naturalnego” de-generuje (fizycznie) całą populację, trujące są nawet zabawki dla dzieci. Ceny mieszkań i domów wywin-dowano na tak niebotyczny poziom, że zdobycie własnego lokum skazuje dziś młode małżeństwa na dożywotnie, kredytowe niewolnictwo. Każda cho-roba czy zawirowanie na rynku pracy wyrzuca kre-dytobiorców poza społeczny margines. Chciwość jest cnotą, to ona napędza świat – wmawiają nam giełdowe rekiny z Wall Street. I rugują uczciwość z życia codziennego, za nic mając zdrowie i życie konsumentów.

PS Brak etosu cechuje nawet przedstawicieli tzw. zawodów zaufania publicznego. Lekarze, po-liejanci, sędziowie, księża, nauczyciele itp. powinni być i najlepsi, i godnie nagradzani. A z tym jest różnie, czasy Judymów i Siłaczek już dawno minęły. Możemy się przecież leczyć prywatnie, a za strajki nauczycieli i tak zapłacą rodzice. Korepetycjami.



**Lech
Makowiecki**



Zapraszamy na

BIAŁO-CZERWONY KOROWÓD

Jesteśmy różni, łączy nas Polska

—
Warszawa

2 maja 2019 r., godz. 17:00

Plac Teatralny – Miodowa – Krakowskie Przedmieście
– Świętokrzyska – Mazowiecka – Plac Piłsudskiego

www.bialoczerwonykorowod.pl



Pod Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości



Organizatorzy:

Fundacja Promocji Kultury
i Historii Polski



Partnerzy:



Patroni medialni:



Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości.
Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Trzy pierwsze lekcje

Chelmża, w której dorastałem, to małe miasteczko na Pomorzu. Tam chodziłem do szkoły podstawowej, w której spotkałem niezapomniane nauczycielskie osobowości. Pierwszą była pani Maria Wierzbowska. Uczyla mnie w pierwszych trzech klasach podstawówki. Pięknie grała na skrzypcach. Była z pokolenia poszarpanego przez wojnę, przez przymusową emigrację, przez stalinizm. Przyjaźniła się z moją mamą. Dla mnie wówczas było niepojęte, że mama mówiła do niej po imieniu. Do mojej pani po imieniu?! Była nie tylko znakomitą nauczycielką, lecz i niezwykle człowiekiem. Nie wahała się nakarmić głodnego dzieciaka, umyć, gdy przyszedł brudny, przytulić, gdy płakał. Ale i sama płakała. Pamiętam, że musiała jakiemuś chłopcu oznajmić, że nie przejdzie do następnej klasy. Po prostu się nie dało. Mówiąc dzisiejszym językiem – miał znaczne deficyty rozwojowe i nie umiał napisać ani przeczytać nawet jednej literki. Pani Wierzbowska przytuliła go i głośno zakała. Nie umiała mu tego powiedzieć. To była moja pierwsza szkolna lekcja wychowawcza.

Drugą osobowością była pani Idalia Mądrzejewska. Uczyla mnie języka polskiego w starszych klasach podstawówki. To była prawdziwa dama. Najprawdziwsza. Osoba o nienagannych manierach, urodziwa i do bólu kulturalna. Widzieliśmy to. I każda uwaga z jej strony bolała naprawdę dotkliwie. Była wymagająca, ale wobec różnych różnie. Gdy widziała leżący odłogi potencjał, to gonila do roboty niemiłosiernie. Ale gdy widziała, że dzieciak dotarł już do granicy swoich możliwości, to umiała odpuścić. Nie wiem, jakim cudem, ale potrafiła tak nas uświadomić, że nie mieliśmy pretensji o to, że ktoś dostał piątkę za to samo, za co inny dostał tróję. Mistrzostwo świata! To był mój pierwszy kontakt z indywidualizacją pracy ucznia. Panią Mądrzejewską zapamiętałem też z pewnego pouczenia. Zdaje się, że jakoś dokuczyłem koleżance. Takie tam sztubactwo. Pani wzięła mnie na stronę i powiedziała: „Olek, mężczyzna się tak nie zachowuje”. Wstyd mnie pożarł w jednym momencie. Wszyscy, tylko nie Mądrzejewska! I to była moja pierwsza lekcja gender.

Trzecią osobowością był pan Józef Kasprzyk. Uczyl prac ręcznych. Ale to nie był „pan od robótek”, to był arcymistrz manualnej inicjacji. Układał nam narzędzie w ręce i uczył traktować je z pietyzmem. Mówił piękną polszczyzną i ustawicznie poprawiał nas, że to nie hebel, ale strug, że nie laubzega, ale włosówka, że nie girung, ale kątownica. Miał



**Aleksander
Nalaskowski**

*Osobowością była pani Idalia
Mądrzejewska. Uczyla mnie
języka polskiego. To była
prawdziwa dama*

poczucie humoru, był z dystansem przyjaźny, ale nade wszystko imponował fachowością. Pamiętam, jak robiłem coś na kolanach, odłożyłem jakieś narzędzie na podłogę, a pan Kasprzyk przyniósł i podłożył pod nie kawałek deseczki. Bo nie godzi się, aby narzędzie leżało tam, gdzie ludzie depczą butami. Uczyl szacunku do przedmiotów, oduczał marnotrawstwa, wpajał umiłowanie porządku i dokładność. I to były moje pierwsze lekcje solidności rzemieślniczej. Jakże bym mu chciał dzisiaj pokazać mój warsztat, dzielka i umiejętności. W tamtym czasie nie byłem bowiem rzemieślniczym gigantem.

Wiele lat temu miałem seminarzystkę o zjawiskowej urodzie i niebywalej inteligencji. Była pracowita i ocytana. Chyba miała na imię Justyna. Znacie się dogadywaliśmy. Pisała pracę o etyce zawodu nauczyciela. Pamiętam jej zaskoczenie wynikami własnych badań empirycznych. Wynikało z nich m.in., że nauczyciele znacznie bardziej troszczą się o własne dzieci niż o uczniów. Justyna była tym zalamana. Po wielokroć powtarzała, że

fach nauczycielski, a ściślej edukacja wczesnoszkolna, jest jej wielkim marzeniem życiowym. Nie mogła pojąć, że nauczyciele nie traktują własnych i cudzych dzieci jednakowo. Ileż jej musiałem natłumaczyć, że jej oczekiwania są zbyt wygórowane, jak bardzo pocieszać w tym młodzieńczym smutku. Jej niewinność w tym względzie i taka adolescentna ideowość jednak bardzo mi imponowały, a nawet urzekały. Wiele dyskutowaliśmy, a nawet się trochę kolegowaliśmy. Potem jeszcze kilka razy miałem takich seminarzystów, ale było ich niezbyt wielu. Po obronie pracy nasz kontakt urwał się zupełnie. To na uniwersytecie zupełnie normalne. Współpracujemy, bronimy pracę i do widzenia. W strajkowy poniedziałek pojechałem do pewnej szkoły z jakiegoś całkiem banalnego powodu. Zatrzymano mnie w przedsionku. Tutaj bogiem była portierka. Odpętała mnie, czy byłem umówiony, z kim, w jakiej sprawie. Zmierzyła mnie wzrokiem, czy aby nie pedofil albo łamistrajk (miała żółtą przypinkę z napisem „strajk”), i kazała czekać. Za oszklonymi drzwiami, na krzesłach ustawionych w koło, siedzieli nauczyciele. Nie wiem, czy byli ubrani na czarno, bo mieli kurtki. Widocznie było im chłodno. Zobaczyłem, jak wygląda ten strajk. W pewnym momencie mój wzrok spotkał się z wzrokiem jednej z nich. I to była Justyna. Coś zakłuło, zabolalo. I to też była chyba jakaś pierwsza lekcja, ale nijak nie potrafię jej nazwać. /

PRZEZ ŚWIETLIK

Języki ognia

Kiedy media obiegrała informacja o pożarze, który spopielił najsłynniejszą katedrę na świecie, w warszawskiej galerii Delfiny odbywało się spotkanie z prof. Roszkowskim. Historyk opowiadał o swojej najnowszej książce, w której opisuje upadek zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji. W trakcie rozmowy o kościołach przerabianych na bary, o taniej, popkulturowej gnozie oraz islamie wypierających starą Europę na telefony słuchaczy spłynęły obrazy płonącej katedry Notre Dame.

Nawał pracy sprawił, że nie udało mi się dotrzeć na to spotkanie. Za to rano szukałem książki na święta, czegoś, co pozwoli mi się oderwać. Chciałem znaleźć stary, akademicki podręcznik do historii starożytności Jerzego Wolskiego, z którego jeszcze uczył się mój świętej pamięci tata. Lubię tę książkę, przyjemność sprawia mi także oglądanie



**Wiktor
Świetlik**

się nagle z kretesem najważniejszy zabytek sakralny (może obok Bazyliki św. Piotra i Grobu Pańskiego) całej cywilizacji?

Cóż zrobić z tymi dziwnymi znakami w personalnej skali mikro i społecznej skali makro, skoro rozprawia się z nimi sam Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSW za PO, pisząc: „Tropicielom metafizyki po pożarze Notre Dame: w 1755 r. w niedzielę Lizbona została zniszczona w trzęsieniu ziemi. 60 tys. ludzi zginęło, modłać się. Od tej pory na Zachodzie zaczęto podejrzewać, że możliwe są zbiegi okoliczności, a nie gniew Boży. Oświecenie się to nazywało”. Trudno polemizować z tak wybitnym autorytetem od pożarów nie tylko katedr, lecz i dużo mniejszych obiektów. Ale ostatecznie skoro budki pod ambasadami nie palą się przypadkowo, to może podobnie jest z katedrami? 

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

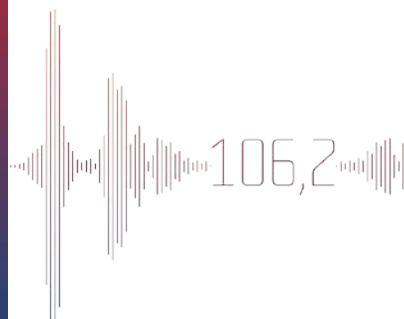
*W trakcie rozmowy o kościołach
przerabianych na bary na telefony słuchaczy
spłynęły obrazy płonącej katedry Notre Dame*

załączonych map. Zamiast niej wpadła mi jednak w ręce książka, którą kiedyś ktoś mi przesłał i leżała zapomniana. „Katedra” autorstwa Jorisa-Karla Huysmansa, założyciela słynnej fundacji Goncourtów. Pomyślałem, że w Wielkim Tygodniu i w święta będzie dobra, i ją odłożyłem. Huysmans mi się przypominał dlatego, że zajmował się nim główny bohater innej książki – „Uległości” Michela Houellebecqa, która wieszczy zerwanie Francji z łacińską i chrześcijańską przeszłością i stworzenie na jej gruzach kalifatu. Na okładce „Katedry” są zdjęcia witraży, niezwykle podobnych do tych, które spłonęły kilkanaście godzin później.

Dzień po pożarze dziennikarka radiowej Trójki i znana krytyk sztuki Monika Małkowska przypominała, że to w Wielki Poniedziałek Jezus wygnał kupców ze świątyni. Dominikanin ojciec Jacek Szymczak na Twitterze napisał, że przed pożarem w katedrze modlono się m.in. następująco: „Radujcie się, choć teraz musicie doznać trochę smutku z powodu różnorodnych doświadczeń. [...] wartość waszej wiary okaże się o wiele cenniejsza od zniszczalnego złota, które próbuje się w ogniu”.

Mógłbym takich dziwnych przykładów mnożyć dużo więcej. Jeśli ktoś choć trochę miał kontakt z moją skromną osobą albo z tym, co piszę, to wie, że z reguły bywam sceptyczny wobec wszelkich tego rodzaju uniesień. Tyle że tu coraz trudniej być sceptycznym. Jak to jest, że w środku wielkiego miasta, którego straż pożarna słynie ze skuteczności, pali

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

53/0319/F



JAN POSPIESZAŃSKI

Czerwień i biel

– barwy Rzeczypospolitej Obojga Narodów

*Choć Dzień Flagi ustanowiono dokładnie 15 lat temu,
nie został wypełniony treścią*

Walka komunistów z pamięcią o niepodległej Polsce przejawiała się m.in. nakazem zdejmowania flag nazajutrz po pochodach pierwszomajowych. Hucznie obchodzone Święto Pracy nakładało obowiązek dekorowania domów flagami, ale 2 maja aktywni PZPR i dzielnicowi kontrolowali, by flagi nie zostały na 3 maja. Gospodarze domów (kiedyś się mówiło dozorczy) byli z tego rozliczani. Ten wątek pojawia się nawet w kultowym filmie „Alternatywy 4”. Myślę, iż właśnie swoiste represje naszych narodowych barw przesądziły o tym, że w wolnej Polsce dzień 2 maja ustanowiono Dniem Flagi.

Choć zrobiono to dokładnie 15 lat temu, Dzień Flagi nie został wypełniony treścią. Pan prezydent jest aktywny: wręcza flagi, przyjmuje w Belwederze delegację Polonii i Polaków z zagranicy, ale w wymiarze publicznym to dzień zwyczajny, ot, środek długiego weekendu – czas grillowania.

Do ustanowienia Dnia Flagi przyczynił się znacznie Leszek Rodziewicz, wilniuk, historyk, niestrudzony popularyzator historii, znawca patriotycznej tradycji. Od lat zabiega o upowszechnianie rzetelnej wiedzy o naszych barwach i narodowej symbolice. A z tą wiedzą nie jest najlepiej. Sonda przeprowadzona przez dziennikarzy w Sejmie ujawniła nikłą znajomość historii polskiej flagi. Na pytania o sym-

bolikę barw narodowych posłowie odpowiadali intuicyjnie, popisując się bardziej emocjonalnymi skojarzeniami niż znajomością treści, jakie narodowym barwom nadali nasi przodkowie.

Kolor biały kojarzy się z niewinnością, czystością, światłem, a czerwień to płomień, ofiara krwi czy waleczność. Skojarzenia trafne, ale w heraldyce kolory i symbole mają bardzo precyzyjne znaczenia.

Pamiętam, że w podstawówce jeden z nauczycieli przekonywał nas, iż kolory polskiej flagi to pamiątka wydarzenia, które rozegrało się na Kresach w czasach walk z najazdami ze Wschodu. Po długich dniach oblężenia przez mongolskie hordy z polskiego fortu wyszła delegacja rycerstwa, by ustalić warunki rozejmu. Nieśli wysoko w górę biały proporzec oznajmiający, że idzie poselstwo. Najeźdźcy jednak nie uszanowali statusu wysłanników i rzucili się na nich. W zacieklej, nierównej walce, trzymając stale białą flagę, polscy rycerze walczyli bohatercko, odnosząc liczne, krwawe rany. Na pomoc ruszyła im załoga fortu, w dramatycznej walce odepchnęła najazd. Zakrwawiona do połowy flaga jako pamiątka zwycięskiej walki została w pułku i z nią potem ruszano do kolejnych bitew. Nauczyciel wyjaśniał też dodatkowe przesłanie legendy. Morał brzmi: nie ufaj agresorom ze Wschodu. Ta barbarzyńska dzicz nie zna żadnych praw ani rycerskich reguł. Nie dotrzymuje słowa, łamie umowy, zabija posłów, bezczęści zwłoki, morduje jeńców... Potem już całkiem cicho, jakby do siebie, szeptał: „Tak było w Katyniu”.

Piękne podania nie zastąpią jednak historycznej wiedzy, a popularyzuje ją Leszek Rodziewicz, cytując ustawę Sejmu Królestwa Polskiego z 7 lutego 1831 r.: „Kokardę narodową stanowić będą kolory herbu Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, to jest kolor biały z czerwonym”. Herby Polski i Litwy miały te same kolory, tarcze – czerwone, a godła: Orzeł i Pogoń – białe.

Nasze barwy narodowe jako jedno z nielicznych w świecie są ustawowo określone. Po upadku powstania listopadowego przejęte od wojska przez cywilów stały się prawdziwie narodowe. Symbolizowały państwo wymazane z map i naród, który pod tymi barwami wybijał się na niepodległość. Ale czerwień i biel to przede wszystkim symbol największego dzieła naszych przodków – Rzeczypospolitej Obojga Narodów. To wspólne z Litwą państwo przetrwało ponad 400 lat, nie było widownią wojen religijnych, jednocześnie chroniło Europę przed najazdami Tatarów i Turków. W tym roku obchodzimy właśnie 450. rocznicę unii lubelskiej.

Okazją do radosnego świętowania, do wypełnienia treści Dnia Flagi będzie Białe-Czerwone Korowód. 2 maja, w rytmie orkiestr, z grupami z całej Polski i z Kresów, przejdziemy Krakowskim Przedmieściem. W imieniu organizatorów, wśród których są publicysta Andrzej Paulukiewicz i reżyser Maciej Pawlicki, serdecznie zapraszam na wielką uliczną paradę, na Białe-Czerwone Korowód.

Strajk na scenie

Na deskach Teatru Europejskiego Centrum Solidarności czeka nas wielkie wydarzenie artystyczne. W świąteczny poniedziałek odbędzie się premiera współczesnego dramatu. „Jądro jasności” jest trzyaktowym scenicznym spektaklem. Zaskakuje zmiennymi relacjami między bohaterami. Skrzy się subtelną ironią.

Autor dramatu to znany prawnik prof. Wojciech Sadurski, uczony UW. Bez wątplenia renesansowa postać. Tylko ograniczony krąg jego przyjaciół, do którego mam zaszczyt się zaliczać, jest wprowadzony w pewną tajemnicę. Otóż przerywnikami w badaniach naukowych profesora są jego oryginalna twórczość malarska oraz rzeźba w drewnie. Pędzel i dłuto w ręku uczonego stanowią coś więcej niż tylko zwykłe hobby dla odprężenia intensywnie eksploatowanego wybitnego umysłu. Ulubionym od lat motywem działań twórczych prof. Sadurskiego jest postać Jarosława Kaczyńskiego, utrwalaona w dziesiątkach portretów i rzeźb różnej wielkości, od naturalnych po miniatury mogące być ozdobą lub relaksem dla oczu pracującego przy biurku.



**Jerzy
Jachowicz**

Myślę, że to rodzaj uznania i zarazem holdu dla tego polityka. Napisanie przez prof. Sadurskiego pełnospektaklowej sztuki teatralnej nie było dla mnie zaskoczeniem. Pamiętam rodzaj udanej wprawki scenicznej, jednoaktówki „Nieudacznicy i niedorajdy” o sędziach nowo powstałej Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

„Jądro jasności” jest rodzajem wiwisekcji ludzkich dramatów i namiętności w trakcie rozwijającego się strajku nauczycieli. Dwie główne postaci to kobieta i mężczyzna. Wcielają się w nie Michał Żebrowski i Maja Ostaszewska. Ich gra to czysta poezja. Historia dzieje się w małej, wiejskiej szkole na południu kraju. Przywódcą strajku jest młody, początkujący nauczyciel fizyki (Żebrowski). Udało mu się wytworzyć wspólnotę. Za wyjątkiem nauczycielki od „prac ręcznych” (Ostaszewska), która powiedziała, że „nie opuści dzieci”. A liderowi strajku na niej właśnie najbardziej zależało. Dopiero ostatni akt odpowie, co zwycięży. Walka o lepsze jutro czy pierwiastek uczuć. Może staną się jednością...

Radzę się zaopatrzyć w zapasy chusteczek.

CO MNIE PRZERAŻA

„Ucz się, dziecię, ucz...”

Ucz się, dziecię, ucz, nauka to potęgi klucz”. No i cóż? Dzieci się uczyły i teraz stanęły przed szlabanem. Nie będą miały przed kim pokazać, czy się nauczyły, ani szansy, by dalej się uczyć. Ci, którzy je przygotowywali i odpowiadali za nie, pokazali im figę.

Trudno znaleźć właściwe określenie na strajk pod przewodnictwem ZNP i pana Broniarza, odbywający się w czasie egzaminów gimnazjalnych i tuż przed maturami. To strajk wybitnie polityczny. Ogłoszony w takim terminie, by zrobić tumult, wykażać, że rząd nie daje sobie rady i nie bierze pod uwagę żądań ZNP ani tych, którzy mają edukować młodzież. Mimo że odbywały się rozmowy i podwyżki były już przedtem wprowadzane.

„Solidarność” podpisała ugodę. ZNP tkwi w strajku i zaciśniętą pięść. Wydaje im się, że zwyciężą i skompromitują dobrą zmianę. Rząd sobie radzi i już dwa egzaminy przeprowadził dzięki tym, którzy nie przystąpili do strajku, nie porzucili swoich uczniów, i tym, którzy zgłaszali się do obsługi egzami-



**Katarzyna
Łaniewska**

nów. A tamci tkwią. Nie kończą strajku, podsycają go śpiewami, pseudokabaretami i krzykami.

Nauczyciel to trudny zawód, ale każdy go dobrowolnie wybrał. Wydaje mi się, że nie dla pieniędzy, ale dla satysfakcji wychowywania młodzieży. Pamiętam nauczycieli sprzed wielu lat, tzw. przedwojennych. Cenię ich za to, czego mnie nauczyli. Nie tylko przedmiotu, lecz również postawy, mądrego życia. Dom, szkoła i Kościół to były trzy miejsca, na które można było liczyć. W szkole, owszem, strajkowano, ale by nie modlić się po niemiecku, by nie zdejmować krzyża, i ponoszono tego konsekwencje. Teraz, pedagogzy, chcecie młodzież deprawować?

Czy nauczyciele stracili rozum? Więź z dziećmi? Jak potem staną przed nimi i będą je wychowywać? To dla nich jest egzamin z człowieczeństwa – co, jak i dla kogo robią. I kogo chcą poświęcić w walce o 1 tys. zł. Zastanówcie się, państwo nauczyciele, nad swoim stosunkiem do szkoły, do wychowania i przede wszystkim nad odpowiedzialnością za uczniów.

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**

TRENDY I OWĘDY

Lekcja śpiewu

Strajk nauczycieli śpiewająco uderzył w nich samych

Kalendarz imprez musi wzbogacić nowy festiwal. Koniecznie trzeba zorganizować Przegląd Piosenki Strajkujących Nauczycieli, Belferiada czy Broniariada. Nauczyciele, którzy przerwali pracę, postanowili sobie umilić czas przeróbkami przebojów. I te nauczycielskie, najczęściej masowe, śpiewy błyskawicznie obiegły sieć. Ludzie są jednak u nas bezzwzględni.



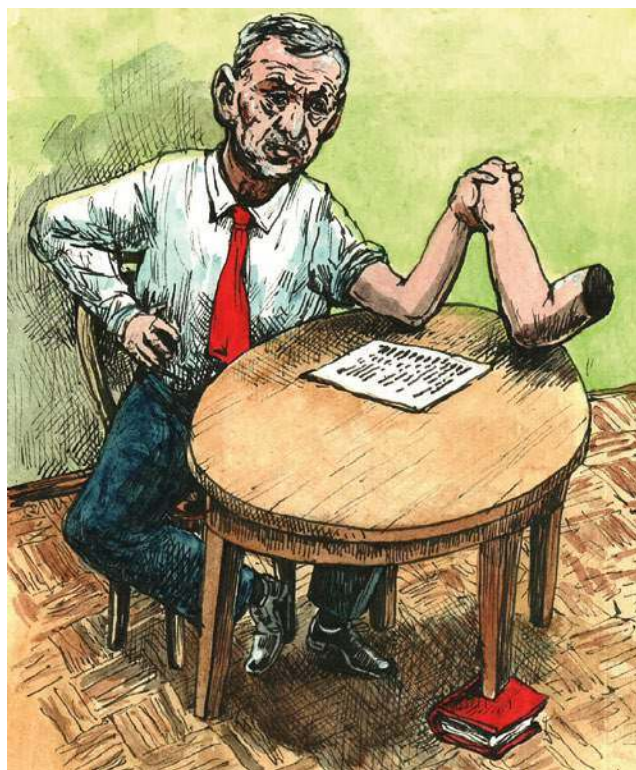
Ryszard Makowski

Zamiast poczuć bluesa i chlipać nad ciężką dolą oraz niedostatkiem mistrzów kredy, pokładali się ze śmiechu. A jak się już ci ludzie pozbiali, to dopiero nimi trząchnęło. Gdy sobie uświadomili, że tandetne teksty, w których prym wiodły krowy i świny, są tak czerstwe, że utwory disco poło to przy nich wykwintne strofy, to sami zawyli: „Auuuuu!”. Nie mogli uwierzyć, że koneserom takiej estetyki literacko-muzycznej powierza się kształcenie naszych latorośli.

Spotykasz elegancką kobietę albo wymuskanego faceta, ale jak się odezwą, to czar pryska bezpowrotnie. I tutaj ten czar też tak się zachował. Okazało się, że największą tragedią naszego szkolnictwa nie jest poziom wynagrodzeń, ale poziom kadry. PiS wyrządziło krzywdę tzw. inteligencji. Zmusiło do publicznej aktywności sędziów, dziennikarzy, artystów, uczonych, nauczycieli i się wydało, że to żadna potęga intelektualna. Wprost przeciwnie! I oni tego PiS nie darują. Szkoda tylko, że po drodze skrzywdzą zupełnie niewinnych ludzi. Niestety w realu nie da się przetrząsnąć śpiewających nauczycieli na estradę. Tam albo się coś umie, albo nie.



Zawistowski prezentuje: **Okrągły stół**



Wycinki z przeszłości

Jeszcze 30 lat temu zapalki były powszechnym przedmiotem codziennego użytku, a w roku 1932, skąd pochodzi publikowana wyżej reklama (za „Tygodnikiem Ilustrowanym”), trudno było sobie wyobrazić bez nich życie. Popularne było również zbieranie opakowań, często o treści historycznej – tu widzimy np. wizerunek księcia Józefa Poniatowskiego – a także reklamowej. Hobby takie nazywa się filumenistyką.

Państwowy Monopol Zapalczany oznaczał wyłączność państwa w produkcji i imporcie zapalek. Został wprowadzony w Polsce 1925 r., a następnie – jak podaje Encyklopedia PWN – wydzierżawiony amerykańsko-szwedzkiej Spółce Akcyjnej dla Eksploatacji Państwowego Monopoli Zapalczanego. W latach 1936–1939 dochody z Państwowego Monopoli Zapalczanego wynosiły 0,4–0,5 proc. całości wpływów skarbowych.

Dziś obserwujemy, że w wielu domach nie ma już żadnego ognia, nawet gazu się nie używa. Jeśli na dodatek w rodzinie nikt nie pali papierosów, to dzieci zapalki, a także zapalniczki, mogą zobaczyć tylko na starej reklamie.

(mk)



Na sen wiekuisty bullterierkę Grandy odprowadzając...

Ach Stareńka
Kochaneńka
Powolutku
pomaleńku...
Jeszcze ten stopień, te schody jeszcze

– Himalaje
A było, mknęłaś
– strzała białoskrzydła
– torpeda radości
Szedł taniec na każdej wysokości
Błogie nam lata biegly
Przez Podgórkę Tynieckie, Ojcowskie wąwozy
Lasu Wolskiego wykroty
Przez Plant esy-floresy...

Albo?
Pasażer najprzedniejszy
Na pierwszym siedzeniu
W pół słowa gotowa do drogi
(Po cóż nam jakieś GPS-y?)

A jakież to choreograf wymyślał
Twoje tańce?
Gdy wracał ledwie ze sklepiu
Czy z tamtej strony Oceanu?

– Z równą radością, z utęsknieniem
Przy drzwiach czekania...
„Tańce z szablami”...
– Zawiodło wszystko
Ludzkie i psie sposoby
Rozłożyła ręce medycyna
I moja musi cię zostawić ręka.

Sen wiekuisty nas ogarnie kiedyś
– Ciebie już dzisiaj.

I w najwierniejszej miłości i przyjaźni
Ludzie i zwierzęta
Muszą się rozstawać
Taki to świat, niedobry świat...
Żali się Poeta

Czemż innego nie ma świata?
Brak odpowiedzi, ten sam, jednaki
– Ludziom i psom

I wszelkim innym ziemskim zwierzętom

Pomaleńku...

Pomaleńku

Jeszcze ten stopień

Te na ostatku Himalaje

Trzymam twą łapę niczym kochaną rękę

I daję słowo, nie odwrócę głowy...

Ty już tam biegnij

W zielone gaje

W szczęśliwe twoje psie parowy...

(Kraków, marzec 2019)



Leszek Długosz

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Hołownia, twarożek i planeta

Po świętach można podjąć temat jedzenia. No może... przedjedzenia.

UTUCZENI NARRACJĄ

Gdy podczytuję tygodniki z innej bajki medialnej, widzę, że narracja antypisowska, antyrządowa oraz anty- wobec wszystkiego, co kojarzy się z obecną władzą, momentami staje się – nawet dla zdystansowanego umysłu socjologicznego – niestrawna. Czy to tylko efekt wzmożenia kampanijnego przed wyborami, czy znak coraz silniejszej polaryzacji świata będącego w kryzysie cywilizacyjnym w ogóle?

Dziennikarz Szymon Hołownia, dla niektórych bardziej celebryta medialny, felietonista „Tygodnika Powszechnego”, w jednym z kwietniowych numerów tego pisma skrytykował prezydenta Andrzeja Dudę. Jako „toporną i amatorską kampanię” uznał twitterowy wpis, w którym głowa państwa zachwala polskie mięso, z polskiej – właśnie przez siebie odwiedzonej – masarni.

Hołownia wcale nie kieruje czystą niechęcią polityczną. Nie, jego krytyka jest podyktowana wielką troską o przyszłość świata. Skąd wiem? Internet raportuje, że Hołownia bardzo udziela

się ostatnio jako obrońca zwierząt i propagator wegetarianizmu – tylko bezmięśność może od zagłady ocalić naszą planetę.

Dziennikarz nawet nie ma nic przeciwko polskim producentom żywności, byle tylko nie produkowali mięsa! Niech wreszcie odkryją, „iż nie żyją w wieku XIX, ale XXI, w którym – jeśli wszyscy za chwilę nie mamy skończyć w oceanie świńskich odchodów, z rakim jelita grubego, przebiegającym, cukrzycą i drugą Wenezuelą (rolnictwo przemysłowe dokłada się potężnie do globalnego ocieplenia, globalne ocieplenie to rzeki wody do ochłodzenia elektrowni), potrzebujemy innego modelu jedzenia tego, co zjeść musimy. I nie chodzi tu nawet o owego byka, którego spotkał zaszczyt pieszczenia przez siedem sekund kubków smakowych pierwszego obywatela, ale o to, że bezmyślne podążanie za mięsną apologią prezydenta może za pokolenie czy dwa skończyć się tym, że nie tylko byki będą miały w tym kraju przerabane, lecz także ich konsumenci”.

Można stracić apetyt, prawda? Nie tylko na mięso. Również na czytanie.

ZAMIAST MIĘSA TWAROŻEK

Gdyby ktoś myślał, że trudno byłoby wyżywić świat, rezygnując z chowu przemysłowego, Hołownia z błędu go wyprowadzi. Na jednym ze spotkań autorskich wyjaśnił, powołując się na dane Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO), że obecnie produkuje się „dość żywności (i pod względem białka, i kalorii) dla 15 mld ludzi. Zapas więc mamy spory”. Prawda, wszak nie dociągnęliśmy jeszcze do 8 mld mieszkańców Ziemi. Co do roślin – publicysta podkreśla, że „Bóg dał nam trzysta tysięcy

gatunków jadalnych roślin, których potencjał żywnościowy pozostaje dla nas wciąż nieodkryty, a hodujemy wciąż te same piętnaście gatunków, bo tak się przyzwyczailiśmy, to umiemy i tak jest najprościej”.

Potrzebna jest nie tylko radykalna reforma przemysłu spożywczego. My sami też musimy się zmienić i tu Hołownia proponuje metodę małych kroków: „Zacznijmy od tego, że nie będziemy marnować. Ja zacząłem jeść rzeczy przeterminowane, np. twaróg, który jest przeterminowany od dwóch dni. Oryginalnie zamknięty nadaje się do spożycia. Staram się nie wyrzucać dobrego jedzenia i nie kupować więcej, skoro w lodówce wciąż są dobre produkty”.

Pochwalę się, że sama zjadam twarożek nawet tydzień po terminie ważności (ale tylko przez pomyłkę). Można! Śmieci też staram się produkować jak najmniej. Używam solidnej torby na zakupy zamiast jednorazowych foliówek... Nawet znam sympatyków dobrej zmiany, którzy nie jedzą mięsa.

ROZSTRÓJ

Tak, na poważnie, jasne, że zatruwana i eksploatowana do bólu planeta wymaga troski. Pewnie gdyby bez uprzedzeń przeanalizować problemy, o których Hołownia opowiada przy różnych okazjach, można by z nim rzeczowo porozmawiać. Jest jednak problem.

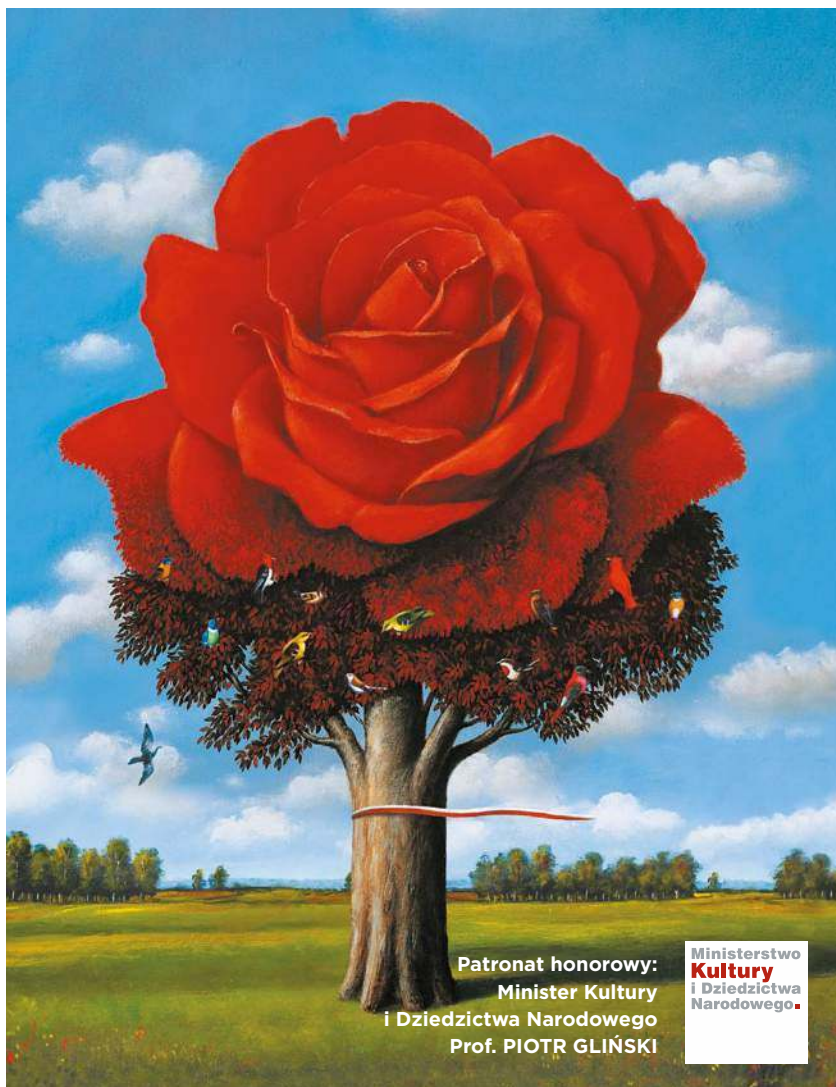
Zwroty typu: głowa państwa służy ministrowi rolnictwa za „obwoźną mario-netkę”, która „napycha się mięskiem”; czy sztydzenie ze zdjęć polityków: „jak zatopieni w modlitwie z Bogiem samym omawiają problemy republiki” – nawet gdy dadzą się przelknąć, przynoszą rozstrój. Estetyczny. I intelektualny. 

Katarzyna Zybortowicz

10. Międzynarodowy KONKURS WOKALNY im. Stanisława Moniuszki

5-11 maja 2019

5 maja 2019 roku cała Polska świętuje
200-lecie urodzin Stanisława Moniuszki,
wybitnego polskiego kompozytora,
twórcy polskiej opery narodowej.
Uroczyste obchody jubileuszu uświetni
Gala Otwarcia 10. Międzynarodowego
Konkursu Wokalnego im. Stanisława
Moniuszki z udziałem laureatów
wcześniejszych jego edycji
w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej
w Warszawie.



Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki jest największym przedsięwzięciem tego rodzaju w Polsce. Od 1992 roku młodzi artyści z całego świata przyjeżdżają do Warszawy, aby zaprezentować swój talent przed wybitnymi przedstawicielami świata muzyki, a odniesiony sukces staje się dla wielu z nich początkiem międzynarodowej kariery. W gronie laureatów i finalistów poprzednich edycji Konkursu znalazły się takie gwiazdy sceny operowej jak: Aleksandra Kurzak, Mariusz Kwiecień, Małgorzata Walewska, Alexei Markov, Andrzej Filończyk i Jakub Józef Orliński.

W maju 2019 roku do Teatru Wielkiego - Opery Narodowej przyjedzie 88 młodych śpiewaków z całego świata. W jury jubileuszowej, dziesiątej edycji Konkursu zasiądą managerowie największych teatrów i festiwalu operowych, m.in.: Royal Opera House, Metropolitan Opera, Bayerische Staatsoper, Salzburger Festspiele, Festival d'Aix-en-Provence, Staatsoper Berlin, a także wybitni polscy śpiewacy – Ewa Podleś, Izabella Kłosińska i Piotr Beczała.

Zapraszamy do śledzenia przebiegu Konkursu Moniuszkowskiego na:
moniuszkocompetition.pl,
vod.teatrwieltki.pl,
operavision.eu, w TVP Kultura
oraz Programie 2 Polskiego Radia.

Mecenasi

Partner

Moniuszko
2019 ROKIEM 200.
STANISŁAWA MONIUSZKI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



200. rocznica urodzin
Stanisława Moniuszki
Obchodzona pod auspicjami UNESCO

Współorganizator



Koproducent



Partner
strategiczny



Patroni
medialni



Presto

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI
HISTORII

W numerze:

- **SYSTEM GRABIEŻY**
Tysiące niemieckich pociągów ze złodziejskim łupem
- **ROZŚPIEWAŁ POLSKĘ**
Stanisław Moniuszko – twórca opery narodowej
- **ROZTERKI SAPIEHY**
Zwykły najemnik czy wyrachowany zdrajca?



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.

WWW.FACEBOOK.COM/WSIECIHISTORII

